

ANDRE NORTON

WŁADCA GROMU

PRZEKŁAD: MAŁGORZATA KOWALIK
TYTUŁ ORYGINAŁU: LORD OF THUNDER

ROZDZIAŁ 1

Czerwony łańcuch gór, rudziejący pod tchnieniem nadchodzącej Wielkiej Suszy, przecinał z północy na wschód lawendowe niebo Arzoru. Już w godzinę po brzasku powiewy suchego wiatru zapowiadały skwamy dzień. Jechać można było jeszcze jakieś dwie, może trzy, godziny w rosnącej spiekocie, a potem trzeba było szukać kryjówki, by przetrwać piekło południa.

Punkt łącznościowy nie był zbyt daleko. Hosteen Storm wydał bezgłośnie polecenie i młody, mocno zbudowany ogier pokłusował na przełaj przez wysokie, żółte trawy, sięgające nóg jeźdźca. Od czasu do czasu wśród zarośli mignęło błękitne runo frawna-marudera, który pozostawał w tyle za pasącym się stadem. Zbliżali się do rzeki. W czasie Wielkiej Suszy żadne zwierzę nie oddaliłoby się więcej niż na pół dnia drogi od wody.

On sam, pozostając o tej porze tak długo wśród wzgórz, postąpił dość nieroztropnie. Jedna z dwu manierek przytroczonych do derki, która służyła mu za siodło, od wczorajszego ranka była zupełnie pusta, a w drugiej została może szklanka wody. Norbisowie, myśliwskie szczepy rdzennych mieszkańców planety, wiedzieli o źródłach ukrytych w wąwozach, ale ich położenie było tajemnicą plemienną.

Być może, zdarzało się, że tubylcy dzielili się tą wiedzą z jakimś, szczególnie zaufanym, osadnikiem. Może Logan... - Hosteen lekko zmarszczył brwi na myśl o swoim, urodzonym na Arzorze, przyrodnim bracie.

Pół planetarnego roku wcześniej Storm, weteran wojny z Xikami, zwolniony ze służby w siłach Konfederacji, wylądował na Arzorze jako bezdomny wygnaniec. Ostatnia bitwa galaktycznej wojny zmieniła Ziemię w siną radioaktywną pustynię. Nie miał wtedy pojęcia o istnieniu Logana ani o tym, że Brad Quade, ojciec Logana, mógł być dla niego kimś więcej niż wrogiem, któremu zaprzysiął zemstę.

W końcu jednak przysięga, którą wymógł na Hosteenie przepełniony nienawiścią dziadek, nie uczyniła z niego mordercy. Złamał ją w ostatniej chwili i w zamian otrzymał to, czego bardzo potrzebował: nowe korzenie, dom i bliskich. Szczęśliwe zakończenia rzadko jednak są trwałe - teraz to wiedział. To, co czuł w tej chwili, było raczej rozdrażnieniem niż rozczarowaniem. Storm trafił do domu, do którego dopasował się tak łatwo, jak szlifowany turkus dopasowuje się do srebrnej oprawy w klejnotach Nawajów. Za to inny kamień z tej samej ozdoby w ciągu ostatnich paru miesięcy bardzo się obłuzował.

Dla większości osadników codzienne obowiązki w rejonie Pogranicza były wystarczająco ciężkie. Trzeba było polować na jorisy - niebezpieczne gady, pilnować stad przed napadami dzikich plemion Nitra i na sto innych sposobów stawiać czoła niebezpieczeństwom, a nawet śmierci. Dla Logana było to jednak za mało. Jakiś gryzący niepokój kazał mu porzucać nie skończoną pracę, szukać obozu Norbisów i przyłączać się do ich polowań albo po prostu włączyć się samotnie wśród wzgórz.

Kątem oka dostrzegł jakiś ciemny punkt na niebie. Spieczona usta złożyły się do gwizdu, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Czarny punkt obniżał spiralnie lot.

Ogier zatrzymał się, chociaż jeździec nie wydał żadnego rozkazu. Baku, wielki orzeł afrykański, nadleciał z łopotem skrzydeł i przysiadł na poprzeczce, specjalnie dla niego zamocowanej na siodle Hosteena. Ptak odwrócił głowę i jasne, przyjazne oko spojrzało na Storma. Przez chwilę zastygli tak w doskonałej harmonii.

Więź między człowiekiem i ptakiem była dziełem naukowców. Wybrano i wytrenowano człowieka. Wyhodowano i wytresowano ptaka. Stworzono z nich nie tylko doskonale zgrany zespół, ale i groźną, działającą bezbłędnie broń. Wróg przestał istnieć, naukowcy zamienili się w pył, a więź nadal trwała - tak samo silna na Arzorze, jak na tych planetach, na których działała niegdyś bojowo-dywersyjna drużyna Mistrza Zwierząt.

- Nihich', hooldoh, t'assh 'annii yz? - zapytał Hosteen łagodnie, delektując się brzmieniem języka, którym już chyba tylko on potrafił się swobodnie posługiwać.

- Mamy niezłe tempo, prawda?

Odpowiedzią Baku był niski, gardłowy dźwięk, któremu towarzyszyło twierdzące trzaśnięcie dziobem. Chociaż swobodny lot był dla niego prawdziwą rozkoszą, nie miał ochoty znosić skwaru dnia i chętnie zaszyłby się już w chłodny półmrok jaskini w punkcie łączności.

Deszcz - takie imię nosił ogier - pokłusował dalej. Przyzwyczyił się już do wożenia Baku, zgrał się z drużyną zwierząt z Ziemi wnosząc do zespołu swój wkład: szybkość i wytrzymałość na trudy podróży. Zarżał tylko. Hosteen dostrzegł już znane punkty orientacyjne. Miną to wzniesienie, potem przejadą przez zagajnik "puchowych" krzaków i będą w obozie. Teraz powinien być tam na dziesięciodniowym dyżurze Logan. Nie wiadomo dlaczego, ale Storm wątpił, czy zastanie go na miejscu.

Obóz nie mieścił się w budynku, lecz stanowiła go grupa jaskiń wydrążonych w zboczu pagórka. Osadnicy hodujący na nizinach konie lub frawny, za przykładem tubylców, na czas 'upałów urządzali schronienia głęboko pod ziemią. Klimatyzacja, którą posiadały budynki w dwóch niewielkich miastach na Arzorze, czy urządzenia zakładane w mniejszych

osadach i posiadłościach były zbyt drogie i skomplikowane, by używać ich w punktach łączności.

- Halo! - powitalny okrzyk pozostał bez odpowiedzi. Wejście do części mieszkalnej było ciemne, z tej odległości nie mógł stwierdzić, czy jest otwarte, czy zamknięte. Kolo jaskini, w której chroniły się przed spiekotą sprowadzane z innych planet konie, również nie było nikogo.

Chwilę później żółtoczerwona postać oderwała się od żółtoczerwonej ziemi, a słońce załśniło na zakrzywionych rogach barwy kości słoniowej, które były tak naturalnym elementem wyglądu Norbisa, jak gęsta, czarna czupryna - Storma. Długie ramię uniosło się w górę i Hosteen rozpoznał Gorgola - niegdyś myśliwego z plemienia Shosonnów, a teraz opiekuna niewielkiego stada koni, które było prywatną inwestycją Ziemianina.

Tubylec wyszedł z cienia i chwycił konia za uzdę. Zmęczony Storm zeskoczył sztywno na ziemię. Jego brązowe palce poruszyły się zwinnie zadając w języku migowym pytanie:

- Jesteś tutaj... jakieś kłopoty? Logan...?

Gorgol był młody, zaledwie wyrósł z wieku chłopięcego, ale wzrostem dorównywał dorosłemu Norbisowi. Szczupły, choć dobrze umięśniony, nachylił się z wysokości swoich dwóch metrów nad Stormem. Pionowe źrenice jego żółtych oczu, będące w oślepiającym świetle słońca zaledwie czarnymi kreskami, unikały spojrzenia Hosteena. Prawą ręką pokazał, że muszą porozmawiać.

Struny głosowe Norbisów tak różniły się od strun ludzi pochodzących z Ziemi, że porozumienie się za pomocą głosu było niemożliwe, ale "mowa palców", czyli język migowy, sprawdzała się bardzo dobrze. Można było w niej przy użyciu oszczędnych, czasem prawie niewidocznych gestów, wyrazić nawet złożone myśli.

Hosteen wszedł do grotty niosąc Baku na ramieniu. Temperatura pod ziemią była zaledwie o kilka stopni niższa niż na zewnątrz, ale wystarczyło to, by z piersi człowieka wydobyło się westchnienie ulgi, któremu towarzyszyło akceptujące skrzeknięcie orła.

Ziemianin zatrzymał się, czekając, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Rozejrzył się - miał rację. Jeśli Logan w ogóle tutaj był, to wyjechał i to nie na zwykły objazd stada. Na pryczach nie było śpiworów, kuchenki dziś nie używano, nie było też siodła, juków ani manierki.

Było jednak coś innego: torba za skóry jorisa, zdobiona piórami, tworzącymi powtarzający się motyw zamła - ptasiego totemu szczepu, do którego należał Gorgol. Co tu robił ekwipunek podróżny, który powinien być teraz na ranczo, pięćdziesiąt mil stąd?

Hosteen podniósł rękę i Baku przeniósł się na poprzeczkę przybitą do ściany. Storm podszedł do kuchenki, odmierzył porcję “pyszałki”, jak nazywano rodzaj hodowanej na Arzorze kawy, i nastawił maszynkę na trzy minuty. Usłyszał za sobą cichutki szept. Wiedział, że Gorgol usiłuje zwrócić jego uwagę, ale postanowił poczekać na wyjaśnienie nie zadając pytań.

Rzucił kapelusz na najbliższą pryczę, rozwiązał sznurówki koszuli z nie barwionej frawniej wełny, ściągnął ją i z rozkoszą umył się w chłodnej wodzie.

Kiedy wyszedł z alkowy, Gorgol wyjął z kuchenki kubek z pyszałką, zawahał się i sięgnął po drugi. Obracał go w rękach, przyglądając mu się tak uważnie, jakby go widział pierwszy raz w życiu.

Hosteen usadowił się na pryczy z kubkiem w ręku i czekał. Wreszcie Gorgol gwałtownie, prawie z gniewem postawił swoją kawę na stole, a jego palce zaszygnowały szybko:

- Idę... wzywają wszystkich Shosonna... Krotag wzywa...

Hosteen pociągnął łyk gorzkawego, odświeżającego napoju. Jego umysł pracował szybciej, niż można było sądzić po spokojnych ruchach. Dlaczego wódz miałby wzywać współplemieńców, którzy dostali opłacalną posadę poganiaczy? Wielka Susza nie była porą ani na polowania, ani na wojnę. Oba te zajęcia, cenione w tradycji i obyczajach tubylców, były podejmowane tylko na początku lub pod koniec pory deszczowej. Ściśle przestrzegana zasadą było to, że w czasie Wielkiej Suszy plemiona i szczepy rozdzielały się na małe grupy rodzinne, z których każda, by przetrwać upały, korzystała z jednego, zazdrośnie strzeżonego źródła.

Plemiona utrzymujące kontakty z osadnikami starały się zatrudnić u nich tylu swoich, ilu się dało, żeby łatwiej było reszcie przeżyć na skromnych zapasach żywności i wody. Zwolywanie ludzi w czasie suszy to kuszenie losu, ta decyzja wydawała się szalona. Gdzieś musiały być kłopoty, duże kłopoty, coś musiało się wydarzyć w ciągu ostatniego tygodnia, kiedy Storma nie było.

Wyjechał z posiadłości Quade’a w Szczytach osiem dni temu, żeby opalikować wybrany teren i sporządzić jego mapę w celu rejestracji w Galwadi. Jako weteran, a do tego Ziemianin, miał prawo do dwudziestu kwadratów i oznaczył spory kawał gruntu na północnym wschodzie, rozciągający się od rzeki aż do stóp gór. Nie słyszał wtedy o jakichkolwiek problemach, nie zauważył też żadnych wędrowek plemion. Chociaż... nie trafił także na ślad tubylców ani nie spotkał żadnych myśliwych. Składał to na karb suszy. Teraz zastanawiał się, co wyгнаło Norbisów z okolicy.

- Krotag wzywa... w czasie Wielkiej Suszy! - nawet palcami można było wyrazić niedowierzanie.

Gorgol przestąpił z nogi na nogę. Storm znał go od miesięcy i widział, że chłopak jest zakłopotany.

- To sprawa magii... - po tym znaku jego palce wyprostowały się sztywno.

Hosteen pociągnął łyk. Myślał intensywnie starając się powiązać szczegóły. "Magia" - czy była to próba powstrzymania dalszych pytań, czy prawda? W każdym razie powstrzymało go to od pytań. Nie należało nigdy pytać o magię, a jego indiańskie pochodzenie powodowało, że uważał tę zasadę za potrzebną i słuszną.

- Na jak długo?

Palce Gorgola nie poruszyły się od razy.

- Nie wiadomo... - nadeszła w końcu niechętna odpowiedź.

Hosteen zastanawiał się, jak zadać pytanie, by - nie urażając Norbisa - uzyskać jakąś informację, gdy rozległ się czysty sygnał komu, który łączył punkty łącznościowe z centralą na ranczo. Ziemianin podszedł do pulpitu i wcisnął guzik odbioru. Usłyszał nagraną informację, która odtwarzana mechanicznie co jakiś czas, wzywała wszystkich do powrotu. Coś się działo!

- Więc jedziesz w góry? - nadał do Gorgola.

Norbis był już przy drzwiach i zarzucał właśnie torbę na plecy. Zatrzymał się i to, że walczy ze sobą, widać było nie tylko w wyrazie twarzy, ale i w każdym ruchu. Tubylec podporządkowywał się rozkazom, ale Hosteen wiedział, że 'robi to wbrew sobie.

- Jadę. Wszyscy Norbisowie jadą.

Wszyscy Norbisowie, nie tylko Gorgol. Słyszając to, Storm nieświadomie syknął ze zdziwieniem. Tubylcy stanowili większość wśród pracowników Quade'a nie tylko w Szczytach, ale również w jego większych posiadłościach w Dorzeczu. I Quade nie był jedynym ranczerem zatrudniającym przede wszystkim Norbisów. Jeśli wszyscy Wybiorą się w góry...! Tak, taki exodus może osłabić wiele posiadłości.

- Wszyscy Norbisowie... To też magia?

Ale dlaczego? Na ile się orientował, magia była sprawą plemienia. Nie słyszał nigdy, by na spotkaniach i obrzędach z nią związanych zbierał się cały szczep czy naród, a na pewno nie w czasie Wielkiej Suszy. Przecież nawet krainy nadrzeczne nie mogłyby wyżywić takiego tłumu o tej porze roku, cóż dopiero mówić o suchych obszarach gór.

Ale odpowiedź brzmiała:

- Tak... wszyscy Norbisowie.

- Dzicy też?

- Dzicy też.

Nie do wiary! Wojny między szczepami były podtrzymywane dla chwały wojowników. Posłać drzewce pokoju do drugiego plemienia, a nawet do kilku plemion - to jedna sprawa. Ale nie pomyślenia było żeby Shosonna i Nitra siedli pod takim drzewcem ze strzałami w kołczanach.

- Idę - Gorgol klepnął swoją torbę. - Konie są w dużym korralu... Są bezpieczne.

- Idziesz... ale wrócisz tu? - Hosteen był zaniepokojony ostatecznością, jaką wyrażały znaki tamtego. - To zależy od błyskawicy...

Norbis odszedł. Hosteen przeszedł przez pokój i wyciągnął się na pryczy. Więc Gorgol nie był nawet pewien, czy wróci. Co miał na myśli mówiąc o błyskawicy? Norbisowie przypisywali boską moc tajemniczym istotom, które ciskały gromy i zabijały błyskawicami. Wysokie góry na północnym wschodzie były uważane za ich siedzibę. Te właśnie góry kryły w sobie jaskinie i korytarze wydrążone przez nieznaną rasę, która badała Arzor, a może nawet osiedliła się tu wieki przed tym, zanim dotarli tu statki ziemskich zdobywców.

Hosteen, Logan i Gorgol wraz z Surra - kotem pustynnym i Hing - fretką z Drużyny Zwierząt, odkryli Jaskinię Stu Ogrodów, wspaniały rezerwat biologiczny Zamkniętych Grot. Zarówno rezerwat, jak i ruiny miasta czy też twierdzy w przylegającej do niego dolinie, były nadal przedmiotem badań naukowych. Bardzo możliwe że góry kryły jeszcze inne Zamknięte Groty. Zrozumiały, że dla Norbisów wymarła rasa nieznanych przybyszów z kosmosu, którzy wydrążyli Szczyty, by ukryć tam swe tajemnice, była bogami.

Mógł tak rozmyślać godzinami, a i tak nic by z tego nie wynikło. Lepiej przespać skwarny dzień i ruszyć wieczorem do rancza. To wezwanie mogło rozbrzmiewać już kilka dni, co usprawiedliwiałoby nieobecność Logana. Obrócił się na bok i zasnął.

Jego wewnętrzny zegar obudził go po kilku godzinach. Wyszedł z jaskini w zmierzchu. Upał zelżał, choć nadal było gorąco. Pozwolił Deszczowi odświeżyć się w płyciźnie rzecznej, po czym wskoczył na siodło. Noc nie była ulubioną porą Baku, ale orzeł posłuchał polecenia i wzbił się w rozgwieżdżone niebo.

Ranczo leżało trzy noce jazdy od punktu łączności. Dwa dni spędził Hosteen w prowizorycznych schronieniach, leżąc płasko na ziemi i starając się wykorzystać cały chłód, jakiego mogła mu ona dostarczyć. Trzeciej nocy krótko przed północą dojechał do rozświetlonego celu. Niezwykły blask lamp atomowych był kolejnym dowodem, że coś się dzieje.

- Kto tam? - z bramy dobiegł podejrzliwy okrzyk. Ziemianin ściągnął cugle. Wtedy z prawej strony wychynął z mroku futrzasty kształt. Przysiadłszy na zadzie obok parszającego ogiera, kot przesunął po bucie Hosteena łapą o schowanych pazurach.

- Storm! - odpowiedział i zsiadł z konia, by przywitać się z Surrą. Szorstkie liźnięcie kociego języka było niezwykle gorącym powitaniem i wzruszyło Hosteena.

- Zaopiekuję się koniem - z bramy wyszedł człowiek z emiterem w ręce. - Quade czeka, miał nadzieję, że szybko wrócisz...

Hosteen wymruczał słowa podziękowania bardziej zainteresowany tym, że na podwórzu są jeszcze inni ludzie. Ale Norbisów wśród nich nie było. Ani jednego z tubylców, których tu przedtem widywał. Gorgol miał rację: wszyscy wyruszyli.

Podszedł do drzwi wielkiego domu. Surra szła obok ocierając się o nogi, od czasu do czasu bodąc go dla zabawy łbem. Była też trochę spięta, jak w przeddzień akcji w czasach Wojny. Niebezpieczeństwo me przerażało jej, lecz podniecało.

-... na całym kontynencie, jak mówią doniesienia...

Być może, kot był podniecony tym, co się działo, ale ton głosu Brada Quade'a świadczył, że on jest naprawdę zmartwiony.

ROZDZIAŁ 2

W budynku Hosteen zastał spore zgromadzenie. Byli tam prawie wszyscy osadnicy z regionu Szczytów, nawet Rig Dumaroy, którego zwykle stosunki z Bradem Quade'em można by określić jako niechętną neutralność. Ale Dumaroy musiał się, oczywiście zjawić, skoro w grę wchodziły kłopoty z Norbisami. Był jedynym na Pograniczu wielkim posiadaczem, który był tak uprzedzony do tubylców, że żadnego z nich nie zatrudniał.

- To Storm... - Dort Lancin, który prawie rok temu przyleciał tym samym transportem wojskowym co Ziemianin, podniósł teraz dwa palce w pozdrowieniu, które było jednocześnie myśliwskim znakiem ostrzeżenia.

Stojący przy pulpicie komu wysoki mężczyzna zerknął przez ramię i Hosteen ujrzał ulgę na twarzy ojczyma.

Byli tu Dort Lancin, jego starszy, małomówny brat Artur, Dumaroy, Jotter Hyke, Val Palasco, Connar Jaffe, Sim Starle, brakowało Logana Quade'a. Storm stanął w drzwiach z dłonią na łbie Surry, która obwąchiwała jego nogi.

- Co się dzieje? - zapytał.

Dumaroy odparł pierwszy, uśmiechając się mściwie.

- Wasze pieszczoszki, te kozły, ruszyły wszystkie w góry. Zawsze mówiłem, że was wykiwają, mówiłem - i proszę, macie. A teraz, powiadam wam - grymas zniknął z twarzy, a wielka dłoń klasnęła o kolano - szykują się kłopoty. Im szybciej się uzbroimy i pošlemy po Patrol, żeby zrobił tu porządek raz na zawsze...

Spokojny, jakby znużony głos Artura Lancina przeciął tubalne wywody tamtego, jak ostrze noża tnie frawni łój.

- Dumaroy, zmień płytę, nadajesz w kółko to samo cały wieczór. Usłyszeliśmy cię już za pierwszym razem. Storm - zwrócił się do przybyłego - widziałeś coś dziwnego po drodze?

Storm zawiesił kapelusz na wieszaku z rogów daryorka i odpinając pas z nożem i emiterem, odpowiedział:

- Myślę, że ważne jest, czego nie widziałem.

- To znaczy? - Brad Quade wyciągnął właśnie z kuchenki pojemnik ze świeżą kawą. Postawił go przy fotelu i delikatnym ruchem poprowadził tam Hosteena.

- Żadnych myśliwych, żadnych śladów, niczego.

Pociągnął łyk odświeżającego płynu. Dopiero gdy usiadł, zdał sobie sprawę z tego, jaki był zmęczony.

- Jakbym jechał przez pusty świat.

Lancinowie przyglądali mu się uważnie, Dort skinął głową. Polował z Norbisami, był przyjmowany w ich wioskach i rozumiał, jak dziwnie musiała wyglądać opustoszała kraina.

- Jak daleko dotarłeś? - zapytał Quade.

- Krążyłem, żeby oznaczyć teren. - Hosteen wyciągnął w wewnętrznej kieszeni mapkę. Quade wziął ją od niego i porównał z wielką mapą namalowaną na jednej ze ścian.

- Aż do wąwozu, co? - odezwał się Jaffe. - I żadnego śladu myśliwych?

- Żadnego. Sądziłem, że wycofali się w związku w Wielką Suszę...

- Nie, to za wcześnie - odparł Quade. - Cztery dni temu Gorgol przygnał tu twoje konie, zabrał torbę i odjechał.

- Spotkałem go w punkcie łącznościowym.

- Co ci powiedział?

- Że plemiona zwołują się... na jakieś zgromadzenie szczepów czy coś w tym rodzaju...

- W czasie Wielkiej Suszy? - z niedowierzaniem zapytał Hyke.

- Mówiłem wam! - tym razem Dumaroy walnął pięścią, a Hosteen usłyszał głośny pomruk Surry. Posłał kotu bezgłośny rozkaz i zwierzę ucichło. - Mówiłem wam! Siedzimy tu nad jedyną rzeką, która nie wysycha w czasie najgorszej suszy. Te kozły na pewno przyjdą, żeby nas stąd przepędzić! Gdybyśmy mieli chociaż tyle rozumu co szczur wodny, to zrobilibyśmy porządek z nimi, zanim się nie zorganizują...

- Już raz się wybrałeś, żeby zrobić porządek z Norbisami - chłodno odparł Quade. - I co się wtedy okazało? Że to nie oni byli przyczyną wszystkiego, tylko grupa Xików.

- Taak... A to może znowu sztuczka Xików? Niby oni zwołują nagle wszystkie szczepy?

Wrogość wprost parowała z Dumaroy'a.

- Może tym razem to nie Xikowie - przyznał Quade - ale nie zgodzę się na żadne działanie, zanim nie dowiem się dokładniej, o co chodzi. Wszystko, czego jesteśmy pewni, to to, że nasi norbiscy poganiacze rzucili pracę w czasie, kiedy zwykle bardzo im na niej zależało, i ruszyli w góry. I że to się jeszcze nigdy przedtem nie zdarzyło.

Wstał Artur Lancin.

- O to chodzi, Dumaroy. Nie będziemy na twoje zawołanie pchać głów w paszczę jorisa. Myślę, że powinniśmy się czegoś dowiedzieć. A na razie ściągniemy poganiaczy z Dorzecza albo nawet jakichś włóczęgów w Portu i jakoś damy sobie radę. W czasie Suszy stada nie odejdą daleko od rzeki i potrzeba będzie tylko ludzi do ochrony przed jorisami i jeszcze kilku do liczenia. Mój dziadek miał tylko dwóch synów do pomocy w czasach Pierwszego Statku i przetrwał. Przecież każdy z was poradzi sobie w siodle.

- To prawda - zgodził się Sim Starle. - Wszyscy będziemy trzymać komy na odbiorze i jeśli ktoś się czegoś dowie, to zaraz zawiadomi resztę. Jestem za tym, żeby siedzieć cicho, dopóki nie dowiemy się, o co tu właściwie chodzi. Może to jakaś rada szczepów związana z ich czarami, a wtedy to nie nasza sprawa.

Hosteen zapadł w znużone odrętwienie i w milczeniu przyglądał się, jak osadnicy wsiadają do śmigłowców, by odlecieć do swoich rozproszonych po regionie posiadłości. Był ciągle zanadto zmęczony, by się ruszyć, gdy Brad Quade, odprowadziwszy gości, wszedł ponownie do pokoju. Podniósł się jednak i zadał nękające go pytanie:

- Gdzie Logan?

- Odjechał...

Ton głosu Quade'a wyrwał Hosteena z odrętwienia.

- Odjechał! Dokąd?

- Do obozu Krotaga... tak mi się wydaje...

Hosteen zerwał się na równe nogi.

- Co za głupiec! Chodzi o magię, Gorgol tak powiedział.

Brad Quade odwrócił się. Jego twarz była pozornie spokojna, ale Hosteen widział wzburzenie ojczyma.

- Wiem. Ale on zawarł braterstwo krwi z Kavokiem, synem Krotaga, a to czyni go członkiem plemienia...

Hosteen chciał zaprotestować, ale ugryzł się w język. Magia była ryzykowną sprawą. Można być przyjętym do plemienia, można zawrzeć braterstwo krwi z Norbisem, ale nie wiadomo było, czy daje to prawo uczestnictwa w tajemnych obrzędach tubylców. Nie miało jednak sensu mówienie o tym teraz. Quade wiedział o wszystkim aż za dobrze.

- Mogę go zawrócić. Kiedy wyruszył?

- Nie. To jego wybór i dokonał tego świadomie. Nie będziesz go ścigał. Chciałbym, żebyś jutro poleciał do Galwadi.

- Galwadi!

Brad Quade sięgnął po mapkę.

- Musisz to zarejestrować, zapomniałeś? A potem porozmawiasz z Kelsonem. On zna Logana. - Przesunął ręką po gęstych włosach. - Chciałbym, żeby udało się załatwić to z Radą - Logan tak chciał się dostać do Zwiadowców. Gdyby to się powiodło, może znalazłby wreszcie odpowiadające mu zajęcie. Ale Radę trudno przekonać. W każdym razie spotkaj się z Kelsonem i dowiedz się, jak stoją sprawy. Podejrzewam, że oficjalnie nie mówi się nic o tej historii z Norbisami. Ja zostanę tutaj. Tak będzie lepiej. Dumaroy aż piszczy, żeby zacząć działać po swojemu i musi być tu ktoś, kto go uspokoi. Jedno potknięcie i możemy mieć wielkie kłopoty. - A co ty o tym wszystkim sądzisz?

Brad Quade zatknął kciuki za swój szeroki pas i patrzył w podłogę, jakby pierwszy raz widział jej, ułożony z rzecznych kamieni, wzór.

- Nie mam pojęcia. To bez wątpienia sprawa magii, ale o tej porze roku? Quade'owie pochodzą z Pierwszego Statku, a nie znalazłem w archiwach rodzinnych zapisków o niczym podobnym.

- Gorgol mówił, że drzewca pokoju posłano też dzikim szczepom.

Ojczym skinął głową.

- Tak, wiem. Mnie też to mówił. Ale siedzieć i czekać...

Hosteen położył rękę na szerokim ramieniu człowieka, któremu niegdyś poprzysiągł zemstę - rzadko okazywał uczucie w ten sposób.

- Zawsze najtrudniej czekać. Jutro wieczorem polecę do Galwadi. Logan... ma duszę Norbisa i zawarł braterstwo krwi z Shosonna spod znaku Zamla. To wielka świętość... Na krótką, ciepłą chwilę ręka Quade'a przykryła dłoń Storma.

- Miejmy nadzieję, że wystarczająco wielka. No, wyglądasz, jakbyś leciał z nóg. Idź do łóżka i odpocznij.

Czekać. Siedząc w śmigłowcu niosącym go przez nocne niebo do Galwadi Hosteen poczuł nieprzyjemne ukłucie - nie lubił czekać. Zostawił za sobą wszystko, co miał tu cennego: kota o miękkim futrze i bystrych oczach, którego inteligencja, chociaż różna od jego własnej, wcale jej nie ustępowała, konia, którego sam ujeździł i wyszkolił, Hing, fretkę, małe, przymilne, zabawne stworzonko, które przyprowadziło mu tego wieczoru czwórkę swoich podrośniętych dzieci, Baku, który siedząc na ogrodzeniu korralu posłał mu pożegnalny okrzyk. I wreszcie mężczyznę, którego szanował zawsze, nawet wtedy, gdy jeszcze go nienawidził, a za którym skoczyłby teraz w ogień. Zostawił ich wszystkich w miejscu, które, gdyby ich przecucia się sprawdziły, byłoby otoczone przez wrogów.

W Galwadi nie było widać żadnego napięcia. Wyszedłszy z lotniska Hosteen przyglądał się ruchowi ulicznemu. Było już dobrze po zmierzchu i nieduże miasto, wymarłe za dnia, tętniło życiem, ludzie kłębili się w sklepach i na ulicach. Ale czy znajdzie tu poganiaczy? O tej porze roku trudno było o nowych pracowników. W mieście było kilka knajp, gdzie mógł rozpocząć poszukiwania. Ale najpierw obiad.

Wybrał małą, cichą restauracyjkę i zaskoczyło go urozmaicone menu, które mu podano. Posiłki na ranczo były zwykle obfite, ale dość skromne i jednostajne. Nieliczne przysmaki z innych planet zachowywano na świąteczne przyjęcia. A tu stanął przed wyborem, jakiego nie powstydzilyby się nastawione na przybyszów lokale w Porcie. Nagle zauważył przy sąsiednim stole mieszkańca Zacathanu i zdał sobie sprawę, że restauracja w stolicy musi zadowalać także gusta przedstawicieli obcych rządów.

Postanowił sobie pofolgować i wybrał trzy dania, których nie kosztował od czasów służby. Popijał właśnie przez słomkę sok z bulwy dalee, kiedy ktoś zatrzymał się przy jego stoliku. Podniósł oczy i zobaczył Kelsona, Oficera Pokoju na obszar Szczytów.

- Słyszałem, że mnie szukasz, Storm.

- Próbowałem złapać cię w biurze - potwierdził Hosteen. Nie bardzo wiedział, jak sformułować pytanie. Tak po prostu, zapytać, co się dzieje? Ale Kelson mówił dalej.

- Co za zbieg okoliczności. Chciałem się właśnie z tobą skontaktować. Dzwoniłem do Szczytów - Quade mówił, że rejestrujesz tu ziemię. Zdecydowałeś się osiedlić?

- Tak. Będę hodował konie z Putem Larkinem. Poleciał teraz na Astrę, słyszał o jakiejś nowej rasie, którą wyhodowali tam krzyżując ziemskie konie z lokalnym gatunkiem dwurożca. Znosi podobno świetnie tamtejszy pustynny klimat - tak przynajmniej twierdzą hodowcy.

- Byłyby niezłe na Wielką Suszę, co? To jest myśl. Ale jeszcze nie założyłeś rancza...

- O co mu chodzi - zastanawiał się Hosteen. Przecież nikt nie zaczynałby hodowli przed nadejściem deszczów.

Kelson skinął na kogoś.

- Mamy pewien problem... Może mógłbyś nam pomóc. Możemy się przysiąc? Czas jest tu bardzo cenny...

Do stolika podszedł człowiek. Rzadko spotykano kogoś takiego w rejonie Galaktyki. Jego połyskliwa, dopasowana tunika ozdobiona wzorem ze srebrnej nici oraz czarne, długie bryczesy były strojem człowieka interesu z którejś z gęsto zaludnionych, kupieckich planet. Ubiór - tam zapewne ostatni krzyk mody, tu był zupełnie nie na miejscu, nie pasował też do krępej postaci obcego. Jednak zacięta twarz, o kwadratowym, mocnym podbródku i ponurych oczach zdradzała człowieka nawykłego do wydawania rozkazów. Nie była to zabawna postać. Hosteen od razu zorientował się, jaki typ osobowości reprezentuje nieznajomy i zeszywniał - nie przepadał za takimi.

- Szanowny Homo Lass Widders, Mistrz Zwierząt Storm.

Kelson dokonał prezentacji używając grzecznościowego zwrotu stosowanego na wewnętrznych planetach. Obcy nie czekając na zaproszenie usiadł przy stole naprzeciw Ziemianina i nie przestawał przyglądać mu się taksujące.

- Nie jestem już w armii - sprostował Hosteen. - Więc nie Mistrz Zwierząt - teraz pracuję u Quade'a.

- Od godziny jesteś raczej właścicielem posiadłości, nieprawdaż? Wbiłeś swoje słupy. Masz już godło? - spytał Kelson.

- Grot "S" - odpowiedział machinalnie Storm. - Czego pan sobie życzy od zdemobilizowanego Mistrza Zwierząt, Szanowny Homo?

- Miesiąca, może dwóch pańskiego czasu i usług - bez namysłu odparł Widders używając mlaszczącego dialektu planet kupieckich. - Chcę, żeby pan... ze swoją drużyną... zaprowadził mnie do Błękitnej Strefy.

Hosteen zamrugał i spojrzał na Kelsona, żeby sprawdzić, czy się nie przesłyszał. Ku jego zaskoczeniu, wyraz twarzy Oficera Pokoju wskazywał, że przybysz miał na myśli dokładnie to, co powiedział.

- Czas jest bardzo cenny, Mistrzu Zwierząt. Wiem, że jeśli nie wyruszymy tam w ciągu dwóch tygodni, będziemy musieli czekać aż do następnej pory deszczowej.

Tym razem Hosteen bez mrugnięcia okiem odparł krótko.

- To niemożliwe.

- Nie ma rzeczy niemożliwych - sprzeciwił się z irytującą pewnością siebie Widders - dla odpowiedniego człowieka z odpowiednią ilością pieniędzy. Kelson twierdzi, że właściwym człowiekiem jest pan, a pieniędzmi zajmę się ja.

Nie można było po prostu powiedzieć: nie. Ten szaleniec nie przyjąłby takiej odpowiedzi. Trzeba go wysłuchać, dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi, a potem wykazać mu bezsens jego pomysłu.

- Dlaczego Błękitna? - zapytał Hosteen polewając dokładnie naleśnik sosem lorgowym.

- Tam jest mój syn...

Storm znów spojrzał na Kelsona. Błękitna była obszarem nie znanym. Góry, stanowiące jej zachodnią granicę były naniesione na mapy krainy Szczytów. Ale to, co rozciągało się poza nimi, znano tylko z nieostrych zdjęć lotniczych. Zdradliwe prądy powietrzne uniemożliwiały wyprawy badawcze przy użyciu helikopterów. Poza tym obszar ten był terytorium łowieckim dzikich plemion Norbisów - kanibali, znenawidzonych i zwalczanych nawet przez tubylców. Jeszcze nikomu - ani przedstawicielowi władz, ani osadnikowi, ani łowcy jorisów - nie udało się wrócić z wyprawy do Błękitnej Strefy. Oficjalnie zabroniono takich eskapad. A tu Kelson przysłuchiwał się propozycji wtargnięcia na zakazany teren z takim spokojem, jakby Widders chciał się przespacerować ulicami Galwadi. Hosteen czekał na wyjaśnienie.

- Storm, jest pan weteranem sił Konfederacji. Mój syn również. Służył w desancie...

Hosteen był zaskoczony. Człowiek z wewnętrznych planet w desancie, w najniebezpieczniejszej ze służb - to było dziwne.

- Został raniony, bardzo ciężko, tuż przed końcem. Dostał się na Allpeace...

Allpeace było jednym z centrów rehabilitacyjnych, gdzie ludzkie wraki przywracano do w miarę normalnego stanu. Ale jeśli młody Widders był na Allpeace, to skąd się wziął w Błękitnej Strefie?

- Osiem miesięcy temu z Allpeace wyruszył transport z setką zdemobilizowanych weteranów na pokładzie. Był tam też Iton. Na obrzeżach tego układu statek trafił na zabłąkaną hiperbombę.

Gdyby nie wyraz oczu i drgnienie warg, którego nie potrafił opanować, można by pomyśleć, że Widders gawędzi o pogodzie.

- Miesiąc temu na Mayho, bliźniaczej planecie Arzoru, odnaleziono raketę ratunkową z tego statku. Dwaj ludzie, którzy przeżyli, powiedzieli, że transport opuściła jeszcze co najmniej jedna rakietka i razem z nią dolecieli do tego systemu. Ich pojazd był uszkodzony, więc musieli lądować na Mayho, ale druga rakietka kierowała się na Arzor, a jej załoga obiecała przysłać pomoc...

- Ale nie dotarła - stwierdził Hosteen.

Kelson potrząsnął głową.

- Nie. Jest szansa, że dotarła, że rozbiła się w Błękitnej Strefie.

Automaty odebrały słabe sygnały w dwóch punktach łącznościowych w Szczytach. Kierunki, z których nadchodziły sygnały, krzyżują się w Błękitnej.

- A wasz klimat o tej porze roku jest zabójczy dla rozbitka pozbawionego zapasów i środków transportu - podjął Widders. - Chcę, żeby mnie pan tam zaprowadził. Chcę uratować syna...

- Jeżeli był on w tej rakiecie i jeżeli przeżył - dodał w myślach Storm, po czym odparł głośno:

- Szanowny Homo, żąda pan rzeczy niemożliwej. Wyprawiać się o tej porze do Błękitnej to po prostu samobójstwo. Nie ma mowy o przejściu przez góry w czasie Wielkiej Suszy.

- Ale tubylcy żyją w górach przez cały rok. - Widders podniósł głos.

- Tak, Norbisowie żyją tam, ale nie dzielą się z nami swoją znajomością tej krainy.

- Może pan wynająć przewodników - tubylców, cokolwiek pan uzna za potrzebne.

Fundusze są nieograniczone...

- Nie da się kupić wiedzy o źródłach od Norbisa. Jest jeszcze coś innego. Właśnie teraz plemiona zbierają się w Szczytach na tajemne obrady. Nie moglibyśmy wjechać na te tereny, gdyby nawet była to pora deszczowa.

- Słyszałem o tym - odezwał się Kelson. - Trzeba się temu przyjrzeć...

- Beze mnie! - Hosteen potrząsnął głową. - Kroją się tam kłopoty. Jestem tu również dlatego, żeby o tym zameldować i żeby wynająć nowych poganiaczy na miejsce naszych Norbisów. W ciągu ostatniego tygodnia wszyscy tubylcy, co do jednego opuścili Szczyty...

Kelson nie wyglądał na zaskoczonego.

- Słyszeliśmy o tym. Kierują się na północny wschód.

- Do Błękitnej - sprecyzował Storm.

- Właśnie. Byłeś w pobliżu, gdy odkryłeś kryjówkę Xików. A Logan polował w tych okolicach. Jesteście jedynymi osadnikami, którzy mogą się nam przydać - dodał Kelson.

- Nie. - Hosteen starał się, aby zabrzmiało to ostatecznie.

- Nie zwariowałem. Przykro mi, Szanowny Homo, ale Błękitna jest strefą zamkniętą z kilku powodów.

Oczy Widdersa nie były już ponure, iskrzyły się gniewem.

- A jeśli nie przyjmę tego do wiadomości?

Hosteen rzucił monetę na blat stołu.

- To pańskie prawo, Szanowny Homo, nie mój interes. Do zobaczenia, Kelson.

Wstał i zostawił Widdersa z jego problemami. Miał własne.

ROZDZIAŁ 3

- Tak to wygląda - Storm nie mógł usiedzieć w miejscu i, przedstawiając wyniki swojej misji w Galwadi, chodził w tę i z powrotem po wielkim pokoju.

- Wynająłem tylko jednego poganiacza i na dokładkę musiałem zapłacić za niego kaucję.

- A co zrobił? - spytał Brad Quade.

- Próbował zaorać ulicę aeropilotem ministra z Valodi. Minister nie wydawał się uszczęśliwiony. Jego protest kosztował Haversa dwadzieścia dni paki z zamianą na czterdzieści kredytów. Ostatniego kredytu stracił w "Gwiazdę i kometę", więc go wsadzili. Odsiedział trzy dni, kiedy go wykupiłem. Ale zna się na robocie.

- Spotkałeś Kelsona?

- Kelson spotkał mnie. Odpalił wszystkie rakiety i chce zrobić duże bum, jeśli pytasz mnie o zdanie - nieświadomie przeszedł na wojskowy slang.

Z cienia dobiegł cichy pomruk. To Surra, odbierając jego rozdrażnienie i niepokój, przetłumaczyła je na własną formę protestu.

- Co powiedział?

- Miał na holu jakiegoś typa z wewnętrznych planet. Chcieli przewodnika do Błękitnej - natychmiast!

- Co? - tak jak przedtem Storm, teraz Quade nie wierzył własnym uszom.

Hosteen pokrótce streścił opowieść Widdersa.

- Wszystko jest możliwe, tylko dlaczego jest taki pewny, że to jego syn był w rękach. Sądzę, że chce w to wierzyć - Quade potrząsnął głową. - Norbis mógłby to zrobić. Tylko, że nie znajdzie się Norbis, który by spróbował. Nie teraz. Z drugiej strony...

Quade zawiesił głos. Siedział przy biurku z dwójką dzieci Hing na kolanach - trzecie przysiadło mu na ramieniu. Spojrzał na mapę na ścianie.

- Z drugiej strony, powinniśmy się zainteresować tą okolicą.

- Dlaczego?

- Dort Lancin przeleciał dolinę śmigłowcem. Widział dwa plemiona w drodze. I nie przenosiły one po prostu obozu. Zmierały do jakiegoś celu tak pośpiesznie, że zgubiły klacz...

Storm zatrzymał się, spoglądając w osłupieniu na ojczyzna. Zostawić konia w jakiegokolwiek - poza ratowaniem życia - sytuacji było dla Norbisa czymś niesłychanym.

- Jechali na północny wschód?

Odpowiedź twierdząca nie zdziwiła go.

- Nie mogę tego zrozumieć. To gorsze niż kraina Nitra, przecież tam jedzą MIĘSO - zrobił gest, którym Arzorczycy określali plemiona ludożerców. - Żaden Shosonna ani Warpt, ani Fanga nie wszedłby tam. Byłby nieczysty przez lata...

- Właśnie. Ale tam idą. I to nie oddziały wojowników, ale całe plemiona - z kobietami i dziećmi. W tym zgadzam się z Kelsonem: powinniśmy wiedzieć, co się tam dzieje. Ale jak ktokolwiek z nas mógłby się tam dostać - to zupełnie inna sprawa.

Storm podszedł do mapy.

- Śmigłowiec rozbije się, jeśli prądy powietrzne są rzeczywiście tak silne, jak mówią.

- Są - odparł Quade z niewesołą miną. - Z dobrym pilotem, przy odpowiedniej pogodzie, mógłbyś rozejrzeć się trochę przy granicy, ale nie ma mowy o jakimś dłuższym locie badawczym. Taka wyprawa musiałaby wyruszyć na koniach lub pieszo.

- Norbisowie mają studnie...

- Które są tajemnicami plemiennymi i których nam nie udostępnią.

Storm wciąż przyglądał się górom na ściennej mapie.

- Czy Logan poznał jakieś pieśni wody?

Chociaż przybysze nie potrafili porozumiewać się z tubylcami za pomocą głosu, niektórzy z nich, urodzeni już tu, na Arzorze i wprowadzeni w pewnym stopniu w tradycje Norbisów, mogli zrozumieć - chociaż nie powtórzyć - inny, rzadszy sposób komunikacji. Były to długie, melodyjne zawołania, brzmiące prawie jak śpiew. Mogły być one

ostrzeżeniem lub nieść ze sobą jakąś informację. Poganiacze wiedzieli na przykład, że niektóre z nich mówiły o znalezieniu wody,

- Mógł poznać.

- Jesteś pewien, że jedzie z Krotagiem?

- Nie pozwolono by mu przyłączyć się do innego plemienia.

Fretki obudziły się i zapiszczały. Surra warknęła czujnie i cicho podeszła do drzwi.

- Ktoś się zbliża... - stwierdził Storm. Surra znała każdego mieszkańca posiadłości: ludzi i zwierzęta. Teraz oczekiwała obcego.

Fenomenalny słuch i nie gorszy węch pustynnego kota zapowiedziały przybyszów na długo przed tym, nim doszli do drzwi, w których przywitał ich Quade. Snop światła padający z okna wydobyl z mroku zieloną kurtkę Oficera Pokoju, a po chwili usłyszeli jego powitanie.

- Halo, ranczo!

- Ogień czeka! - Brad Quade odkrzyknął zwyczajową formułkę.

Storm nie był zdziwiony widząc, że Kelsonowi towarzyszył Widders. W swym starannie dobranym stroju wydawał się tu jeszcze bardziej nie na miejscu. Dom Quade'a był urządzone wygodnie, ale raczej prosto. Większość ozdób stanowiły różne rodzaje tubylczej broni, meble z tutejszego drewna wyszły spod ręki osadników, a gdzieś widać było pamiątki z misji, jakie Brad pełnił na innych planetach w czasie swojej służby w Sekcji Badawczej.

Widders pewnym krokiem przestąpił próg i zatrzymał się nagle przed Surrą.

Wielki kot przyglądał mu się uważnie. Storm wiedział, że zwierzę nie tylko zapamiętało na zawsze wygląd stojącego przed nim człowieka, ale też wyrobiło sobie o nim zdanie. A nie było ono pochlebne dla Szanownego Homo. Surra majestatycznie przeszła do odległego kąta pokoju i wskoczyła na niską, przeznaczoną dla niej leżankę. Ale zamiast spokojnie zwinąć się w kłębek, usiadła wyprostowana, z czujnie nastawionymi uszami, a koniec puszystego ogona drgał nerwowo.

Storm zajął się przygotowaniem kawy. Jego wcześniejsze napięcie wzrosło jeszcze bardziej. Kelson przywiózł tu Widdersa. Znaczyło to, że żaden z nich nie zrezygnował z szaleńczego pomysłu wyprawy do Błękitnej. Jednak słowo Quade'a miało swoją wagę. Hosteen nie wierzył, żeby wynik rozmowy zadowolił przybyłych.

- Cieszę się, że przyjechałeś - Quade zwrócił się do Kelsona.

- Mamy tu problem...

- Ja mam problem, Szanowny Homo - wtrącił Widders. - Wiem, że ma pan syna, który dobrze zna dzikie tereny, polował tam. Chciałbym się z nim zobaczyć. Jak najszybciej.

Twarz Quade'a nie drgnęła, ale Hosteen, tak jak rozpoznawał emocje Surry, odczuł reakcję ojczyzna na to obcesowe wystąpienie.

- Mam dwóch synów - odparł powoli osadnik. - I obydwaj mogą się poszczycić dobrą znajomością Szczytów. Hosteen powiedział mi już, że chciałby pan udać się do Błękitnej Strefy.

- A on odmówił.

Widders pod maską spokoju wrzał z wściekłości. Nie zwykł i nie lubił napotykać na sprzeciw.

- Gdyby się zgodził, znaczyłoby, że pilnie potrzebuje opieki medycznej - odparł sucho Quade. - Kelson, zdajesz sobie przecież sprawę z tego, że ten pomysł to skrajna głupota.

Oficer Pokoju wpatrywał się w swoją kawę.

- Tak, Brad, zdaję sobie sprawę z ryzyka. Ale musimy się tam dostać - to konieczne! A wodzowie, tacy jak Krotag, mogą zgodzić się na taką wyprawę - zrozumieją ojca poszukującego syna.

Ach, więc to tak! Kawalek układanki trafił na swoje miejsce. Hosteen zrozumiał, że to, co mówi Kelson, ma jednak sens. Była jakaś ważna przyczyna, by zbadać Błękitną, a wyprawa Widdersa byłaby do przyjęcia dla Norbisów, dla których więzy rodzinne i plemienne były czymś bardzo istotnym. Ojciec poszukujący syna - tak, to mogła być podstawa do rozmów, które w normalnych warunkach zaowocowałyby pewnie zdobyciem przewodników, wierzchowców, może nawet udostępnieniem kilku ukrytych źródeł. No tak, ale to nie były normalne warunki i tubylcy zachowywali się bardzo nienormalnie.

- Logan zawarł braterstwo krwi z kimś z plemienia Krotaga, prawda? - naciskał Kelson. - A ty i Gorgol - spojrzął na Hosteena - polowaliście i walczyliście razem.

- Gorgol odjechał.

- Logan też - dodał Quade. - Wyjechał pięć dni temu, żeby przyłączyć się do wyprawy Krotaga...

- Do Błękitnej! - wykrzyknął Kelson.

- Nie wiem.

- Klan Zamla był w okolicach Pierwszego Palca - Kelson odstawił kubek i podszedł do ściennej mapy. - Obozowali tam, gdy sprawdzałem ostatnio - wskazał palcem jeden z długich, wąskich wąwozów prowadzących przez Szczyty do Błękitnej.

Storm poruszył się niespokojnie, podniósł z podłogi małą fretkę i przytulił go do piersi. Zwierzątko wierzgało łapkami i gruchało sennie. Logan pojechał z Norbisami.

Dlaczego tak zrobił, było może ważne, ale ważniejsze było to, że w ogóle pojechał. Chłopak mógł paść ofiarą własnej lekkomyślności, spotykając niebezpieczeństwa groźniejsze niż sama Wielka Susza.

Patrząc niewidzącym wzrokiem na mapę, Hosteen zaczął planować. Deszcz - nie, nie może go wziąć. Ogier pochodził z innej planety, na Arzorze nie przeżył jeszcze roku. Będzie potrzebował tutejszych wierzchowców - przynajmniej dwóch, a jeszcze lepiej czterech. W czasie suszy trzeba często zmieniać konie. I po dwa juczne zwierzęta na człowieka do transportu wody. Resztę zapasów powinny stanowić koncentraty, które - chociaż niesmaczne - dostarczają energii starczającej na długie dni.

Surra? Odwrócił głowę i nawiązał telepatyczną łączność z kotem. Tak - Surra. Fala zapachu była odpowiedzią na jego nieme pytanie. Surra... Baku... Hing miała obowiązki wobec dzieci, a poza tym nie będzie potrzebował tym razem jej dywersyjnych talentów. Z Baku i Surrą brak szans zmienił się w nikłą szansę powodzenia. Ich zmysły, czulsze niż u przybyszów czy tubylców, mogły wykryć tak potrzebną wodę.

Quade przerwał ciszę i z szacunkiem należnym jego doświadczeniu i zdolnościom zwrócił się do pasierba:

- Są jakieś szanse?

- Nie wiem... - Storm nie dawał się poganiać. - Tutejsze konie, koncentraty, zapasy wody...

- Zapasy mogą być dowieszone przez śmigłowce! - zwycięsko wykrzyknął Widders.

- Musielibyście mieć doświadczonego pilota, doskonałą maszynę, a i wtedy nie dałoby się dolecieć zbyt daleko - stwierdził Quade. - Prądy powietrzne są tam bardzo silne...

- Zrzuty wzdłuż linii marszu - Kelson był prawie tak podniecony, jak Widders. - Moglibyśmy je dowieźć śmigłowcem: woda, zapasy wzdłuż całej drogi przez wzgórza.

Pomysł wydawał się bardziej realny, kiedy pojawiły się możliwości użycia nowoczesnych środków transportu. Tak, zrzuty zapasów mogły wspomagać ekspedycję aż do granicy Strefy pod warunkiem, że nie wzbudziłoby to wrogiej reakcji Norbisów. A dalej... to zależy, co znajdują poza tą granicą.

- Jak szybko może pan wyruszyć? - dopytywał Widders. - Mogę zorganizować zapasy, doświadczonego pilota i gotowy do lotu śmigłowiec w ciągu jednego dnia.

Hosteen poczuł znowu niechęć, którą tamten wzbudził w nim już przy pierwszym spotkaniu.

- Jeszcze nie zdecydowałem, czy w ogóle wyruszę - odpowiedział chłodno. - 'Asizi - odezwał się, nazywając Quade'a wodzem w Języku Navajo i przeszedł na język Rady Szczepów Indian amerykańskich - myślisz, że to da się zrobić?

- Z łaską Tych-Co-Nad-Nami, wspierany siłą dobrych czarów wojownik może zwyciężyć. To moje prawdziwe słowo - odparł w tym samym języku Quade.

- Jest tak. - Storm zwrócił się do obydwu przybyłych. - Chcę być dobrze zrozumiany: ponieważ to ja podejmuję ryzyko, na szlaku decyzja, czy idziemy dalej, czy wracamy, będzie należeć do mnie.

Widders zmarszczył brwi i szarpnął dwoma palcami za dolną wargę.

- To znaczy, że chce pan mieć absolutną władzę, jedyne prawo decyzji, tak?

- Właśnie tak. Ryzykuję życiem własnym i mojej drużyny. Dawno temu nauczyłem się, że głupotą jest wystawiać się na przerastające człowieka niebezpieczeństwo. Decyzja musi należeć do mnie.

Iskry w oczach Widdersa mówiły o jego oburzeniu.

- Ilu ludzi potrzebujesz? - spytał Kelson. - Mogę ci dać dwóch-trzech z Korpusu.

Storm potrząsnął głową.

- Ja sam, Surra i Baku. Wyruszę wzdłuż Pierwszego Palca i postaram się dotrzeć do plemienia Krotaga. Z Loganem i Gorgolem - jeśli uda mi się namówić go do przyłączenia się - będzie nas dosyć. Mała grupa, bez obciążenia, to jedyny sposób.

- Ale ja jadę! - wybuchnął Widders.

Hosteen odparł sucho:

- Jest pan przybyszem, a ponadto nie ma pan żadnego doświadczenia na szlaku. Wyruszę tak, jak powiedziałem, albo wcale!

Przez chwilę wydawało się, że Widders będzie obstawał przy swoim, ale gdy zobaczył w oczach Kelsona i Quade'a potwierdzenie słów Hosteena, wzruszył tylko ramionami.

- No więc kiedy?

- Muszę wybrać konie, przygotować się... dwa dni.

- Dwa dni! - prychnął Widders. - Dobrze. Zmuszony jestem zaakceptować pańską decyzję.

Ale Storm już go nie słuchał. Surra przemknęła obok nich ku drzwiom, a jej wzburzenie udzieliło się Mistrzowi Zwierząt. Ruszył za nią. Świtało już, ale człowiek i zwierzę dostrzegli blask. Bardzo daleko, za horyzontem niebo przeszył ognisty miecz. Błyskawica? To nie była burzowa pora roku, a poza tym "błyskawica" strzeliła z ziemi w niebo. Wszystko zniknęło tak szybko, że Storm nie był pewien, czy w ogóle coś widział.

Surra warknęła i prychnęła. Wtedy Hosteen też to poczuł. Poczuł, bo była to raczej wibracja niż dźwięk, tak odległa i słaba, że trudno było stwierdzić, czy nie jest to złudzeniem. Daleko w Szczytach coś się stało.

Krzyk przebudzonego orła stłumił dźwięki wczesnego ranka. Baku ze swej żerdzi przy korralu wydał jeszcze jeden wojenny okrzyk. Odpowiedział mu stukot kopyt Deszcza i rżenie innych koni. Czymkolwiek była ta wibracja, zwierzęta odebrały ją i zareagowały gwałtownie.

- Co to? - Quade wyszedł przed dom. Za nim podążali Kelson i - wolniej - Widders.

- Myślę, że 'Anna 'Hwii'iidzii' - sam o tym nie wiedząc, odpowiedział w języku Navajo Storm - wypowiedzenie wojny, 'Asizi.

- I Logan tam jest! - Quade wpatrywał się w góry. - W takim razie jadę z tobą.

- Nie, Asizi. Jest tak, jak mówiłeś. Tej krainie grozi niebezpieczeństwo. Być może, jesteś jedynym człowiekiem, który potrafi utrzymać pokój. Zabieram ze sobą Baku. Jeśli będzie trzeba, wyślę go po ciebie i innych. Logan jest bardziej zaprzyjaźniony z Norbisami niż ktokolwiek z nas, a braterstwo krwi trwa także w czasie wojny.

Z niepokojem przyglądał się Quade'owi. Nie zamierzał się przechwalać, ale wiedział, że umiejętności jego i jego drużyny dawały mu przewagę nad innymi. Quade znał Arzor, polował w Szczytach, ale tylko Quade mógł zapanować nad osadnikami. Znaleźć się pomiędzy nieznanym czyhającym w Błękitnej Strefie a wyprawą karną z Dumaroyem na czele - było to niebezpieczeństwo, którego Storm wolał uniknąć. Doświadczył już partackiej roboty Dumaroya przed kilkoma miesiącami, kiedy przedmiotem ataku osadników była kryjówka Xików. Bradowi udało się uśmiechnąć.

- Ufam ci, przynajmniej w tej sprawie. Także dlatego, że Logan posłucha może hanaai - starszego brata, gdy zamyka uszy na głos hataa - ojca. Dlaczego tak jest?... - mówił do siebie.

Konie uspokoiły się, a mężczyźni weszli do domu i, sprawdzwszy mapy, ustalili miejsca zrzutów. W końcu Kelson i Widders położyli się. Wieczorem mieli polecieć z powrotem do Galwadi, żeby zorganizować transport. Hosteen rzucił się na łóżko, ale - choć był bardzo zmęczony - nie mógł zasnąć.

Ten błysk w Szczytach, dźwięk czy fala powietrza, która biegła potem - nie mógł uwierzyć, żeby to było zjawisko naturalne. Ale co to mogło być?

- 'Anaasazi' - starożytni wrogowie - szepnął.

Pół roku temu on, Gorgol i Logan, odkryli Grotę Stu Ogrodów, gdzie bujnie rosły botaniczne skarby ze stu różnych światów, nie więdnące, nie tknięte przez czas tak, jak zostawili je wieki wcześniej nieznani przybysze z gwiazd. W tych pozostałościach po ich

cywilizacji nie było nic strasznego ani odpychającego. Wręcz przeciwnie - ogrody oczarowywały, zapraszały przybysza ofiarowując mu zdrowie i spokój. Dlatego uznano ich twórców za istoty życzliwe, chociaż nie znaleziono już innych tego rodzaju pozostałości.

Archeolodzy i ludzie z Sekcji Badawczej badali okoliczne góry, usiłowali dowiedzieć się czegoś z wykopalisk w dolinie ruin niedaleko Jaskini Ogrodów - jak dotąd bez efektu. Ale jeśli jedna góra kryła piękno i rozkosz, to inne mogły też mieć swoje tajemnice. A góry Strefy Błękitnej były najbardziej tajemnicze.

Dziwne przecucie niebezpieczeństwa, które wzbudziło poranne zjawisko, nie chciało zniknąć. W jakichś sposób był pewien, że tym razem jego celem nie jest uroczy ogród.

ROZDZIAŁ 4

Poprzedniego dnia Storm dotarł do pierwszego zrzutu ulokowanego w okolicach szczeliny, która za dnia stała się dla niego i jego zwierząt doskonałym schronieniem.

Nie posuwał się w takim tempie, jakie zaplanował. Teren był niepewny, więc z pełną szybkością mógł jechać tylko o zmierzchu i o brzasku, a te nie trwały długo.

Jak dotąd, jechał po śladach. Tropy Norbisów wciąż się krzyżowały - musiało przejść tędy kilka grup - tworząc miejscami prawdziwą drogę. Znalazł dowody potwierdzające opowieść Dorta Lancina, tubylcy jechali z szybkością niebezpieczną o tej porze roku. Można by powiedzieć, że uciekają przed kimś, kto zagania ich między wzgórza.

Zjawisko w Szczytach nie powtórzyło się więcej, a Surra i Baku nie ostrzegały Storma przed niczym szczególnym. A jednak jakiś niepokój towarzyszył mu stale, gdy podążali doliną wzdłuż wyschniętego strumienia.

Ostrzeżenie nadeszło od Surry. Szarpnięciem za lejce ściągnął konie pod ścianę wąwozu i czekał na kolejną wiadomość od swego futrzastego zwiadowcy. Usłyszał wysoki trel opadający i znów wznoszący się, jak gwizd wiatru w porze deszczowej. Był to sygnał Norbisów. Miał nadzieję, że ze szczepu Shosonna. Ale na wypadek, gdyby się mylił, trzymał w ręce odbezpieczony emiter.

Nagle Surra uspokoiła się. Nadchodzący wartownik czy zwiadowca był kimś znajomym. Hosteen sądził, że tubylec nie dostrzegł kocicy. Jej futro miało kolor tak zbliżony do barwy ziemi, że jeśli tylko chciała, łatwo mogła stać się niewidzialna.

Hosteen podszedł nieco bliżej, prowadząc za sobą konie. Nie chciał dosiadać zwierzęcia w tym upale. Jeszcze godzina, może mniej, i będą musieli ukryć się przed żarem. Jednak po powtórny sygnale Surry wskoczył na siodło. Wobec Norbisa przybysz powinien prezentować się godnie, zwłaszcza, jeśli trzeba będzie prowadzić z nim jakieś pertraktacje.

Ziemianin zawołał. Głos odbił się od ścian kanionu wzmocniony i zniekształcony tak, że mógł się wydawać okrzykiem całego oddziału. Zza zakrętu wyłonił się jeden z krępych, czarnobiałych norbiskich koni. Siedział na nim Gorgol. Nie podjechał bliżej, a jego twarz pozostała bez wyrazu. Mogli być nieznajomymi, pierwszy raz spotykającymi się na szlaku. Chłopak nie puścił też cugli, by porozumieć się z Hosteenem. To Storm uczynił pierwszy gest.

- Szukam Logana... nie można mi tego zabronić.

Pionowe źrenice Gorgola spoglądały na niego, ale nic nie wskazywało, że zrozumiał Ziemianina. Wreszcie wykonał krótki gest zaprzeczenia i odmowy.

- Logan jest z plemieniem- stwierdził Hosteen.

- Logan należy do plemienia - poprawił go Gorgol.

Storm odetchnął z ulgą. Jeżeli chłopiec "należy do plemienia", to znaczy, że nie jest więźniem.

- Logan należy do plemienia - zgodził się Hosteen - ale należy też do plemienia Quade'a. Dotyczy go więc pewna sprawa rodzinna... zadanie do wykonania.

- To nie pora na wypas frawnów ani spęd koni - sprzeciwił się Gorgol. - Plemię podąża w góry na obrzędy magiczne.

- My też mamy swoją magię, a żaden człowiek nie odmawia wezwaniu plemienia. Muszę porozmawiać o tym z Loganem. Czy gdyby nie chodziło o magię, pojechałbym w góry w czasie Wielkiej Suszy? Ja, który nie potrafię wygwizdywać wody?

To zrobiło wrażenie na Gorgolu, ale kiedy Hosteen chciał jechać dalej, chłopak zagroził mu drogę.

- To jest rozmowa plemienna. Krotag zadecyduje. Do tego czasu czekaj.

Nie miało sensu nalegać. Hosteen rozejrzał się wokół. Czekanie mogło potrwać godzinę albo dzień. Jeżeli miał tu zostać, musiał znaleźć jakąś osłonę przed słońcem, które wkrótce zamieni dolinę w rozpalony piec. Gorgol musiał się tego domyślić, bo zawrócił konia.

- Chodź - zasygnalizował. - Jest tu miejsce oczekiwania. Ale będziesz musiał tam zostać.

- Zostanę - zgodził się Storm.

Kryjówka zaskoczyła go. Było to miejsce na obóz mogący pomieścić całe plemię. Zaimprovizowana budowla ze skał i resztek naniesionych przez powódzie w porze deszczowej, wznosiła się nad dołem, który dawał utrudzonym upałem wędrowcom przyjemny chłód.

Było dosyć miejsca dla koni, Surry i Baku, które prędko się tam rozgościły. Hosteen wydzielił wodę i żywność z zapasów, które uzupełnił w miejscu zrzutu. Gdyby trzymał się wyznaczonej trasy, dotarłby do następnej porcji za dwa dni. Ale Norbisowie mogli zakłócić jego plany.

Leżał na chłodnej ziemi i po raz setny zastanawiał się nad swoimi zamierzeniami. Śmigłowiec miał nie tylko zrzucić zapasy, ale i oczekiwać go w ostatnim punkcie po tej stronie Szczytów. Storm chciał go użyć do poszukiwania drogi przez górski łańcuch - gdyby Norbisowie nie mogli lub nie chcieli przeprowadzić grupy osadników do Błękitnej.

Musiał zasnąć, bo zerwał się nagle. Surra trącała go łapą, jak w dawnych czasach Służby. Nie ostrzegała, lecz zwracała na coś jego uwagę, więc sądził, że nadchodzi Gorgol. Ale do kryjówki wśliznął się chłopiec nie noszący jeszcze trofeów wojownika.

- Yuntzil! - Storm wyciągnął obydwie kciuki w pozdrowieniu wojowników. Brat Gorgola był wyraźnie uradowany takim gestem ze strony mężczyzny noszącego blizny, chociaż był to mężczyzna obcej rasy.

- Widzę cię, noszący honorowe blizny - migały szczupłe palce w gasnącym świetle dnia. - Przychodzę, niosąc znaki Krotaga. Upierzony mówi: "W górach nastał czas magii, płomień przyjaźni zmniejszył się. Jeżeli brat naszego brata wjeżdża tu, czyni to wiedząc, że magia może ukarać niedowiarka, chociaż chroni wierzącego."

Ostrzeżenie, ale nie zakaz wstępu. Tyle zyskał. Wyciągnął ręce do światła, żeby Yuntzil nie miał kłopotów z odczytaniem znaków, które czynił powoli i dokładnie.

- Nie jestem niedowiarkiem. Magia i mądrość jednego człowieka nie umniejszają wiary innego. Magia Krotaga mnie nie dotyczy, ale mam własną.

Tego ranka, przed spotkaniem z Gorgolem, przygotował się i włożył odziedziczony po przodkach naszyjnik ze srebra i turkusów. Podczas ich pierwszej wspólnej wyprawy, kiedy stawili czoła Xikom, nosił ten naszyjnik i bransoletę ketoh i wiedział, że te stare ozdoby Norbisowie uznali za talizmany.

- Jeśli brat naszego brata wierzy, niechaj przyjdzie. Może rozmawiać z Krotagiem.

Jechali w mroku. Ale Yuntzil nie trzymał się głównego kanionu, który Hosteenowi wydawał się najprostszą drogą przez góry. Jakąś milę od schronu skręcił nagle w lewo, minął obryw skalny i poprowadził Ziemianina węższą ścieżką. Surra trzymała się Hosteena, bo koń

Norbisa wyraźnie się jej bał. Baku leciał nad nimi i wkrótce Przekazał Stormowi informację o bliskości obozu.

Wydał bezgłośny rozkaz. Rozsądnie było trzymać orła w rezerwie, jako czujnego obserwatora niewidocznego dla zwiadowców. Wiedział też, że wystarczy sygnał, by Surra rozplynęła się w otaczających ciemnościach. W przeszłości wielokrotnie udowodniła, że jej niezwykłym zmysłom nie mogło dorównać żadne stworzenie na Arzorze.

- Teraz! - pomknęło do kota nie wypowiedziane polecenie.

Po obezwładniającym upale gęstniejący zmierzch niósł ze sobą ożywczy chłód. Przed nimi rozblęskło światło - obóz. Hosteen jechał spokojnie za Yuntzilem. Chociaż napiął konie przed opuszczeniem schronu, zwierzęta przyspieszyły kroku czując przed sobą wodę - być może, jedno z ukrytych źródeł.

Wysokie, szczupłe sylwetki przesuwaly się przed ogniskiem. Nie mógł dojrzeć namiotów. Gdyby nie to, że Yuntzil zapraszał go w imieniu wodza, można by uznać to za nocleg zwiadowców lub spotkanych myśliwych. Młody Norbis zeskoczył z konia i z wyciągniętą ręką czekał na cugle Hosteena. Jeżeli nawet zauważył zniknięcie Surry, to nie wspominał o tym.

Ziemianin śmiało wszedł w krąg światła ogniska, zostawiając konie za sobą. Zakreśliło go w nosie od mocnego, prawie przykrego zapachu płonących suchych gałęzi przywiezionych tu z daleka. Było to drzewo fal, używane do obrzędowych ognisk, które nie rosło w górach.

- Hosteen! - niższa postać oddzieliła się od grupy wysokich Norbisów. Jak oni, człowiek ten nosił długie buty ze skóry jorisa, której łuski połyskiwały w blasku ognia. Puklerz z tej samej skóry, tym razem pozbawionej łusek i delikatniejszej, osłaniał tułów. U pasa oznaczającego, że jego posiadacz jest wojownikiem, zwisał półmetrowy nóż członka plemienia. Stroju dopełniał tradycyjny kołnierz z zębów jorisa sięgający ramion i zwisający na piersi. Ponad kołnierzem ciemnobrązowa skóra chłopca, ciemniejsza od skóry Norbisów, połyskiwała kropelkami potu. Włosy przytrzymała szkarłatna taśma. Wyglądał bardziej barbarzyńsko niż otaczający go tubylcy.

Na widok wolnego i zadowolonego w obozie Norbisów Logana Hosteen poczuł, że jego niepokój zmienia się w irytację. Zauważył wyzywający grymas na twarzy brata. Logan sądził, że Storm przyjechał, żeby go zabrać do domu.

Hosteen nie odpowiedział chłopcu, ale patrząc na oczekujących przy ogniu wojowników wyciągnął ręce do światła i zaczął sygnalizować powoli, dostojnymi ruchami wysłannika.

- Ten, kto jest jak ptak Zaml, czyje strzały piły krew, który sam, siłą swych rąk i swojej magii upolował jorisa w jego norze i złego lotnika wśród wzgórz. Będę mówił z tym, który jest wśród was, a nosi w tym życiu imię Krotaga. Będę mówił z przywódcą wojowników i strażnikiem myśliwych.

Norbis poruszył się. Bogate zdobienia jego pasa migotały jaśniej niż łuski na butach, a rogi na głowie ozdobione były czerwoną farbą.

- Jest tu ten, który w tym życiu nosi imię Krotaga - oznajmiły jego palce. - Stoi tutaj. Czego się od niego oczekuje?

- Pomocy. - Hosteen miał nadzieję, że ta lakoniczna odpowiedź pobudzi ciekawość Norbisa.

- Jakiego rodzaju pomocy, człowieku z rzecznej doliny? Przybyłeś tu nieproszony, z własnej woli. Teraz jest dla naszego ludu czas rzeczy ukrytych. Uprzedzono cię o tym, a jednak przybyłeś. A teraz prosisz o pomoc. Pytam jeszcze raz - jakiego rodzaju pomocy oczekujesz?

- Pomocy, jakiej wielokrotnie członkowie plemienia udzielali obcym i sobie wzajemnie. W waszych górach zaginał przybysz...

Kątem oka zobaczył, że Logan drgnął, ale nie zwrócił na to uwagi.

- Są tu tylko ludzie Zamla i ty. Nie słyszeliśmy o żadnym zaginionym. Kto w czasie Wielkiej Suszy wyruszyłby w środek ognia?

- Dobrze pytanie - podchwycił Hosteen. - Kto wyruszałby w środek ognia? Wielu zadaje to pytanie wymieniając plemiona i szczepy!

Ręce Krotaga nie poruszyły się. Bez ruchu stali też wojownicy. Storm zastanawiał się, czy jego szczerłość nie była błędem. Wiedział jednak, że oceniać go będą według otwartości, z jaką przemawia, i pomijanie milczeniem tego niezwykłego exodusu byłoby fałszywym krokiem.

- Nasz lud ma swoje tajemnice, tak jak ty masz twoje - odparł Krotag.

- To prawda. Magia jest osobistą sprawą każdego człowieka. Ale nie przybyłem mówić o magii. Przybysz z innego świata zaginał.

- Powtarzam: nie mówiono o nikim takim - gesty Krotaga były bardzo wyraziste.

- Nie tutaj, nawet nie w Szczytach...

- Ale zmierzasz tutaj. Dlaczego, jeśli nie ma tu człowieka, którego szukasz?

- To są Szczyty. - Hosteen zwinął lewą rękę, a palec wskazujący prawej ręki powędrował nad nią na drugą stronę. - Za nimi jest inna kraina.

Norbisowie wyglądali, jakby Storm jakimś potężnym zaklęciem zamienił ich w kamień.

- Oto historia - Ziemianin zaczął opowiadać o synu Widdersa, nie dając się zbić z tropu niechętnym i sztywnym tubylcom. W języku migowym przekazał historię lądowania rakiety ratunkowej, możliwość przeżycia jakichś jej pasażerów i, wykonując skomplikowane gesty, poczuł nagle, że napięcie wśród jego widowni spada, że tubylcy przejęci są tym, co im opowiada, i że mu wierzą. Czy zechcą go przepuścić do Błękitnej, było osobną sprawą. Sądził, że decyzja nie zapadnie natychmiast. Miał rację. Gdy skończył, Krotag odpowiedział:

- To trzeba przemyśleć, bracie naszego brata. Ogień należy do ciebie.

Odszedł na bok i tak samo postąpili inni, robiąc Stormowi przejście do ogniska. Ziemianin dopełnił rytuału gościnności podchodząc do płomieni, chociaż musiał wstrzymać oddech, by nie zakrztusić się gryzącym dymem. Zajął miejsce w kręgu, co było przyjemne jako symbol, ale w istocie bardzo niewygodne. Kiedy rozejrzał się wokół, tubylców już nie było. Został tylko Logan, przyglądający mu się z wrogą podejrzliwością.

- Nieźle ci poszło - stwierdził.

- Jeśli sądzisz, że to historyjka wymyślona po to, żeby cię stąd zabrać, to wypadłeś z orbity - cierpko odparł Hosteen. - Wszystko to jest prawdą. Ludzie Widdersa zrzucają teraz paczki z zapasami w Szczytach. On jest przekonany, że jego syn jest w Błękitnej.

- Wiesz, że nie pozwolą ci tam wejść.

Hosteen potrząsnął głową.

- Nie wiem. Ty też nie. Chcą cię wziąć ze sobą?

Ku jego zdziwieniu Logan pokręcił głową.

- Nie wiem. Mam taką nadzieję.

- Co się dzieje? Wiesz coś?

- Dzieje się coś, co nigdy się przedtem nie wydarzyło i co zmieniło wszystkie obyczaje. Hosteen, czy kiedy wyruszyłeś na wyprawę do ruin w dolinie, ten archeolog miał przewodnika, który był czarownikiem i który mówił, że Zamknięci chcą ujawnić swoje tajemnice?

- Tak. Ale nic z tego nie wyszło. Xikowie zabili go wtedy, gdy zniszczyli cały nasz obóz po wielkiej powodzi.

- Ale tajemnica została odkryta - znaleźliśmy Grotę Stu Ogrodów. No więc teraz mówi się, że Zamknięci zwołują plemiona, bo zamierzają coś wielkiego. Norbisowie rozesłali drzewca pokoju. Zakończono wszystkie wojny. A przyczyna tego wszystkiego leży gdzieś w Błękitnej. Tylko że cała ta sprawa to magia. Jeśli wmieszają się w to nasi, wszystko weźmie

w łeb. Jeden fałszywy ruch i Norbisowie obrócą się przeciwko nam. Musimy siedzieć grzecznie i cicho, dopóki nie będziemy wiedzieć, o co tu chodzi. Pomyślałem sobie, że Krotag weźmie mnie ze sobą i będę mógł się czegoś dowiedzieć. Wyobrażam sobie, jaką frajdę sprawiłoby takiemu Dumaroyowi rozpędzenie norbiskich obrzędów.

- Właśnie dlatego 'Asizi siedzi teraz w dolinie jak na beczce prochu. Nie przyszło ci do głowy, że mógłbyś z nim pogadać, zanim przepadłeś?

Logan zaczerwienił się.

- Wiem, wiem. Uważasz, że powinienem był to zrobić. Ale to nic by nie dało, na pewno skończyłoby się kłótnią. Nadajemy na różnych falach. Brad Quade... to gość... takiego potrzebują ci z doliny. Ja jestem narwaniec... Nie potrafię siedzieć na ranczo, hodować frawny i być synem swojego ojca! Z nim było chyba tak samo. Zaciągnął się przecież do Sekcji Badawczej, prawda? I obleciał wszystkie gwiazdy. A kiedy ja mogłem spróbować czegoś takiego, trwała wojna i nie było Badawczej. A do służby nie chcieli mnie wziąć, bo byłem za młody. No więc zacząłem jeździć z Norbisami. Czasami wydaje mi się, że jestem bardziej podobny do nich niż do ludzi takich jak Jaffe czy Starle.

No cóż, chyba za bardzo liczyłem na Zwiadowców. Kelson obiecał, że będę na głównej liście, ale nie wyszło tak, jak sądziliśmy. Może trochę przez to... W każdym razie wróciłem do polowań z Norbisami... i usłyszałem o tym. Wszystko stało się tak nagle, że nie mogłem czekać i rozmyślać. Musiałem ruszyć z nimi zaraz albo wcale. W dolinie za dużo mówią, a za mało robią! Tym razem na pewno miałem rację.

Hosteen wzruszył ramionami. Sprzeczką nie miała teraz sensu, zresztą rozumiał chłopaka. Jak sam trafnie zauważył, Logan odziedziczył po ojcu żyłkę do przygód, która kiedyś, w młodości, zawiodła Brada Quade'a na odległe planety.

- Zgadzam się. Zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne. Ale ja jestem tu w związku z Widdersem...

- I z węszeniem dla Kelsona...

- Jeśli złożę meldunek Kelsonowi, zrobię tylko to, co ty miałeś w planie. Pomyśl rozsądnie, Ach'ooni - rozmyślnie użył słowa oznaczającego brata – przyjaciela. - Wiemy obydwaj, że mogą z tego wyniknąć kłopoty nie tylko dla osadników, ale i dla plemion. Przedtem trafiliśmy na Xików, teraz może nas czeka coś podobnego. Poszukiwania zaginionego człowieka to wymówka, którą Norbisowie mogą przyjąć.

- Dobrze. Pomogę ci.

- Przyłączysz się?

Logan zawahał się.

- Jeżeli cię nie zawrócą...

Usiedli z dala od ogniska i ceremonialnie podzielili się wodą z manierki Hosteena. Ktokolwiek im się przyglądał, widział, że nie ma w nich gniewu. Kiedy Storm zakręcił naczynie, zbliżył się Krotag.

- Myśleliśmy o twojej sprawie - gwałtownie poruszył palcami.

- Możesz jechać z nami... potem zwrócimy się do magii.

- Jak zechce Krotag. - Hosteen skłonił głowę z szacunkiem, a potem spojrzał wodzowi prosto w oczy. - Zgadzam się. Czy ty zgodzisz się ze mną, gdy nadejdzie czas?

Krotag nie odpowiedział. Dwóch młodzieńców zasypywało ognisko. Reszta prowadziła konie i przygotowywała się do wymarszu.

ROZDZIAŁ 5

Hosteen potarł brodę wierzchem dłoni i skrzywił się z bólu. Wargi miał suche i spękane. Większość wody oddał zwierzętom, a nie chciał prosić tubylców, by użyczyli mu swoich malejących zapasów. Jeżeli w ciągu godziny nie odbije w kierunku oczekującego go zrzutu, znajdzie się w kłopotcie. Nie wiedział, czy było to zaplanowane przez Krotaga posunięcie, które miało zniechęcić go do dalszej podróży, ale jego podejrzenia rosły z każdą chwilą. Nie wątpił, że trafi do kryjówki - doprowadzi go tam Baku - ale wkrótce jego wierzchowce nie będą zdolne do dalszej drogi. A chociaż był zaprawiony w trudach podróży, wątpił, czy uda mu się dojść tam na piechotę.

No cóż, zwlekanie nie miało sensu. Ruszył do przodu, mijając wojowników, aż dotarł do Krotaga. Kiedy ich konie zrównały krok, odezwał się z pozorną swobodą.

- Nadeszła chwila rozdzielenia szlaków. Ten, kto nie potrafi wygwizdywać wody, musi poszukać jej gdzie indziej.

- Nie prosisz o nią tych, co potrafią?

- Któż w czasie Wielkiej Suszy prosi przyjaciół o wodę? Jest cenniejsza od krwi. Ten, który wysłał mnie na poszukiwanie swojego syna, wysłał też wodę - przenosząc ją w powietrzu.

Czy i tym razem jego prawdomówność okaże się dobrą taktyką? Podróże powietrzne osadników nie stwarzały problemów na nizinach i były tolerowane na części obszarów wyżynnych. Ale od początku Norbisowie zgadzali się tylko na jeden port kosmiczny

twierdząc, że Ci-Co-Ciskają-Pioruny w górach nie mogą być oglądani z powietrza. Może nie zgodzą się na śmigłowiec, zwłaszcza teraz.

Z twarzy wodza nie można było odczytać żadnego uczucia, ale przez długą chwilę przyglądał się Ziemiańninowi. W końcu palce poruszyły się.

- Gdzie jest ta woda przyniesiona przez powietrze?

Zgodnie z miejscowym zwyczajem, Storm wskazał podbródkiem na południowy wschód od szlaku. Krotag rzucił przez ramię świergotliwy rozkaz i dwóch wojowników odłączyło się od szyku. Za nimi nadjeżdżał Logan.

- Nikt nie odmówi wody, jeśli można ją znaleźć - Krotag powtórzył pierwsze prawo swego ludu. - Ale w tej krainie można spotkać dzikich, a ty masz wiele koni. Będzie rozsądniej, jeśli nie pojedziesz sam. Oni będą dodatkowymi łukami - kciukiem wskazał na tubylców.

Gorgol i syn wodza Kavok - w tym wyborze Hosteen dostrzegł chęć zabezpieczenia się. Obaj znali zwyczaje osadników, pracowali u Quade'a. Kiedyś sądził, że z Gorgolem łączy go przyjaźń, ale wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że stał się ostrożniejszy w ocenie stosunków z młodym wojownikiem.

Logan podjechał do nich.

- Ja też chciałbym jechać.

Krotag znów zastanowił się chwilę, po czym wyraził zgodę. Potem sznur tubylców ruszył wolno dalej w wieczornej szarówce, Hosteen zaś odciągnął na bok swoje konie: luzaki i juczne klacze. Surra, zgodnie z poleceniem, wbiegła już w boczny wąwóz, którym mieli dostać się z powrotem do szerokiego kanionu wiodącego do Błękitnej.

Droga była ciężka i w ciemności musieli jechać pomału. Logan trzymał się obok Hosteena.

- Jak daleko do tego zrzutu?

- Nie wiem, może dzień drogi. Zależy, jak bardzo odbiłem od kierunku przyłączając się do plemienia.

- Będziemy się musieli gdzieś ukryć przed słońcem...

Ta myśl prześladowała Storma coraz silniej w miarę, jak mijały godziny. Pół nocy wypatrywał jakiegoś miejsca, które mogłoby stać się schronieniem za dnia. W tych poszukiwaniach nie był osamotniony - Gorgol i Kavok jechali wzdłuż brzegów kanionu jakby szukając punktów orientacyjnych.

Świergocące wołanie nadeszło od Kavoka i, choć nie rozumieli, co mówi, pospieszyli ku niemu. Młody Norbis zsiadł z konia, przykleknął na ziemi i wodził ręką po czymś, co

Hosteenowi wydawało się nietkniętą powierzchnią. Potem ruszył naprzód, prowadząc za sobą konia, jakby podążał jakimś niewidocznym szlakiem.

Skręcili z głównego wąwozu w boczny parów, który piał się ostro w górę. Kavok znowu ukląkł i zaczął rozgrzebywać ziemię długim myśliwskim nożem. Gorgol pośpiesznie przyłączył się do niego. Hosteen i Logan patrzyli w zdumieniu.

Nadbiegła Surra. Zatrzymała się metr od dołu, który zdążyli już wygrzebać Norbisowie i wężąc intensywnie wydała głęboki pomruk. Gorgol zerknął przez ramię i, widząc kota, dotknął ramienia Kavoka wskazując mu to na Surre, to na wykopaną jamę. Hosteen odebrał nagłą falę łowieckiej namiętności płynącej z umysłu kota. Coś tam było. Poza zasięgiem błyskających noży i pracowitych rąk w ziemi kryło się coś, co podniecało łowiecki instynkt Surry.

Nagle ziemia umknęła Norbisom spod rąk i obydwaj odskoczyli do tyłu. W miejscu, gdzie kopali, ział powiększający się otwór, jakby odkryli podziemną otchłań. Noże trzymali nadal w pogotowiu, ale tym razem raczej dla obrony przed atakiem. Hosteen, biorąc z nich przykład, wyciągnął emiter. Gorgol wzniosł dłoń w geście oczekiwania.

Surra podpełzła do otworu szorując brzuchem po ziemi. Czubek ogona drżał niecierpliwie, a szerokie łapy stąpały ostrożnie z precyzją skradającej się łowczyni.

Norbisowie odsunęli się na boki, a Hosteen poczuł, że traci kontakt psychiczny ze zwierzęciem. Kot był teraz maszyną do polowania, w tym stanie nie reagował na rozkazy i nic nie mogło go powstrzymać. Futrzasty łeb z czujnie nastawionymi uszami zawisł nad otworem. Nagle, tak szybko, jakby rozpląnęła się w mroku, Surra znikła w jamie.

Gorgol przysiadł na piętach. Storm chwycił go gwałtownie za ramię.

- Co jest pod ziemią? - zapytał.

- Nora dżimbuta - odpowiedział Logan, zanim Gorgol zdążył unieść rękę.

- Dżimbuta? - powtórzył Hosteen, nie potrafiąc znaleźć znaczenia dla tego słowa. Nagle przypomniał sobie błam czarnego futra o kręconym włosie, równie piękny, jak skóry frawnów, który zdobił ścianę na ranczo Quade'a w Dorzeczu. Ale ta skóra pochodziła z dużego zwierzęcia, mniej więcej wielkości Surry. Czy kocica zaatakowała taką bestię w jej własnym legowisku?

Odepchnął Gorgola i nie zastanawiając się, co robi, skoczył w dziurę. Jedną ręką przyciskając do piersi emiter, drugą wyciągnął zza pasa atomową latarkę.

Spadł ciężko na stertę piachu. Przykucnął, nasłuchując. Z każdą chwilą wyraźniej czuł panujący tu chłód, zaczął drżeć. Kiedy zapalił latarkę, zobaczył, że znajduje się w środku sporej jamy. Obróciwszy się ujrzał wejście do tunelu na tyle obszernego, że zmieściłaby się

tam Surra lub człowiek posuwający się na czworakach. Zbliżył się do niego i znów przykucnął.

Głosy było słyhać dość wyraźnie: pomruk, przechodzący w wyzywające pryhanie - to był kot pustynny. Odpowiedział mu dziwaczny warkot zakończony jakby chrząknięciem i rozległy się odgłosy; zażartej walki. Tunel musiał przechodzić w większą komnatę, gdzie było dość miejsca na takie starcie. Hosteen tkwił już głową i ramionami w przejściu, gdy chrząknięcie przeszło w głęboki, urwany nagle jęk. Jego umysł odebrał falę triumfalnego uniesienia, a po chwili dobiegł go zwycięski ryk kota.

Trzy metry, może trochę więcej i znalazł się w drugiej komnacie. Zapach krwi łączył się tam z ciężką wonią piżma. W świetle latarki ujrzał Surrę przednimi łapami wspierającą się na kłębie zakrwawionego futra. Jej żółte oczy płonęły dziką radością. Kiedy Hosteen przyklęknął przy niej, usiadła i zaczęła lizać długą, czerwoną pręgę biegnącą przez łopatkę. Jej rany były nieliczne i niegroźne.

Ziemianin rozejrzał się wokół. W ścianach było wiele otworów: z niektórych dochodziły nieznane zapachy. Było tu dużo miejsca. Nie był pewien, czy to owoc pracy dżimbuta, czy naturalna formacja, ale ta grota miała przynajmniej dwa na pięć metrów i mógł się w niej swobodnie wyprostować.

Surra jeszcze raz liznęła ranę i zaczęła obwąchiwać sponiewierane ciało swojej ofiary, pomrukując i trącając je łapą. Hosteen skierował w jej kierunku światło latarki. Stworzenie było wielkości Surry, a może trochę większe. Miało zwalisty tułów, cztery krótkie łapy zakończone pazurami, z którymi Storm wolałby się nie spotkać. Głowa wyglądała, według ziemskich kryteriów, dziwacznie. Na okrągłej czaszce nie było widać uszu. Oczu początkowo też nie mógł znaleźć. Wreszcie, gdy nachylił się nad zwierzęciem, dostrzegł okrągłą, białą gałkę na wpół ukrytą pod długimi włosami. Pysk był szeroki i płaski, wydłużający się ku przodowi w dziwny, zębaty ryj.

- Dżimbut, niech mnie kule... - do groty wgramolił się Logan.

- Surra nieźle go urządziła, grzeczna dziewczynka.

Surra spojrzała na niego spod na wpół przymkniętych powiek i zamruczała w odpowiedzi.

- Mamy fart - ciągnął Logan. - To chyba najlepsza kryjówka, jaką można znaleźć w górach.

I o to chodziło Norbisom. Legowisko dżimbuta nie składało się tylko z dwóch jaskiń i łączącego je korytarza. W ścianach komnaty znajdowało się wiele otworów prowadzących do pomieszczeń zawierających zapasy. Podziemie było tak skonstruowane, że chroniło przed

upałem nawet, gdy poszerzyli wejście, by wprowadzić konie. Wilgotny chłód zniknął, ale ludzie, rozlokowani w pomieszczeniach zapasowych i zwierzęta w głównej komnacie, byli znakomicie chronieni przed słońcem. Tubylcy porozdzielali zgromadzone tu nasiona i korzonki tak, że i wierzchowce, i ludzie otrzymali smaczną strawę.

Hosteen żuł żółtozielony strąk. Gdy przegryzł twardą skorupę, usta wypełniła mu soczysta, odświeżająca miazga. Przez zburzone ściany przenikały promienie słońca, ale jego morderczy żar ich nie sięgał, więc przedrzemali większą część dnia.

Ziemianin nie wiedział, co spowodowało, że obudził się, czujny, jak za dni służby. Może poczuł drzenie ziemi przewodzącej daleki tętent? Podniósł się w niewielkiej izdebce, którą dzielił z Loganem, i usłyszał niespokojne stąpanie koni. Surra była albo poza zasięgiem psychicznego kontaktu, albo nie chciała odpowiedzieć na wezwanie. Po widocznych stąd skrawkach nieba poznał, że nadchodzi wieczór. Z dala słyszał zbliżających się jeźdźców.

Przykrył ręką usta śpiącego na wznak Logana - chłopak ocknął się bez słowa. Widząc nieme pytanie w jego oczach Hosteen ruszył do zewnętrznej komnaty. Wpełzli między konie i zobaczyli Gorgola, który zaciskał chrapy swojego wierzchowca, powstrzymując go przed powitalnym parsknięciem. To upewniło Storma w jego podejrzeniach.

- Wróg? - zasygnalizował.

Shosonna przytaknął gwałtownie.

Byli w fatalnej sytuacji. Wyprowadzić konie na zewnątrz było w najlepszym razie trudnym zadaniem, a zostać zaskoczonym przy tym zajęciu... Hosteen wezwał Surre. Był pewien, że kot wy dostał się już z nory. Baku pofrunął pewnie do zrzutu i tam na nich czeka - nie wrócił poprzedniego wieczoru, a umiejętność latania oszczędzała mu trudów podróży, które musieli znosić inni. Ale Surra musiała być w jego zasięgu.

- Kto? - zwrócił się do Gorgola.

- Dzicy.

- Drzewca pokoju są wzniesione - zaprotestował Logan.

Gorgol szarpnął głową, co znaczyło tyle, co ziemskie wzruszenie ramionami

- Mogą być z daleka... chcą koni.

Shosonna i inne szczepy z nizin miały własne sposoby gromadzenia stad: chłopcy zatrudniali się jako poganiacze, myśliwi mogli handlować upolowanymi jorisami i w ten sposób zdobywać środki na zakup koni. Dzikie, wyżynne plemiona zazdrościły swym krewniakom, ale obawiały się kontaktów z osadnikami. Znalazły więc inną drogę zdobywania cudzych zwierząt, które Arzorczycy przyjęli tak samo łatwo, jak indiańscy przodkowie Hosteena, gdy Europejczycy sprowadzili konie na równiny Zachodu. Dzikie plemiona stale

doskonalili swój kunszt koniokradów. Trop oddziału Hosteena musiał być dla nich doskonałą wskazówką. Każdy doświadczony tropiciel z łatwością odczytałby ze śladów, że czterech jeźdźców prowadzi dziewięć koni, licząc juczne i luzaki. To była gratka, przy której drzewce pokoju niewiele znaczyło. Wystarczyło, by wrogowie zaczekali, aż brak wody wygna osaczonych z kryjówek.

Zostawała tylko Surra. Pokazał to Gorgolowi, a ten porozumiał się z Kavokiem, po czym odpowiedział:

- Nie ma tu futrzastej. Kavok widział, jak wychodziła, gdy słońce było jeszcze wysoko. Może być poza zasięgiem twojego wezwania...

Hosteen oparł rękę o kruchą ścianę jaskini, zamknął oczy i całą wewnętrzną siłę włożył w jedno wołanie - długie, bezgłośnie i - miał nadzieję - sięgające wystarczająco daleko, by dotrzeć do kota.

Udało się. Przez kilka chwil wydawało mu się, że ogląda świat inny, dziwny i jakby skrzywiony, co znaczyło, że złapał kontakt ze zwierzęciem. Wydał polecenie i odebrał zgodę Surry. Nie potrafiła określać odległości, więc nie wiedział, jak bardzo oddaliła się od kryjówek, ile czasu zajmie jej powrót i wytropienie wrogów, a od tego zależało życie ludzi ukrytych pod ziemią. Przed atakiem miała jednak dać mu sygnał.

- Surra wkracza do akcji? - spytał szeptem Logan.

Hosteen skinął głową. Napięcie, w jakim trwał nawiązując psychiczną więź z Surrą, jeszcze trwało. Gorgol podniósł głowę, jego nozdrza rozděły się.

- Otoczyli nas - zasignalizował.

- Ilu?

Gładka, bezwłosa głowa o białych rogach, które połyskiwały w wieczornym świetle, obróciła się wolno z boku na bok, zanim odpowiedział:

- Czterech... pięciu... - pstryknął palcami w miarę, jak lokalizował jeźdźców za pomocą swego naturalnego radaru. - Sześciu... Doliczył do dziesięciu. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Kavok nie miał dość miejsca, by użyć łuku. Logan i Hosteen mieli emitery, Gorgol też - dostał go od Storma w czasie ich pierwszej wspólnej wyprawy wojennej, - ale broń osadników była środkiem obronnym i, by jej użyć, trzeba było widzieć cel. Surra była gotowa.

Hosteen ostrzegł resztę. Kavok rzucił bezużyteczny łuk i wyciągnął nóż. Zostawili konie i podeszli do brzegu zejścia, którym sprowadzili zwierzęta do jaskini.

- Teraz! - powiedział Storm, przesadnie poruszając wargami.

Wiedział, że w ten sposób zostanie zrozumiany przez Gorgola. W tej samej chwili posłał rozkaz kotu.

Wysoki, raniący uszy okrzyk Surry przeszył powietrze. Odpowiedzią było przerażone rżenie koni, tych za nimi i tych z przodu, przy wejściu. Usłyszeli tętent kopyt i piskliwe okrzyki Norbisów.

Hosteen rzucił się ku wyjściu. Przetoczył się za skałę i podciągnął, by ocenić sytuację. Surra znów zawyła i zobaczył postać o niebieskich rogach stojącą lekkomyślnie na otwartej przestrzeni. Nitra naciągał cięciwę. Ziemianin nacisnął spust i posłał wiązkę promieni obezwładniających prosto w głowę tamtego. Norbis runął bezwładnie na ziemię.

Inny wyskoczył z ukrycia i rzucił się do ucieczki, gdy ujrzał głowę i tors Surry. Kot schował się ponownie, a Hosteen znów wypalił. Surra robiła, co do niej należało - wypłaszała dzikich prosto pod lufę Storma. Była w tym ekspertem.

ROZDZIAŁ 6

Gorgol zatrzymał się nad nieruchomym Norbisem i, chwyciwszy za pomalowany róg, uniósł jego głowę w ziemi.

- Nitra - stwierdził.

Innego Kavok odwrócił stopą na wznak.

- Jeszcze żyją - zasygnalizował. Palce zacisnął na rękojeści noża. Nawet gdyby przemówił w języku galaktycznym, nie mógłby jaśniej wyrazić swoich myśli.

Trofea wojenne to trofea wojenne, ale nieprzytomni wrogowie, rozciągnięci na ziemi czy skuleni na skałach tam, gdzie dosięgnął ich promień emitera, zgodnie z tradycją byli własnością tego, kto ich pokonał. Hosteen, Logan i Gorgol mieli wyłączne prawo pochwalić się odciętymi końcami rogów powalonych wrogów w czasie triumfu odbywanego przy uroczystym biciu w bębny.

- Zostawmy ich - zwrócił się do obu tubylców Storm. - Drzewca pokoju są w górze. Czy jeśli Nitra łamie prawa Tych-Co-Ciskają-Pioruny, Shosonna mają robić to samo?

- Więc co? Zostawimy ich tu, żeby znowu nas ścigali, gdy wydobrzeją po twoim magicznym ogniu?

- Zanim się ockną, chłód nocy przeminie i wstanie słońce - odparł Ziemianin. - A my zabierzemy ich konie. Będą musieli ukryć się w jamie lub zginąć. Myślę, że nie pójda za nami.

- To prawda - przytaknął Gorgol. - I postąpimy słusznie nie zrywając pokoju. Wyruszajmy, trzeba znaleźć twoją wodę, zanim wstanie słońce.

Surra dopilnowała, by wierzchowce Nitra nie rozbiegły się. Teraz przywiązali je, przerażone i mokre od potu, do jucnych koni. Zanim zapadła noc, byli już daleko od nory dżimbuta i swych niedawnych przeciwników.

O świcie dotarli do zrzutu u wylotu kanionu. Norbisowie gwizdnęli ze zdumieniem, gdy ujrzeli kopułę namiotu z szaroniebieskiej, nieprzejrzystej i nieprzepuszczającej ciepła substancji. Ze skały poderwał się ku nim Baku. Poza tym nie było widać żywego ducha.

Logan gniewnie zmierzył wzrokiem obcy kształt, tkwiący bezczelnie na ziemi Arzor.

- Co on sobie myśli? Że jesteśmy pieszczoszkami z wewnętrznych światów? Ziemianin wzruszył ramionami.

- Nieważne, co myśli. Może sądzi, że to konieczna osłona. Ważniejsze, co jest w środku. Potrzebujemy zapasów.

Jego także zaskoczył ten namiot, nie pasujący do otoczenia i niemal nierzeczywisty. Wyglądał na coś więcej niż zrzut, chociaż nie planowali żadnej bazy w tym miejscu.

- Mówiłeś, że jedziemy po wodę, a to jest dom przybysza - gwałtownie zasygnalizował Kavok.

Wrogość, jaka biła z tej wypowiedzi, zaniepokoiła Hosteena. Widders popełnił właśnie głupstwo, którego chcieli uniknąć osadnicy. Trochę wyposażenia i broni Norbisowie akceptowali jako rzecz naturalną. Ale dziwaczne schronienie, ustawione w samym środku ich terytoriów bez żadnych wstępnych uzgodnień, w obecnej, niepewnej sytuacji mogło stać się przyczyną przepędzenia ich wszystkich ze Szczytów. W najlepszym razie. Dlaczego Kelson pozwolił Widdersowi na tak fatalne posunięcie, tego Hosteen nie mógł zrozumieć.

Podszedł do plastikowej półkuli i pchnął zamek z całej siły, wyładowując irytację. Zamigotało słabnące pole siłowe i ujrzał mały sześcian śluzy ciepłej.

To wszystko musiało kosztować majątek. Obóz w tym miejscu nie miał sensu, a co nie miało sensu, było podejrzane. Nacisk nóg na podłogę śluzy włączył pole siłowe, które zamknęło wejście, po czym druga przeszkoda ustąpiła, pozwalając mu wejść do środka. "Być może dla mieszkańca wewnętrznych planet są to warunki spartańskie" - pomyślał Hosteen. Było to jedno, wielkie pomieszczenie. Zapasy w pudłach i pojemnikach spiętrzone na środku. Wokół, pod pochyłymi ścianami ujrzał składane łóżka - aż cztery - zestaw kuchenny, zestaw

do przygotowywania napojów, nawet przenośną łazienkę! Nie, to na pewno nie miał być obóz na jedną noc!

Namówił Norbisów, by weszli. Wprowadzili konie i pudłami z żywnością odgradzili prowizoryczną stajnię, ponieważ takiego pomieszczenia projektant nie przewidział. Musieli zestawić bliżej łóżka, ale Hosteen wiedział, że i tak najbliższy dzień spędzą komfortowo.

Gorgol i Kavok oglądali nowe schronienie z podejrzliwością, która stopniowo zmieniła się w zaciekawienie. Znali już takie udogodnienia jak zestaw do gotowania i do przygotowywania napojów. Widząc jak Hosteen i Logan korzystają z łazienki, tubylcy spróbowali także tego luksusu.

- To piękna rzecz - nadawał Kavok. - Dlaczego nie dla Norbisa - spojrzał pytająco na osadników. Storm odgadł, że chłopak próbuje ocenić, ile towarów musiałby zgromadzić, by kupić za nie dla swego plemienia takie чудо.

- To piękna rzecz, ale zobacz - Hosteen otworzył kontrolną pokrywę kuchenki kryjącą splątany wzór przewodów. - Jeśli to się zepsuje, może ktoś w Galwadi zdoła to naprawić, a może nie. Niektóre części trzeba by sprowadzać z innych światów. Więc po co ci to?

Kavok pomyślał chwilę i zgodził się:

- Po nic. Trzeba by wiele skór jorisów i frawnów za to dać?

- Tak. Quade, ojciec naszej krwi - wykonał gest określający wodza plemienia - ma dużo koni, wiele pięknych rzeczy z innych światów. Jest tak?

- Jest tak - zgodził się Shosonna.

- Ale Quade, ojciec naszej krwi, musiałby popędzić do Portu wszystkie konie i połowę frawnów, żeby dostać taką rzecz. Rzecz, której, gdyby się zepsuła, nie można by naprawić bez oddania jeszcze więcej koni i frawnów.

- Więc to nie jest dobra rzecz! - reakcja Kavoka była szybka i zdecydowana. - Dlaczego jest tutaj?

- Przybysz, który szuka syna, nie przywykł do Wielkiej Suszy i sądzi, że nie można tu przeżyć bez takiej rzeczy.

- Jest jak dziecko o małym rozumie - skomentował Kavok.

Baku stapał bokiem po krawędzi skrzyni, po czym rozłożył nieco skrzydła i wydał gardłowy okrzyk. Surra była już przy drzwiach.

- Mamy towarzystwo - Hosteen wyciągnął emiter. Nie sądził jednak, żeby chodziło o następny oddział tubylców. Baku ostrzegał o przybyszach z powietrza, więc spodziewał się śmigłowca.

Nie przypuszczał, że będzie on tak wielki. Helikoptery, używane przez osadników bardzo oszczędnie, mogły w najlepszym razie wziąć na pokład trzech lub czterech stłoczonych ludzi, niewielkie zapasy na wypadek awarii lub jakiś cenny ładunek. Połyskująca w świetle poranka maszyna była kosztownym typem, jakiego Hosteen nie widział na żadnej z pogranicznych planet. Nie docenił majątku i wpływów Widdersa. Sam transport śmigłowca musiał kosztować krocie. Taką maszyną nietrudno było dostarczyć namiot i całe to wyposażenie.

Storm nie zdziwił się zbyt, gdy ujrzał, że po składanej drabince schodzi Widders we własnej osobie. Przynajmniej zmienił swój cudaczny strój na wytrzymały kombinezon lotniczy. Wokół wydatnego brzucha przy pasany był prawdziwy arsenał. Hosteen nie widział czegoś takiego od czasu, kiedy opuścił służbę.

- No, w końcu pan dotarł - przywitał go kwaśno Widders.

Rozejrzał się dokoła i rzucił z irytacją:

- A gdzie te konie, których mieliśmy tak potrzebować?

- W środku - Hosteen skinął głową w kierunku namiotu i ze zdziwieniem zobaczył, że twarz tamtego spurpurowiała.

- Zwierzęta... w moim.. namiocie!

- Nie zamierzam tracić koni, zwłaszcza, gdy od nich zależy nasze życie - odparował Ziemianin. - Nie skazałbym zresztą żadnego stworzenia na spędzenie dnia na słońcu w czasie Wielkiej Suszy! Pański pilot niech lepiej zaparkuje pod tą przewieszką, jeśli zamierza pan zachować śmigłowiec. Nie zdążycie już wrócić do schronu na nizinie...

- Nie zamierzam wracać na niziny - oświadczył Widders. Rzeczywiście tak uważał. Hosteen zdał sobie sprawę, że jedynym sposobem pozbycia się go byłoby wsadzenie go siłą do śmigłowca. I to natychmiast.

Jednodniowy pobyt w przepelnionym i cuchnącym stajnią namiocie może skłonić jednak przybysza do ponownego rozważenia tej decyzji. Nie miało zatem sensu tracić energii, skoro czas i otoczenie mogły być argumentem. Storm podszedł do pilota, by powtórzyć mu swoje ostrzeżenie, i czekał, aż Widders sam wejdzie do namiotu.

Kiedy się tam znaleźli, Hosteen wyczuł napięcie, chociaż nie dostrzegł żadnych wrogich gestów. Widders obrócił się gwałtownie i Ziemianin stanął twarzą w twarz ze ślepa furją.

- Co znaczy ten... dom wariatów?

- Jest Wielka Susza. Za dnia można się albo ukryć, albo ugotować - dosłownie - Hosteen nie podniósł głosu, ale mówił dobitnie.

- Wśród skał można się usmażyć na śmierć. Chciał pan przewodników - tubylców. Proszę: oto Kavok, syn Krotaga, wodza plemienia Zamla za szczepu Shosonna, a oto Gorgol, wojownik z tego samego plemienia, i mój brat, Logan Quade. Nie znam nikogo, kto byłby lepszy przy wyprawie w Szczyty.

Na twarzy Widdersa odbijała się tocząca w nim walka. Pycha i zarozumiałość przybysza zostały zranione, zwyciężyła jednak świadomość zależności od Storma. Sytuacja była dla niego nieznośna, ale w tej chwili nie mógł nic na to poradzić. Musiał się z nią pogodzić.

Norbisowie i osadnicy rozkoszowali się chłodem klimatyzowanego namiotu, ale Hosteen w duchu zastanawiał się, czy wentylacja będzie działać sprawnie przy takim zagęszczeniu wewnątrz. Prawdopodobnie Widders miał to, co najlepsze, ale projektant, który nie doświadczył Wielkiej Suszy na własnej skórze, nie mógł przewidzieć tutejszych warunków.

- Storm! - poderwał go nie znoszący sprzeciwu głos dobiegający z łóżka, które kilka godzin wcześniej wybrał dla siebie Widders.

Hosteen usiadł, przeciągnął się i sięgnął po buty. On, Logan i pilot zajęli pozostałe łóżka, Norbisowie ułożyli się na swoich derkach.

- O co chodzi? - zapytał bez większego zainteresowania. Spodziewał się narzekań, a zastanawiał się właśnie, co by pomyślał Krotag, gdyby trafił nagle na ich obóz. Byli tu zaledwie tolerowani i bardzo prawdopodobne, że teraz Shosonna zmusiłby ich do powrotu na niziny.

- Chcę się dowiedzieć, jak planuje pan nasze przedostanie się do Błękitnej.

Hosteen wstał. Gorgol i Kavok nie spali, przyglądając się to Ziemianinowi, to Widdersowi. Chociaż nie rozumieli języka przybyszów, Storm wiedział, że potrafią zadziwiająco trafnie odgadywać temat rozmowy.

- Jak planuję? Szanowny Homo, w czasie takiej wyprawy nie da się stworzyć dokładnego harmonogramu. Sytuacja może się zmienić bardzo szybko. Na razie jesteśmy tutaj, ale nawet to, czy tu pozostaniemy, stoi pod znakiem zapytania.

Wyjaśnił pokrótce, czego mogą się obawiać ze strony Krotaga, nie kryjąc, że sam obóz może wzbudzić gniew tubylców.

- Tak więc, Szanowny Homo, jak zdecydowaliśmy wcześniej, musi pan wrócić na niziny.

- Nie.

Jasne i niedwuznaczne. Hosteen znów pomyślał, że chociaż mógłby wyrzucić obcego siłą z obozu, nie rozkaże pilotowi, by odleciał i odwiózł Widdersa nad rzekę. Ten nie usłucha polecenia. Z drugiej strony nie mógł po prostu umyć rąk i wrócić samemu. Nie mógł zostawić Widdersa, bo ten spotkawszy tubylców mógł wywołać kłopoty, których tak chcieli uniknąć Quade i Kelson, a Logan dla tego celu ryzykował życiem. Widders wyczuł rozterkę Hosteena i rzucił:

- No, dokąd ruszamy, Storm?

Wziął małe pudełko, jeden z wielu przedmiotów przyczepionych do jego niezwykłego pasa, i trzymając je przed sobą, nacisnął boczną dźwigenkę.

Na ścianie namiotu ukazała się mapa regionu Szczytów zawierająca wszystkie szczegóły znane osadnikom. Hosteen usłyszał świergotliwy okrzyk Kavoka i spostrzegł, że Gorgol przygląda się liniom. Chłopak nauczył się czytania map w czasie pracy u Quade'a.

Czas był czynnikiem decydującym. Nawet gdyby Krotag miał ich przepędzić, żeby to zrobić, musi najpierw do nich dotrzeć. Zwrócił się do pilota.

- Jaką osłonę ma śmigłowiec? Czy da się wystartować przed zachodem słońca?

- Po co? - wtrącił Widders. - Mamy szperacz.

Szperacz! Jak mu się udało go zdobyć? Z tego co wiedział Hosteen, urządzenie to było stosowane wyłącznie przez wojsko. Służyło do wyszukiwania dowolnego obiektu na określonym obszarze i znacznie skracało poszukiwania.

- Czy da się wystartować przed zachodem słońca? - nalegał Storm. Nie chodziło mu o to, jak długo będę przeszukiwać nieznany obszar w poszukiwaniu rakiety ratunkowej, ale o to, kiedy ich obóz dostrzeże Krotag lub inni tubylcy.

- Mamy osłony dwunastego stopnia - nadeszła niechętna odpowiedź. Hosteen nie dziwił mu się - lot w dwunastostopniowej osłonie był bardzo trudny. Ale to jego problem, zawsze może odmówić, niech to załatwi z Widdersem.

- O co chodzi z tymi osłonami? - wtrącił Widders.

Hosteen wyjaśnił mu. Jeżeli śmigłowiec jest tak osłonięty, że pilot odważyłby się wylecieć przed zmrokiem, mogliby ruszyć natychmiast, przed nadejściem tubylców. Widders chwycił się tej szansy.

- Możemy lecieć teraz? - odwrócił się do Forgee, pilota.

- My? - spytał Hosteen. - Czy pan też zamierza lecieć, Szanowny Homo?

- Owszem. - I znów ten. nieugięty sprzeciw wobec rozważenia innej możliwości, wyrażony w każdym rysie twarzy i w całej sylwetce.

Widders położył rzutnik na pudle, podszedł i wskazał palcem punkt na mapie.

- Tutaj wasi zlokalizowali sygnał z rakiety.

Gorgol gramolił się na nogi świergocąc coś przeraźliwie. Zapomniał o mowie palców i protestował gwałtownie w ojczystym języku, ale po chwili, zdając sobie sprawę z Ograniczenia przybyszy, zgiął palce i wykonał serię gestów tak szybkich, że Hosteen z trudem je odczytał.

- Ten przybysz chce iść tam? To nie dla obcych... to czary, czary tych, którzy jedzą MIĘSO... Tego nie można zrobić!

- Co on mówi?

- Że to terytorium jest zamieszkane przez kanibali i bardzo niebezpieczne... - Hosteen był pewien, że Gorgol bał się czegoś jeszcze.

- Wiedzieliśmy o tym już wcześniej - pogardliwie rzucił Widders. - Czy ludożercy strącają śmigłowiec swoimi strzałami?

Forgee poruszył się.

- Niech pan posłucha, Szanowny Homo. Ta Błękitna to zdradliwy obszar. Nie zbadano tamtejszych prądów powietrznych. A to, co wiemy o nich, wystarczy, żeby człowiek dwa razy pomyślał, zanim się tam wybierze.

- Mamy wszelkie zabezpieczenia, jakie dotychczas wymyślono - wybuchnął Widders - łącznie z kilkoma, o których w tym waszym grajdole nawet nie słyszano. Jazda - wyruszamy. Sami zobaczymy, jaka jest Błękitna.

Kavok przykucnął w drzwiach z nagim nożem w dłoni. Jego jawna wrogość zaskoczyła Hosteena.

- Co? - gest ziemianina był skierowany do Gorgola.

Norbis odparł powoli, jak ktoś zapędzony w uliczkę bez wyjścia.

- Magia... wielka magia. Przybysz nie może tam iść. Jeśli spróbuje, umrze.

- To jest odpowiedź, - Logan po raz pierwszy włączył się do rozmowy. - Gorgol mówi, że to kraina magii - nie można nad nią lecieć.

Widders z jawną pogardą zmierzył Logana wzrokiem, taksując jego strój Norbisa. Pod tym spojrzeniem twarz Logana spłonęła gniewnym rumieńcem, ruszył naprzód i stanął obok Kavoka z ręką na kolbie emitera.

- To prawda - przemówił ostrożnie Hosteen, zdając sobie sprawę z tego, że jest jak cienka, niepewna ściana między dwoma wściekłymi jorisami.

- Nie można dyskutować z magią. Jeżeli Norbisowie twierdzą, że obszar jest niedostępny z tego powodu, musimy się zatrzymać.

Był świadomy determinacji i pewności siebie Widdersa, ale nie doceniał go, jako człowieka czynu. Przybysz nie sięgnął po emiter, ten ruch by ich ostrzegł. Zamiast tego, rzucił na podłogę pomiędzy Hosteena i Gorgola a dwóch strzegących drzwi małą kulkę. Błysnęło światło, a potem zapadła nicość, zupełna nicość.

ROZDZIAŁ 7

-... Okręgowa Stacja Szczyty... odezwij się... OS Szczyty... odbiór!

Rozpaczliwy ton nawoływania dotarł do Hosteena przez gęstą watę wypełniającą jego głowę. Policzki miał mokre - poczuł liźnięcie szorstkiego języka. Otworzył oczy i zobaczył Surre, która była przy nim i usiłowała swoim sposobem przywrócić mu przytomność.

Gorgol i Kavok siedzieli na podłodze z łokciami wspartymi na kolanach, obejmując rękami głowy. Za nimi, na krześle, Logan jedną rękę przyciskał do czoła, a w drugiej trzymał mikrofon komu. Z trudem, niemal jęcząc, łapał oddech, ale nie przestawał wołać:

- OS Szczyty... odezwij się!

Hosteen usiadł z trudem i poczuł nagle, jak rozżarzony do czerwoności sztylet przeszywa mu czaszkę. Pulsujący ból niemal go powalił. Ogłuszono go kiedyś promieniami emitera, ale skutków tamtego nie można było w żaden sposób przyrównać do obecnych cierpień. Nie było mowy o powstaniu, ale udało mu się podczołgać do stołu.

- Co... ty... robisz?

Wypowiedzenie tych kilku słów wywołało taki atak bólu, że Hosteen dziwił się, jakim cudem Logan może tak wytrwale nadawać. Chłopiec spojrział w dół, jego twarz wyrażała cierpienie.

- Widders odleciał... śmigłowcem... kłopoty... - ręka Logana chwyciła brzeg stołu tak mocno, że jej kostki pobielały.

Hosteen przypomniał sobie, co zaszło, i wróciła mu jasność umysłu. Widders ogłuszył ich jedną ze swoich "zabawek" i odleciał śmigłowcem ku zamkniętemu terytorium. Norbisowie mogą się poczuć, i prawdopodobnie czują się, znieważeni tym, że ktoś naruszył ich prawa i będą się mścić. A osadnicy tacy jak Dumaroy odpowiedzą im pięknym za nadobne nie próbując nawet negocjować. To może wzniecić wojnę, po której z Arzoru nie zostanie więcej niż z Ziemi po napaści Xików.

Storm ruszył z powrotem, gryząc wargi. Udało mu się dotrzeć do Gorgola. Norbis zacisnął oczy, czoło miał zroszone potem. Widać było, że cierpi tak jak Hosteen, jeśli nie bardziej.

Nie miał jednak czasu na współczucie. Tak delikatnie, jak umiał, dotknął ręki chłopca. Gorgol wydał jakiś gwizdzący dźwięk i otworzył oczy. Spojrzał na Ziemianina nie odważywszy się poruszyć głową.

Hosteen kucając złapał równowagę na tyle, że mógł użyć rąk do rozmowy.

- Obcy zniknął. Musimy...

Nie zdążył skończyć. Gorgol kiwnął się do tyłu, uderzył głową o ścianę namiotu, wydał stłumiony okrzyk i zasignalizował:

- On zrobił źle... bardzo źle... a my na to pozwoliliśmy. Będzie sąd...

- Ja zrobiłem źle - odparł Hosteen. - Bo to ja wysłuchałem jego opowieści i przywiodłem go tutaj... chociaż nie wiedziałem, że tu przyleci. Ty nie ponosisz winy... Nikt z nas nie wiedział, że on zaatakuje...

- Leci na rzeczy z nieba do kraju magii. Ci-Którzy-Ciskają-Pioruny i wypuszczają strzały błyskawic, zapłoną gniewem. To nie jest dobre... złe, złe! - poruszając palcami Gorgol zaczął lamentować w swym niezrozumiałym języku.

Kavok otworzył oczy. Prychnął nienawistnie, całkiem jak Surra. Nagle Gorgolowi przerwał głos - słowa, wypowiedane poprawnym językiem galaktycznym, wydobywały się z mikrofonu trzymanego przez Logana.

- TRI wzywa obóz bazowy - nuta pychy w tym głosie doprowadziła Hosteena niemal do wrzenia.

- TRI wzywa obóz bazowy...

Pokonał jakoś, walcząc ze słabością, przestrzeń między ścianą a stołem i wyrwał bratu mikrofon.

- Widders!

- No! więc jesteś! - rozbawienie brzmiące w głosie Widdersa nie wpłynęło uspokajająco na Storma. Przez chwilę walczył z sobą, wreszcie opanował się na tyle, aby zapytać:

- Jesteś już w Błękitnej, Widders?

- Lecimy prosto w punkt. Jak tam głowa, Storm? Powiedziałem, że zrobię to sam... potrafię dbać o swoje sprawy...

- Widders... posłuchaj, człowieku... Zawracaj... Zawróć natychmiast!

Mówił, nie bardzo wierząc w skuteczność swych słów. Liczył jednak na rozsądek pilota. Forgee był dość długo na Arzorze i przeszedł dostateczne szkolenie w Sekcji Badawczej, by rozumieć niebezpieczeństwo związane z tą eskapadą.

- Forgee, nie bądź głupcem! Wracaj natychmiast. Znieważacie świętość, i to niejednego plemienia- wszystkich szczepów! Wracaj, zanim was zauważą. Za taki numer możesz zostać banitą...

- O rany, Storm, ten kac musi być potężny - Widders zaczął swobodnie, ale po chwili jego głos zabrzmiał ostro. - Tubylcy nawet nas nie dostrzegą, jesteśmy ekranowani. I lecimy do wyznaczonego punktu. Nikt, nikt, Storm nie będzie mi mówił, co mogę, a czego nie, jeśli chodzi o życie mojego syna. Będziemy was informować. Koniec kontaktu.

Rozległ się trzask wyłączanego nadajnika. Hosteen odłożył mikrofon. Spojrzał na ściągniętą, bladą pod opalenizną, twarz Logana.

- Leci prosto do celu...

Gorgol wstał chwiejnie, jedną ręką wspierając się o ścianę namiotu. Drugą nadał:

- Krotag... jedziemy do Krotaga...

- Nie! - rzucił Hosteen i ujrzał, jak rysy Gorgola sztywnieją.

Wskazał na mikrofon.

- Wezwiemy Oficera Pokoju. On sprowadzi prawo...

- Prawo przybyszy! - całe ciało Gorgola wyrażało pogardę.

Logan odepchnął się od stołu i stanął, chwiejąc się, ale już się nie podpierał i przemówił obiema rękami. Strój Norbisa nie wyglądał dziwnie na gestykulującym chłopcu, a łagodne ruchy pasowały do ceremonialnego stylu przemowy.

- Ostatniej pory deszczowej człowiek imieniem Hadzag zakradł się do stad Quade'a. Nie poprosił o prawo do polowania, które by przecież otrzymał, jak to jest w zwyczaju. Ale on przyszedł potajemnie, bez słowa, zabił i zabrał tylko skóry. Zawiózł je potem do Portu i chciał tam zamienić na przedmioty, które, jak sądził, wywyższyłyby go wśród ludzi Zamla. Czy nie było to hańbą dla całego plemienia? I czy wtedy Quade'owie przybyli, by postawić Hadzaga przed sądem i prawem przybyszów? Nie - nie stało się tak. Quade wysłał mnie do Krotaga, aby zaprosić go na rozmowę wodzów. I Krotag rzekł: niech się tak stanie. Więc ty, Kavoku, i ja pojechaliśmy powiedzieć o tym Quade'owi, co było słuszne i właściwe, bo obaj jesteśmy synami wodzów. Potem przybyli Quade i Krotag i usiedli razem. Quade powiedział, co się wydarzyło, a kiedy skończył, odjechał zostawiając Hadzaga sprawiedliwości Krotaga i nigdy potem nie spytał, jaką karę mu wymierzono - bo tak być powinno między wodzami. Czy nie jest tak?

- Jest tak - przyznali obaj Norbisowie.

- Możecie powiedzieć, że zło wyrządzone przez przybysza jest większe niż występki, który popełnił Hadzag. I macie rację. Ale nie myślicie chyba, że my tego nie widzimy. Czy ten człowiek bez totemu nie powalił także i nas dlatego, że wiedział, iż powstrzymalibyśmy go siłą? Oficer Pokoju postąpi z nim zgodnie z prawem, bo to, co zrobił, jest ciężkim przestępstwem, krzywdzącym tak samo osadników, jak Norbisów.

- To prawda - zgodził się Gorgol. - Ale musimy powiadomić Krotaga. To on pozwolił wam tu wjechać i on będzie odpowiadał przed innymi za zło.

- Zgoda - powiedział Hosteen. - Niech jeden z was wyruszy do Krotaga, a my zostaniemy tutaj i będziemy próbowali wezwać Oficera Pokoju...

- I przysięgacie na krew, że będziecie tu czekać? - Gorgol spoglądał to na Hosteena, to na Logana. - Tak, wy nie jesteście ludźmi, którzy dają słowo, a potem je łamią. Jadę, niech Kavok zostanie na wypadek, gdyby nadeszli wojownicy z innych plemion.

Kiedy Gorgol wyruszył, zaczęli na zmianę dyżurować przy komie. Ale jedyną odpowiedzią na ich nawoływania była cisza. Wezwania Hosteena nie spotkały się też z odzewem ze śmigłowca. Ziemianin zastanawiał się, jak daleko zapuszczą się przybysze, zanim będą musieli zawrócić w ucieczce przed upałem, ale niewiele wymyślił.

- Mogą wylądować i ukryć się gdzieś tam - zauważył Logan.

- Głupiec zostaje głupcem, tak myślisz? To terytorium ludożerców. Widders wie o tym...

- Widders nie należy do tych, którzy się boją tubylców - zaproponował Logan. - Jest uzbrojony po zęby. Nie zdziwiłbym się, gdyby przesznuł nawet rozpylacz. Myśli, że nie dadzą mu rady.

Miał całkowitą rację. Widders mógł się uważać za niepokonanego, skoro jego nowoczesnym urządzeniom tubylcy mogli przeciwstawić tylko swoją prymitywną broń. Ale, jak większość mądrali z innych planet, nie doceniał Norbisów sądząc, że techniką pokona tych, którzy panowali nad przyrodą Arzoru.

Ich uszy przeszył nagły świst. Zerwali się, Hosteen wyszedł na zewnątrz. Baku ani Surra nie ostrzegły go, co znaczyło, że przybywał ktoś znany. Był zły na siebie, że nie rozkazał zwierzętom sygnalizować każdego przybysza.

Rozpoznał Krotaga na czele oddziału wojowników dopiero wtedy, gdy grupa wyszła z cienia na otwartą przestrzeń. Ziemianin zatrzymał się w snopie światła padającym z drzwi, nie podchodząc do wodza. Musi czekać na decyzję. Nie pora na przeprosiny czy wyjaśnienia. Krotag na pewno zna całą historię z ust Gorgola. Musiał już tu jechać, bo od wyjazdu

postańca nie minęło dużo czasu. Co teraz zrobi, zależało od niego i, zgodnie ze zwyczajem, Hosteen musiał czekać na werdykt.

Cofnął się o krok, odsłaniając wodzowi wejście do namiotu. Przepuścił też idącą za Krotagiem wysoką postać. W przeciwieństwie do wojowników, ten tubylec nie nosił broni ani ochronnego kołnierza z zębów jorisa. Jego kościste ciało okrywała tunika z białych i czarnych piór wplecionych w sieć utkaną z frawniej sierści. Oprócz tego miał na sobie krótki, sięgający kolan płaszcz, utkany również z piór, ale o jaskrawej, żółtozielonej barwie. Jego rogi pomalowane były na czarno. Czarne, szerokie obwódki otaczały też głęboko osadzone oczy, co powodowało, że twarz przypominała czaszkę. Z szyi, na białym sznurze zwisał mały, czarny bębenek.

- Widzę ciebie, który nosi imię Krotaga - zasygnalizował formułę powitalną Storm.

- Widzę cię... przybyszu...

Mało zachęcające, ale musiał się zadowolić takim przywitaniem. Hosteen spojrzał na Bębniącego.

- Widzę też tego, który potrafi wzywać białe strzały z nieba - ciągnął, - Czy on też nosi jakieś imię?

Zapadła cisza, słychać było tylko parskanie koni na zewnątrz. Ręce Bębniącego uniosły się ku górze, podczas gdy oczy w czarnych obwódkach wpatrywały się w Hosteena.

Niezupełnie świadom tego, co robi, Ziemianin podniósł ręce i wyciągnął je przed siebie, aż dłoń dotknęła dłoni. Stali tak złączeni, Hosteen i norbiski czarownik. Raz w życiu Indianin czuł taką siłę, nieludzką i nie dającą się kontrolować, która go wypełniała i kierowała nim. Ta siła spowodowała, że wyprowadził jeńców z obozu Nitra. Ale wtedy świadomie wezwał tajemne siły swojego ludu. A teraz...

Z jego ust popłynęły słowa, słowa, których Bębniący nie mógł zrozumieć. A może mógł?

Mam pieśń i mam ofiarę

Kroczę w Błękitnym Gromie

Po Szlaku Tęczy

Bo złożyłem ofiarę

Wielkiemu Wężowi i Błękitnemu Gromowi

Białe deszcz pada. wokół mnie

I wszystko znów stanie się dobre!

Strzępy, fragmenty wygrzebane z głębin pamięci przez jakąś moc, być może moc Bębniącego. Nie była to prawdziwa Pieśń, bo Hosteen nie był Śpiewakiem, a jednak jej słowa zbudziły moc tkwiącą w jego ciele, a może umyśle.

Zamrugał. Falujący przed oczami labirynt kolorów zniknął. Stał przed obcą twarzą o oczach czaszki. Przez krótką chwilę widział w nich błysk wiary, uczucia albo myśli, czegoś co łączyło się z jego własnym przeżyciem. Ale błysk zniknął i Storm był znów tylko Ziemianinem, złączonym dłońmi z norbiskim czarownikiem. Ręce tamtego cofnęły się.

- Imię tego brzmi Ukurti. Ty również potrafisz przyzywać chmury, młodszy bracie.

- Nie jest tak - zaprzeczył Hosteen. - Ale dawno temu, na moim świecie, ojciec mojego ojca był kimś takim. Być może, odchodząc przekazał mi jakąś część...

Ukurti skinął głową.

- Tak być powinno. Obowiązkiem nas, którzy mają siłę, jest przekazać ją tym, którzy będą potrafili użyć jej dobrze w swoim czasie. Ale teraz są inne sprawy - ten, który na wietrze pomknął do krainy magii, łamiąc prawa twojego i mojego ludu. To też część twojego obowiązku.

Hosteen pochylił głowę.

- Przyjmuję ten obowiązek, bo częściowo moim dziełem jest to, że przybył tutaj. Jego zły i nieroztropny czyn jest jak mój własny.

- Ten, który wszedł... nie powróci. - Krotag gestykulował z emfazą, ale patrzył na Hosteena z mieszaniną podziwu i irytacji.

- Nie my decydujemy - sprostował Ukurti. - Jeśli go odnajdziesz, ty, młodszy bracie, musisz się nim zająć - to ci zlecamy.

- Przyjmuję to.

Trzask dobiegł z mikrofonu leżącego przed Loganem. Chłopak podniósł go szybko do ust.

- Odbiór!

- TRI wzywa obóz bazowy...

Hosteen rzucił się do Logana i wyrwał mikrofon.

- Tu Storm... odezwiw się, TRI.

-... znalazłem rakietę. Zniżam lot, żeby się przyjrzeć... na zboczu góry.

Zakłócenia utrudniały zrozumienie słów.

Hosteen dał znak Loganowi, a ten włączył lokalizer. Jeśli Widders będzie dalej mówił, ustalą obecne położenie śmigłowca.

- To na pewno rakietę... Schodzimy!

- Widders, Widders, zaczekaj!

Wiedział, że i tak nie będą zważać na jego protesty. Palce Logana przekazywały informację Norbisom.

- Więc znalazł, czego szukał - powiedział Bębniący. - Może jednak jego wyprawa zyska łaskę Mieszkańców. Poczekamy, zobaczymy...

Hosteen przywarł do mikrofonu ponawiając co jakiś czas wezwanie - bez rezultatu. Wreszcie nadeszła odpowiedź. Słyszalność była doskonała.

- Zamierzamy poszukać jakichś śladów życia. Forgee! Forgee!

Głos wzniósł się nagle, jak dźwięk norbiskiej piszczałki, a zdziwienie brzmiące w nim zmieniło się w przerażenie.

- Nie! Ogień... ogień z góry! Forgee... zbliżają się! Storm! Storm!

- Jestem! - Hosteen usiłował zgadnąć, co tam się dzieje.

- Strzelaj do nich, Forgee! Dostał!

- Widders! Jesteście atakowani?

- Storm... nie możemy ich powstrzymać... ogień jest zbyt blisko. Musimy uciekać... przecekamy w jaskini...

- Co przeczekacie?

Nie było odpowiedzi.

- Przemówili Ci-Którzy-Ciskają-Pioruny - zasygnalizował

Krotag. - Oto koniec źle czyniącego.

- Nie. Może oni żyją - zaprotestował Hosteen. - Nie można ich tak zostawić!

- Tak postanowiono - odpowiedź Krotaga wyglądała na ostateczną.

- Powiedziałeś, że to mój obowiązek - Storm zwrócił się do Ukurtiego. - Nie mogę go zostawić nie wiedząc, co się z nim stało. I znowu znaleźli się poza czasem i przestrzenią, w jakiejś pustce, w której byli tylko oni - czarownik i Ziemianin - połączeni jakąś niewytłumaczalną więzią.

- Powiedziałeś prawdę. To twój obowiązek, nie zostałeś od niego uwolniony. Przybysze nie mieli prawa uczestniczyć w tym, co dzieje się w Błękitnej, i zostali ukarani. Ale to nie koniec. Oto twoja droga - idź nią bez przeszkód.

Jeśli mój brat pójdzie tą drogą, pójdę z nim - mignęły ręce Logana.

Niesamowite oczy Ukurtiego odwróciły się ku chłopcu.

- Słusznie jest, aby brat wspierał brata, gdy strzały wojenne napinają cięciwę. Jeśli taki jest twój wybór, niech droga ta będzie także twoją. Nikt oprócz Mieszkańców nie może ci tego zabronić.

- Czy to mowa bębna? - Krotag spytał używając języka gestów.

- Tak. To mowa bębna. Niech ją i dopełnią swego obowiązku. Nikt nie zna swej przyszłej drogi. Trzeba ją przebyć.

Jego palce wybiły krótki rytm na bębenu, a Hosteen poczuł ciarki wędrujące wzdłuż kręgosłupa.

Z mroku panującego na zewnątrz namiotu wychynęła Surra niemal pełzając po ziemi z uszami położonymi po sobie. Za nią pojawił się Baku który trząskając wściekle dziobem, i wreszcie Gorgol, kroczący jak lunatyk z szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. Bębniący uderzył raz jeszcze i czar prysnął.

- Idźcie. Zostaliście wybrani i wezwani. Na was spoczywa brzemię.

- Na nas spoczywa brzemię - odpowiedział w imieniu całej grupy Hosteen.

ROZDZIAŁ 8

- Czy to sen? - pytanie Logana nie było chyba skierowane do wynędzniałych, zdrożonych towarzyszy, ale do otaczającego ich świata.

Po tym, jak przedarli się przez płataninę wąwozów i skalistych ścieżek - na piechotę, bo droga nie nadawała się do jazdy konnej - trudno im było uwierzyć w prawdziwość tego, co zobaczyli. Teren przed nimi opadał łagodnym stokiem, rozszerzając się stopniowo tak, że przez bujną, żółtozieloną roślinność nie było widać gór ograniczających dolinę od zachodu. Nie dostrzegali też żadnych śladów Wielkiej Suszy, a w oddali połyskiwała tafla wody - nie widzieli stąd, czy to jezioro, czy zakole rzeki.

Gorgol uniósł się na łokciach i z niepokojem lustrował okolicę. Hosteen usiadł, opierając się plecami o skalną ścianę, nadal gorącą, chociaż zapadał już zmierzch. Trzy, cztery... pięć dni spędzili w ukryciu, podróżując nocami, zanim dotarli do skraju Błękitnej.

Ostatnią noc przeżyli tylko dzięki Gorgolowi. Nie mieli już wody i Norbis na czworakach przeszukał okolicę, dosłownie wywąchując ślad. Wreszcie znalazł w ziemi zagłębienie, które rozkopał, wcisnął weń jednym końcem kawałek trzciny obwiązanej suchą trawą i zaczął z całej siły ssać jej drugi koniec. Po pół godzinie tej morderczej pracy z trzciny popłynęła woda, której nikt poza nim się tu nie spodziewał.

Surra zaskomlała i trąciła nosem Hosteena. Rozdętymi nozdrzami wdychała zapachy płynące tu z rozciągającej się przed nimi oazy. Dla niej nie była to z pewnością halucynacja, a

Storm wierzył bardziej jej zmysłom niż swoim własnym. Gorgol rozsuptał niewielką wiszącą u pasa sakiewkę i wyciągnął przedmiot przypominający kształtem ołówek. Przycisnął go do opuszki palca, pozostawiając na niej plamkę połyskującej zieleni. Potem zaczął kreślić nim na zapadniętych policzkach dziwaczne, krzyżujące się linie, aż jego twarz stała się świecąca maską. Potem podał kredkę Ziemianinowi.

- Idziemy w pokój, więc musimy to zrobić...

- Dla dzikich?

- Nie. Na nich musimy dalej uważać. To jest znak pokoju, który widzą Ci-Którzy-Ciskają-Pioruny.

Hosteen wziął sztyft i pokrył własną twarz siatką linii, po czym przekazał go Loganowi. Każda rasa ma swoje tradycje; sądził, że tym razem dobrze będzie pójść za radą Gorgola. Skóra pod barwnikiem trochę piekła i miał uczucie, że zrobiła się ściągnięta i twarda.

Chociaż nosili pokojowe barwy, weszli w dolinę zachowując ostrożność. Widać, pomimo drzewców pokoju rozesłanych pomiędzy odwiecznymi wrogami, Gorgol nie dowierzał dzikim plemionom ludożerców, na których terenach znaleźli się teraz.

Baku pofrunął ku wodzie, a Surra pomknęła w dół zbocza, niknąc wśród roślinności. Hosteen orientował się w jej ruchach tylko wtedy, gdy nawiązywała z nim kontakt psychiczny. Była czujna i ostrożna, ale nie odkryła niczego podejrzanego. Poszli za nią starając się pozostać w ukryciu.

Jeżeli dolina była zamieszkała, to z całą pewnością tubylców można było spotkać w okolicy wody. Ale to nie mogło powstrzymać wędrowców. Im samym woda była bardzo potrzebna. Gorące powietrze drażniło spieczone ciała.

Hosteen spostrzegł, że Gorgol łamie łodygi wysokich traw, rozciera je w dłoniach i przeżuwa tę masę, a potem wypluwa. Spróbował go naśladować. Okazało się, że cierpki sok roślin łagodzi pragnienie.

Idąc rozglądali się, próbując odgadnąć, na której z otaczających gór tkwiła odnaleziona przez Widdersa rakieta. Nadawał z tej okolicy, ale wrak musieli odszukać sami.

Nagle Hosteen zeszytniał. Podniósł dłoń, by zatrzymać towarzyszy. Surra ostrzegała: pomiędzy nimi a wodą znajdowali się obcy tubylcy. Trzech mężczyzn przypadło do ziemi. Teraz Storm żałował, że nałożyli tę błyszczącą farbę - mogła ich zdradzić.

Na razie jednak nikt nie domyślał się ich obecności. Surra śledziła obcych, którzy posuwali się na południe. Hosteen nawiązał łączność z Baku, wiedział, że potem orzeł przejmie rolę obserwatora.

Otaczały go dźwięki nocy. Stworzenia zamieszkujące wysokie trawy nie schowały się jeszcze przed suszą i wokół rozbrzmiewały ich popiskiwanie i świergoty. Leżał na ziemi, całym sobą odbierając każdy odgłos, szum traw i krzewów. Znow rozpoczął starą grę znaną mu doskonale z czasu wojny, gdy oczy, nosy i wszystkie zmysły, czulsze niż jego własne, tworzyły oddział zwiadowczy, którego był dowódcą.

Tubylcy oddalili się i droga do wody stała otworem. Na sygnał Hosteena zaczęli ostrożnie posuwać się unikając odkrytej przestrzeni ku jezioru - od Baku uzyskał informację, że woda była właśnie jeziorem.

Dotarli do trzcin, gdzie musieli znieść w milczeniu prawdziwe tortury, gdy opadł ich rój gryzących owadów. Ale było warto ścierpieć to i powolną drogę przez muł i zarośla, by zanurzyć dłonie w ciepłej wodzie o dziwnym smaku i zapachu.

Odświeżywszy się, wyciągnęli tabletki podtrzymujące.

- Musimy znaleźć tę górę - stwierdził Logan.

- Jest tam - ku zdziwieniu Gorgoła pewnym ruchem wskazał na północ. - Magia i ogień.

Nie wyjaśnił znaczenia tych słów.

Hosteen przypomniał sobie noc, kiedy stojąc na podwórzu rancza ujrzał potężny błysk na północy, któremu towarzyszyła dziwna wibracja. Wydawało się, że było to wieki temu, ale poczuł, że nie ma ochoty zbliżać się do góry wskazanej przez Gorgoła.

Napełnili manierki i ruszyli wzdłuż jeziora. Baku zniknął gdzieś na czarnym niebie, a Surra zygzakiem biegła przed nimi.

Jeszcze dwukrotnie musieli ukryć się przed oddziałami Norbisów. Wreszcie, nad ranem, zaczęli się piąć w górę. Szczyt był tak wielki, że przysłaniał gwiazdy.

Ich uszu dobiegł dźwięk, stłumione uderzenia przechodzące w coraz głośniejszy warkot. Bębny! Bębny o tej samej, neodpartej sile, co bębenek Ukurtiego, ale o niepomernie większym zasięgu. Logan zrównał się z Hosteenem.

- Wioska... - uniósł głos, by być słyszany.

“Na wschodzie” - pomyślał Storm.

Sądził, że odbywają się tam jakieś obrzędy, które - miał nadzieję - ściągają uwagę tubylców, a przez to dadzą im możliwość wykorzystania cennych godzin ciemności.

Surra znalazła śmigłowiec i wezwała ich na bardziej płaskie, wypalone pole, na którym leżał zniekształcony i nadpalony wrak. Nieopodal znaleźli zmaltretowane ciało pilota ze strzałą wciąż tkwiącą między łopatkami.

- Do świtu zostało niewiele czasu. Widders mówił o jakiejś jaskini. Rozdzielimy się i poszukamy jej - powiedział Hosteen.

Wraz z Surrą zaczął piąć się w górę zbocza. W tamtą stronę ciągnął się pas wypalanej roślinności. Jego regularność była zastanawiająca - zupełnie jakby użyto tu miotacza ognia... Xikowie? Jeszcze jedna grupa pragnąca przetrwać w tym odległym i niedostępnym zakątku, jak tamta, na którą niegdyś trafili z Loganem? Kiedy Logan wydostał się z ich niewoli, nie wahali się użyć miotacza ognia, wybijając do nogi własne konie w nadziei, że w ten sposób zlikwidują człowieka, który mógł ujawnić ich działalność. Tak, mogło tu się ukryć jeszcze jedno komando Xików.

Wypalony pas skończył się gwałtownie. Tutaj czarna ziemia i spopielone rośliny, a już metr dalej trawa i wysokie krzewy chwiejące się lekko w wietrzyku przedświtu. Czy w takim razie płomień buchał spod ziemi? Ale idąc od śmigłowca nie trafił na nic, co mogłoby być źródłem ognia. Jeżeli nie miotacz ognia, to co? Hosteen przeszedł wzdłuż krzaków poszukując jakiegoś otworu i zastanawiając się nad zagadkowym ogniem.

Przeraźliwy błysk smagnał ziemię kilka kroków przed nim. Odskoczył do tyłu, gdy krzaki zapłonęły jak pochodnie. Drugie uderzenie ognia - i Hosteen rzucił się na południowy wschód czując, że płomień liże mu stopy. Nigdy czegoś takiego nie widział, ale umykając przed czerwonymi językami ognia utwierdzał się w przekonaniu, że działały one celowo, a ten cel przejął go nagłym mroźnym dreszczem pomimo żaru bijącego w plecy - zaganiali go! Ktoś lub coś używało ognistego bicza, by pokierować jego ruchami tak, jak poganiacz pejczem zagania uciekiniera z powrotem do stada frawnów.

Potykaç się biegł naprzód. Ziemia była teraz dobrze oświetlona i wybierał drogę, starając się nie upaść, co wydałoby go na żar płomieni. Ujrzał przed sobą rów. Rzucił się przez niego rozpaczliwym skokiem i dysząc upadł na drugim brzegu. Miał właśnie się podnieść, gdy tuż przy jego prawej ręce ze świstem wbiła się w ziemię strzała.

Hosteen przykucnął, podciągając pod siebie nogi, gotów rzucić się do ucieczki, gdy nadarzy się okazja. Wokół niego zamknął się pierścień nie ognia, lecz tubylców. W przeciwieństwie do Norbisów z nizin byli niscy, zbliżeni wzrostem do Ziemian. Rogi mieli czarne. Również czarne były wzory wymalowane na twarzach. Nie była to bezładna plątanina linii, jak u Gorgola, lecz staranny i tajemniczy rysunek.

Jeśli przez kilka sekund miał szansę obrony czy ucieczki, to teraz ją stracił. Wirując spadła na niego jedna z najbardziej skutecznych broni tubylców: sieć z mocnych, podwodnych korzeni rośliny yassa. Sieć tę moczo w wodzie tak długo, aż robiła się śliska i

gładka. Nawet joris w nią uwikłany był zupełnie bezbronny, dokładnie tak, jak teraz Hosteen Storm.

Bezłitośnie skrepowanego przeniesiono go do wioski w dole stoku. Nie przypominała ona widzianych na nizinach zbiorowisk krytych skórą namiotów, charakterystycznych dla koczowniczych plemion Norbisów. Ta składała się z trwałych budowli o ścianach z ciężkich bali spiętrzonych na wysokość barków i zwieńczonych szpiczastymi dachami z uplecionej trzciny i pnączy.

Z mroku wyłonił się Bębniący, czarownik w tunice i płaszczu z piór w kolorze metalicznej zieleni. Tunika na piersiach ozdobiona była czerwonym zygżakiem. Również bęben, w który uderzał prowadząc procesję z więźniem przez wieś, był czerwony.. Wzdłuż drogi zatknięto pochodnie płonące dziwnym, bladoniebieskim światłem. Nagle Storma pchnięto gwałtownie i znalazł się na ubitej podłodze chaty o pochyłym dachu.

Chaty czy raczej świątyni? Rozejrzał się dokoła. Nie widać było żadnych legowisk, a pośrodku wielkiego pokoju, w zagłębieniu, płonął ogień o tej samej, dziwnej barwie. Pomiedzy potężnymi, drewnianymi słupami wspierającymi dach rozpięte były liny, z których zwisały jakieś pomarszczone przedmioty i kuliste...

Dom Gromów! To były trofea wojenne: głowy i ręce wrogów! Hosteen słyszał o tym obyczaju popularnym wśród plemion Nitra. Ale ten dom był większy, starszy, o wiele trwalszy od jakiegokolwiek namiotu czarownika Nitra. Ziemianin usiłował sobie przypomnieć wszystko, co kiedyś słyszał o Nitra i dopasować to jakoś do tego, co widział.

Wojownicy, którzy go przyprowadzili, usadawiali się właśnie wokół ognia i podawali jeden drugiemu naczynie, które pewnie zawierało łagodnie oszałamiający sok z clava. Wyglądało na to, że zamierzają tu pozostać.

Bębniący zajął miejsce w północnym krańcu, przez cały czas wybijając cichy, warczący rytm. Było to zgodne ze zwyczajem plemion, które znał: północne miejsce dla tego, kto bębni dla Ciskających Pioruny, południowe - jeszcze nie zajęte - dla wodza wioski lub plemienia.

Hosteen zamknął oczy, wyteżył umysł i wolę, ale bez rezultatu. Ani śladu Surry czy Baku. Nie był nigdy w stanie określić, jaki jest zasięg ich telepatycznej więzi. Ale ta cisza była przerażająca. Człowiek nawykły do wspierania się na lasce bez niej jest bezradny.

Ziemianin przełknął ślinę tak, jakby mógł przez to przełknąć rosnący niepokój. Czy przez te lata tak się związał i uzależnił od swojej drużyny, że bez niej był kaleką? Myśl ta ubodła go tak mocno, że przestał zwracać uwagę na otoczenie. Dopiero poruszenie przy

drzwiach spowodowało, że otworzył oczy i, na tyle, na ile pozwalały mu więzy, odwrócił głowę.

Kolejny oddział wprowadził drugiego więźnia. Bębniący wybijał teraz mocny rytm przepełniony triumfem. Po chwili związanego, choć nadal walczącego jeńca ciśnięto obok Hosteena i przywiązano do tego samego słupa.

- Hosteen!

Pod fosforyzującą farbą z trudem rozpoznał rysy Logana.

- To ja. Gdzie Gorgol?

- Nie widziałem go, odkąd się rozdzieliliśmy. Potem ten ogień. Zacząłem wiać i wpadłem prosto w sieć - rozciągnęli ją pomiędzy drzewami.

Organizacja. To trzeba im było przyznać. Ciekawe, czy nie mają tu gdzieś Widdersa. Po co ta ogniowa pułapka? Tylko po to, żeby złapać wszystkich, którzy chcieli dostać się na górę?

- Jeszcze jedno - Logan przerwał jego rozważania. - Widziałem ją.

- Ją?

- No... rakiety. To musiała być rakietka. I z tego, co zdążyłem zobaczyć, nie rozbiła się przy lądowaniu.

- Ale nie przyjrzałeś się jej dobrze?

- Nie - przyznał Logan. - Ale było tam coś dziwnego...

- To znaczy?

- Leżała tam kupa rzeczy: włócznie, naczynia, skóry, jakiś zabity koń z poderżniętym gardłem i zmiażdżoną czaszką - tak go zostawili, chyba niedawno.

- Ofiary.

- Być może. Dlatego, że spadła z nieba? Oni mogli tu nigdy nie widzieć statków kosmicznych.

- Możliwe. Jeśli tak, to dlaczego zaatakowali helikopter, gdy schodził do lądowania? Skoro nie widzieli latających maszyn, powinni go potraktować tak samo, jak rakiety. Chyba, że...

Chyba, że - myślał - wiedzieli, jaka jest różnica między statkiem kosmicznym a maszyną, która potrafi latać w powietrzu na nieduże odległości.

- Mogli mieć jakieś kontakty z nizinami i wiedzą, jaka jest różnica między śmigłowcem a rakieta - rozumowanie Logana szło tą samą drogą.

Albo - zbudziło się w nim podejrzenie - zetknęli się już z raketami.

Wciąż nie potrafił rozwikłać zagadki ognistej broni.

- To Dom Gromów - rozejrzał się wokół Logan.

- Zauważyłem kilka szczegółów charakterystycznych dla obyczajów Nitra - odparł Storm. - Ty coś widzisz?

Logan był znawcą kultury tubylców. Może potrafi odgadnąć, co zamierzają z nimi zrobić. Plemiona norbiskie były bardzo przywiązane do rytuałów i liczył na to, że taki rytuał chłopak rozpozna.

- Rzeczywiście, mają tu parę rzeczy takich jak Nitra - zgodził się Logan. - Dwa stołki - północny i południowy, wejście na wschodzie i na zachodzie. Zobacz, wchodzi myśliwy. Widzisz? Nic idzie prosto, tylko lawiruje między słupami. To znaczy, że wychwala swoje czyny przed Siłami. Bębniący, teraz on, patrz!

W niesamowitym blasku niebieskiego ognia Bębniący cały czas wybijał ledwie słyszalny rytm. Drugą ręką rzucił nad ogniem dwa małe, białe przedmioty, które poszybowały uniesione rozgrzanym powietrzem i znikły w ciemnościach pod dachem.

- Modlitewne pióra albo raczej puch - wyjaśnił Logan. - Trofea wojenne są takie same jak u Nitra - z grymasem niesmaku spojrział na wyschnięte dłonie i czaszki. - "Niebieskie rogi" też tak je wieszają.

- A ich czarownik też tak robi? - cierpko zapytał Hosteen.

Bębniący wstał ze stołka i odłożył bęben. Stał teraz przy ogniu ściągnawszy na siebie uwagę wszystkich. Wyjął, ukrytą w fałdach tuniki, około trzydziestocentymetrową rurę zawieszoną na białym sznurze. Rura świeciła nie tylko odbijając światło ognia, ale promieniując własnym.

Czarownik ceremonialnie zwrócił ją w cztery strony świata, po czym skierował jej koniec dokładnie nad ogień. Wtedy wydobyła się z niej delikatna mgiełka, w której zawieszane były połyskujące, migoczące pyłki. Pyłki zebrały się i ujrzeli kształt złożony jakby z maleńkich, wirujących klejnotów.

- Pięcioramienna gwiazda! - wykrzyknął Logan.

Ale wzór już się zmienił - pyłki ułożyły się teraz w trójkąt, potem koło i wreszcie w strzałkę, która pomknęła wprost do ognia i znikła.

- Żaden Nitra tak nie potrafi! - szepnął Logan.

- Ani Norbis - ponuro odparł Hosteen. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem, ale dam głowę, że to nie pochodzi z Arzoru!

- Xikowie? - spytał Logan.

- Nie wiem. Ale podejrzewam, że niedługo się dowiemy.

ROZDZIAŁ 9

Hosteen spróbował poruszyć zdrtwiałym ciałem. Noc minęła, a żaden z tubylców nie zajrzał do związanych jeńców. Tak, noc minęła.

Przez szczeliny w dachu wpadało światło, ale nie było goręcej niż w porze wzrostu na nizinach. W dolinie w ogóle nie było Wielkiej Suszy!

- Słońce, a nie ma upału... - mruknął Logan. - To jezioro...

- Nie może wpływać na klimat - zaproponował Hosteen. Na równinie były rzeki i źródła, które nie wysychały, a mimo to żywe stworzenia musiały za dnia chronić się przed żarem.

- Coś jednak wpływa - trwał przy swoim Logan.

Coś wpływało. Co mogło kontrolować klimat? Było jedno miejsce na - a raczej w - Arzorze, gdzie klimat i roślinność były kontrolowane. Góra ogrodów, do której Logan i Hosteen trafili przypadkowo uciekając przed Xikami. Ludzie z Zamkniętych Grot zasadzili wewnątrz niej rośliny ze stu różnych planet i zostawili, by kwitły tam przez stulecia. Kontrola klimatu to nie Xikowie, to wiedza Zamkniętych!

- Zamknięte Groty... - powtórzył głośno.

- Ale to nie grot! - myśli Logana podążały tym samym torem. - Jak mogą kontrolować klimat na otwartej przestrzeni?

- A jak zrobili to w jaskini? - odpowiedział pytaniem Hosteen.

- Jeśli jest tu więcej pozostałości po tej cywilizacji, to wiele by wyjaśniało.

- Myślisz o magii?

- Tak, może też o tych zdradzieckich prądach powietrznych, które uniemożliwiają eksplorację terenów przez Sekcję Badawczą.

- Ale Norbisowie zawsze unikali Zamkniętych Grot.

- W zewnętrznych partiach Szczytów tak, ale nie wiadomo, czy ten zakaz tu też obowiązuje. Może gdzieś na Arzorze, a może nawet tutaj, żyją jeszcze jacyś przedstawiciele Starej Rasy. Czy legendy nie mówią, że ukryli się w jaskiniach zamykając za sobą wejście, by kiedyś w przyszłości powrócić?

Storm nie bardzo w to wierzył. Dzicy Norbisowie posiadający jakąś część wiedzy ludzi z Zamkniętych Grot - to było możliwe. Ale żeby tajemnicza, wymarła rasa przetrwała tutaj sterując działaniami prymitywnego szczepu czy szczepów - nie, to niedorzeczność. Ludzie czy stworzenia, które zaprojektowały Grotę Stu Ogrodów, nie mogły mieć nic

wspólnego z wojownikami ozdabiającymi swe świątynie czaszkami i rękami wrogów. To byłaby sprzeczność. Logan myślał podobnie:

- Sądzę, że Norbisowie są raczej spadkobiercami - powiedział wolno.

- Niegodnymi. Być może, ta góra stanowi rozwiązanie zagadki.

- Pewnie nigdy go nie poznamy - ponuro odparł Logan. - Myślę, że odizolowali nas, bo mamy być atrakcyjnym dodatkiem do wielkiego Świąta Bębna.

Hosteen już dawno doszedł do tego wniosku. Walka z krępującymi go więzami wykazała bezsens wszelkich prób wyswobodzenia się. Mógł powtarzać sobie tylko wątpliwą pociechę, że dopóki żyje, jest jakaś szansa.

- Słuchaj! - głowa Logana podskoczyła, gdy usiłował bezskutecznie nieco się unieść.

Bębny odezwały się ponownie, tym razem z przerwami. Wsłuchując się intensywnie w ich dźwięk Hosteen stwierdził, że każdy werbel brzmiał nieco inaczej.

Cały ranek Norbisowie wchodzili i wychodzili z Domu Gromów, teraz od południa wkroczyła duża ich grupa. Potem nadszedł szczupły, zylasty mężczyzna. Końce jego czarnych rogów były pomalowane na czerwono, a naszyjnik okrywający pierś nie był wykonany z zębów jorisa, lecz z małych, gładko wypolerowanych kości. Zajął miejsce wodza.

Hosteen patrzył na wszystko z poziomu podłogi, ale dostrzegł, że od zachodu wkroczył drugi oddział z drzewcem pokoju ostentacyjnie uniesionym nad głowami prowadzących go czarownika i wodza. Kiedy przez zachodnie wejście przeszła następna i jeszcze jedna taka delegacja, Hosteen zdał sobie sprawę, że to nie jest plemienne spotkanie, ale zgromadzenie przedstawicieli wszystkich szczepów, także tych, które były wrogami.

Pięć, sześć grup, w każdej za wodzem i czarownikiem postępowała grupka wojowników. Siódmą - Hosteen drgnął - prowadzili Krotag i Ukurti.

Bębniący z tej wioski zasiadł na północnym stoiku. Uderzył, wydobywając ze swojego bębna odgłos przypominający grzmot i z grupy tutejszych wyszło dwóch młodzieńców, niosąc graniastą kłodę drzewa, wypolerowaną rękami, które dotykały jej przez lata, a może i wieki. Ułożyli ją przed ogniem kierując ku północy, a na niej położyli liściastą gałąź świętego drzewa fal. Potem znów zniknęli w ciemnościach za plecami czarownika.

- Teraz mowy - rzucił Logan półgłosem.

Rzeczywiście, nastąpiły mowy, a Hosteen żałował, że nie rozumie tego piskliwego świergotu. Kolejno, czarownik i wódz powstawali, podchodzili do kłody, uderzali ją gałęzią drzewa fal i rozpoczynali przemowę, od czasu do czasu podkreślając ważniejsze zdania uderzeniami gałęzi. W ich ślady poszli pozostali bębniący i wodzowie.

Głowa Hosteena pękała z bólu, usta miał spieczone i suche. Leżał, dysząc, nie bardzo świadomy monotonnego świergotu w centrum Domu Gromów. Pragnął wody i jedzenia, ale przede wszystkim wody. Dwukrotnie usiłował porozumieć się z Baku i Surra - bez efektu. Kot i orzeł mogły uciec z doliny, miał nadzieję, że to zrobiły.

Jeśli nawet mieli jakieś szansę, to zmały teraz niemal do zera. Myślał o Krotagu i jego Shosonna jako o możliwych sprzymierzeńcach. Ale wódz przemawiał jako drugi. Cokolwiek jednoczyło teraz Norbisów, było wystarczająco silne, by powstrzymać wszelkie przyjazne zachowania w stosunku do osadników.

Żaden z nich nie potrafił określić, jak długo trwała ta ceremonia. Zmęczenie, pragnienie i dym z gałęzi drzewa fal, którymi tubylcy stale podsycali ogień, oszołomiły Hosteena tak, że zapadł w senne odrętwienie. Obudził go kuksaniec między żebra. Słońce już zaszło, a ciemność znów rozświetlały błękitne pochodnie. Wypatrując grupy Krotaga, zobaczył, że tubylcy uformowali procesję z pochodniami.

W miarę, jak posuwali się naprzód, do woni drzewa fal dołączył się swąd spalenizny. Przechodzili przez zastanawiające regularne pasy, gdzie musiały uderzać ogniste bicze w czasie pościgu za nimi lub wcześniej.

Odezwały się bębny. Nie tylko tutejszego czarownika, ale wszystkich przybyłych Bębniących. Biły w ciężkim rytmie, do którego dostosował się krok procesji. Rytm bębnow zlał się w jedno z rytmem jego serca, głowa zaczęła ciążyć...

Hipnoza! Hosteen zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Jego naród potrafił - niegdyś - zawierać w swych wojennych tańcach i pieśniach czary, dzięki którym idący w bój wojownik był przekonany, że jego własne "czary" są niezwyciężone.

Starał się zmylić krok, by zakłócić rytm marszu. Pewnie dlatego, że w czasie treningu w służbie był uodporniany przeciw takim pułapkom, częściowo mu się to udało - czy zaczęło się udawać - gdy warczącym bębnom odpowiedziała góra.

Tak to właśnie wyglądało. Czy to był dźwięk - za wysoki lub zbyt niski, by odebrać go inaczej niż na pograniczu czułości zmysłów? A może był to raczej sygnał psychiczny? W każdym razie czuł, jakby góra odetchnęła i drgnęła budząc się. Było to coś, czego nigdy przedtem nie doświadczył, coś, czego nie doświadczył prawdopodobnie żaden przybysz, poza, może, Widdersem.

Pomimo wszystkich wysiłków umysłu, woli i ciała, trzymanego w żelaznym uścisku przez dwóch wojowników, Hosteen tylko częściowo potrafił się oprzeć sile rytmu. To, że był jej świadomy i że pomimo wszystko walczył z nią, było słabą pociechą. Rytm, rytm - stóp, bębnow - znów westchnienie góry... westchnęła czy może nabrała powietrza w oczekiwaniu?

To nie był ziemia i skała, to była bestia, przykucnięta tu i czyhająca, bestia, jakiej nie potrafiłby wyobrazić sobie żaden człowiek.

Swąd spalenizny nasilił się. Bębny zawarczały głośniejszy niby grzmot, który odbił się echem od wzgórz. Zatrzymali się spoglądając w stronę niewidocznego wierzchołka góry. Teraz niosący pochodnie jednocześnie zgasili je o ziemię i zapadła ciemność rozświetlana tylko przez gwiazdy na bezchmurnym niebie.

Ucichły echa bębnow i zapadła cisza. Czy góra-potwór odpowie? Wyobraźnia podsunęła Hosteenowi obraz tego stwora: sięgającego chmur i czekającego. Czekającego tak, jak mogłaby czekać Surra albo Baku, z tą nieskończoną cierpliwością, którą człowiek utracił, a może nigdy nie posiadał, cierpliwością myśliwego.

Czekający Norbisowie - czekająca góra - czekający więźniowie...

Znów ten oddech. Dźwięk, którego nie słyszał, lecz czuł każdą cząstką ciała.

Nagle...

Błyskawice. Wielkie, poszarpane, zębate ostrza błyskawic bijące w niebo i oświetlające stok. Tańczyły wokół okrągłej kopuły, którą Hosteen dojrzał teraz po raz pierwszy, a która stanowiła wierzchołek góry. Ta część umysłu, która nie poddawała się hipnotycznemu wpływowi rytmu, sygnalizowała, że kopuła jest zbyt regularna jak na naturalną formację. Korona błyskawic wokół kamiennego łba czyhającej bestii. Nagle świetlne bicz opadły wznecając w kilku miejscach ogień. Do nozdrzy czekających dobiegł swąd spalenizny.

Stojąc tak, oślepiiony blaskiem, Hosteen był pewien, że to, co widział przed chwilą, nie było zjawiskiem naturalnym, lecz wynikiem działania jakiejś inteligencji.

Xikowie? To nie mogli być Xikowie. Urządzenie, które wywołało ten spektakl, nie było miotaczem ognia. Nigdy czegoś takiego nie widział ani nie słyszał o niczym podobnym. Hosteen wzdragał się jednak przed kojarzeniem tej potwornej, niszczącej broni z cywilizacją, która stworzyła piękno Groty Stu Ogrodów.

Skończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło. W kilku miejscach płonęły zarośla, ale ogień się nie rozprzestrzenił. Bębny podjęły marszowy rytm. Strażnicy pchnęli Hosteena do przodu. Tym razem reszta pochodu pozostała w tyle. Wspinaczkę podjęli tylko miejscowy wódz, Bębniący, strażnicy i więźniowie.

Ponownie minęli wypalony szkielet śmigłowca. Ogień musiał go teraz dosięgnąć, bo to, co było ogonem, stanowiło stopioną, zarżącą się jeszcze masę. Wspinali się dalej...

Gorgol, Surra i Baku - czy udało im się umknąć przed sieciami i ogniem? Hosteen znów próbował ich wezwać, ale odpowiedziała mu tylko cisza, jak gdyby nigdy nie potrafił nawiązywać łączności ze zwierzętami.

- Przed nami rakietka ratunkowa - krzyknął Logan.

Hosteen poczuł słodkawy smród gnijących roślin i mięsa. Ofiary. Czy teraz oni mieli się nimi stać? Miał w zanadru jeszcze ze dwa chwyt, których mógłby użyć nawet ze związanymi rękami...

W świetle dogasających zarośli ujrzeli martwego konia i kształt rakiety. Tak jak mówił Logan, nie była uszkodzona. Wyglądało na to, że usiadła tak pewnie, jak kierowana radarem. A rozbitkowie? Czy przeszli już drogę, którą teraz wędrował on z Loganem?

Hosteen tak się nastawił na stoczenie walki po dojściu do rakiety, że zdumiało go, gdy się tam nie zatrzymali. Bębniący uderzył mocniej, dmuchnął w stronę statku modlitewny puszek, ale nie podchodzili bliżej.

Góra czekała. Znów w wyobraźni Hosteena przybrała postać nieruchawego, ale czujnego zwierzęcia. Zwierzęcia inteligentnego.

Jeszcze wyżej - stok był bardziej stromy i wyboisty. Strażnicy ciągnęli ich na linach, a więźniowie potykali się, z trudem utrzymując równowagę. Hosteen upadł na kolana i nie reagował na szarpnięcia, usiłując złapać oddech i trochę rozejrzeć się. Odkąd minęli raketę, przeszli przez kilka wypalonych pasów.

Musiały powstać wcześniej, bo nie dymiły. Przez porastającą zbocze roślinność coraz częściej przebijały rumowiska. Potem zarośla skończyły się i wyszli na nagą skałę. Wreszcie, po omacku, przeszli jakąś szczelinę, wleczeni bezlitośnie przez tubylców.

Szczelina wyprowadziła ich na dość szeroką półkę. W zamykającej ją skalnej ścianie widniał ciemny otwór. Ale nie on był celem wędrówki. Ruszyli w prawo. Półka zakręcała łagodnie, była to chyba podstawa wieńczącej górę kopuły, chociaż ona sama wznosiła się jeszcze dobre kilkadziesiąt metrów w górę.

Zbliżał się świt. Hosteen miał nadzieję, że tajemnicza osłona chroniąca dolinę działała i tutaj i że nie muszą obawiać się wschodu słońca. A może tak mieli umrzeć: wystawieni na palące promienie na zboczach świętej góry?

Otwór jaskini zniknął im już z oczu, a półka biegła teraz przewieszając się nad przepaścią, której głębię trudno było ocenić. Stormowi przypomniało to inną górską drogę biegnącą - wydawałoby się - do nikąd. Było to na Górze Ogrodów, a droga stanowiła pozostałość po cywilizacji Zamkniętych Grot. Omal nie stracił tam życia w starciu z imitatorem - ostatnim Xikiem na Arzorze.

Droga urwała się jak nożem uciął. Po lewej mieli następne wejście, tym razem zamknięte gładką, skalną płytą. Bębniący uderzył znowu, pozdrawiając, być może, moce, które według niego czaiły się za tą przeszkodą.

Kiedy ucichł dźwięk bębna, wódz wziął od strażnika pasy jeńców. Ceremonialnie złamał ich długie, myśliwskie noże i kamiennym toporem zmiażdżył lufy emiterów. Zniszczywszy broń przybyszy gwizdnął i do akcji wkroczyło dwóch strażników. Z całej siły oparli się dłońmi na płaszczyźnie zamykającej wejście. Przeszkoda ustąpiła, rozsuwając się na dwie strony. Wtedy wódz wrzucił w otwór zniszczoną broń i pasy jeńców. Oni sami pchnięci z potężną siłą polecili w ślad za swą własnością, wpadając w gęstą ciemność, której nie było w stanie rozjaśnić światło padające z zewnątrz.

ROZDZIAŁ 10

Hosteen uderzył o niewidzialną ścianę z siłą, która zaparła mu dech w piersiach. Klęcząc, z trudem łapał oddech, gdy wpadł na niego Logan i obaj potoczyli się po podłodze. Wokół panowała zupełna ciemność. Norbisowie zamknęli wejście.

Ziemianin znał to szczególne uczucie braku powietrza, ten powiew śmierci - to była atmosfera Zamkniętych Grot, przez długi czas niedostępnych dla człowieka, być może zaprojektowanych tak, by być niedostępnymi dla tego gatunku.

Leżał, oddychając płytko i zastanawiając się nad sytuacją, w jakiej się znaleźli.

- To jedna ze starych grot - przerwał ciszę Logan. - Przynajmniej tak pachnie...

- Tak.

- Uda nam się uwolnić?

Hosteen poruszył ramionami i poczuł, że więzy poluzowały się.

- Może...

Ponawiał wysiłki.

- Ha! - triumfalnie wykrzyknął Logan. - Zrobione! Dawaj... Gdzie jesteś?

Ręka natrafiła w mroku na ramię Hosteena i szybko zsunęła się ku zwojom powrozu.

- Nie bardzo im wyszły te węzły - mruknął Logan pracując za plecami Hosteena.

- Nie sądzę - Ziemianin usiadł i zaczął masować prawy nadgarstek. - Gdybyśmy mieli zostać w więzach, nie zdejmowaliby sieci. Teraz zobaczymy...

Nie miał pojęcia, jak wielka może być jaskinia, ani jak daleko są od wejścia. Nie wiedział też, gdzie jest to wejście. W Zamkniętych Grotach coś dziwnego działo się ze zmysłem orientacji, zresztą Hosteen podejrzewał, że ta ciężka atmosfera wpływała również na jasność myślenia. Przez chwilę stał w miejscu, próbując przyjść do siebie, po czym ruszył, pochylony, jedną ręką macając ziemię przed sobą, a drugą trzymając wyciągniętą do przodu, by nie wpaść na ścianę.

- Zostań, gdzie jesteś - rozkazał Loganowi.

- Co jest grane?

- Wrzucili tu nasze pasy. Broń zniszczyli, ale mam tam atomową latarkę. Nie zepsuli jej, przynajmniej nie zauważyłem, żeby to zrobili.

Szur - szur, palce po skale... i miękkość wyprawionej skóry. Storm kucnął, przyciągnął znalezisko, dotykiem rozpoznał, że to pas Logana i zarzucił go na ramię.

- Mam twój - rzucił. Mój nie może być daleko.

Znowu: szur - szur. Palce uderzyły o coś, co brzęknęło metalicznie. Rozbity emiter, a kilkanaście centymetrów dalej jego pas! Przesunął po nim w pośpiechu rękami. Kompas, woreczek z tabletkami podtrzymującymi, mały zestaw do pierwszej pomocy, wreszcie w ostatniej pętli tuż przy pustej pochwie od noża znalazł to, czego szukał: dwudziestocentymetrową rurkę grubości ołówka. Przycisnął guzik i zamrugnął oślepiiony światłem.

- Rany! - głos Logana pobrzmiwał grozą.

Znajdowali się w wielkiej grocie, a jej ściany i sklepienie pokryte były tą samą czarną substancją, która wyścielała korytarze prowadzące do Groty Ogrodów - materiałem budowlanym nieznanym gwiazdnych wędrowców.

Przy drzwiach, zamkniętych tak szczelnie, że nie widać było miejsca, w którym płyta dzieliła się na dwie części, leżał stos przedmiotów, które na pewno nie pochodziły z czasów Zamkniętych Grot. Hosteen przyjrzał im się. Były tam ich połamane noże i zniszczony emiter Logana, ale były też inne rzeczy: inny emiter, inny pas obładowany dwa razy bardziej niż pas Storma. Podniósł go z ziemi.

- Widders - podniósł się i oświetlił grootę, ale przybysza tu nie było.

- Może jest stąd inne wyjście? - Logan wskazał na występ skalny, za którym mogło coś być. I było - ciemny otwór.

Chłopak podniósł sznury, którymi byli związani, i okręcił się nimi w pasie. Nie mieli broni... a może mieli? Hosteen podniósł pas Widdersa. Noża i emitera nie było, ale

przypomniawszy sobie broń, którą przybysz pokonał ich, gdy wyruszał na swą szaleńczą wyprawę. Miał nadzieję, że znajdzie tu podobną niespodziankę.

- Idziemy? - Logan stał już w wejściu do tunelu.

Hosteen znalazł mały woreczek i wytrząsnął z niego na rękę kulkę o średnicy kilku centymetrów z gałką wystającą z gładkiej powierzchni. Wyglądała jak mały granat zaczepny. Spojrzał z namysłem na zamknięte wejście. Granat normalnej wielkości, celnie rzucony potrafił zniszczyć pojazd pancerny, ale jaki byłby wpływ wybuchu trzykrotnie mniejszego ładunku na skalne drzwi?

- Masz coś ciekawego? - spytał Logan.

- Może - Hosteen wyjaśnił pokrótce zastosowanie swojego znaleziska.

- Da się tym rozwalić drzwi?

Hosteen wzruszył ramionami.

- Nie wiem. To ryzykowne. Nie znamy właściwości tego czarnego paskudztwa. Pamiętaj, co się wtedy stało?

Przed kilkoma miesiącami fala uderzeniowa z broni Xików, użytej o kilka mil od nich, stopiła tajemniczy materiał wyściełający inną grotę i zamknęła ich jak w grobowcu, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności. Wtedy się udało, ale nie można zbyt mocno polegać na własnym szczęściu.

- Mówię ci, najpierw sprawdzmy tylne wyjście - Logan wskazał na tunel.

To brzmiało sensownie. Widdersa w grotcie nie było, a jeśli był tu wcześniej, to pewnie poszedł tą drogą. Wiele wskazywało na to, że Nieznani lubili drążyć podziemne korytarze i byli w tym całkiem dobrzy.

Podzielili ekwipunek: granaty, tabletki, zapasy. Woda - oprócz tej w manierce nie mieli wody. Ale przynajmniej nie było tu słońca.

Otwór nie prowadził do korytarza. Zamiast niego trafili do stromo obniżającego się przejścia, w którym podłogi z czarnej substancji nie pokrywał najmniejszy pyłek. Posuwali się pomału, Hosteen pierwszy, z latarką w jednej i śliskim od potu granatem w drugiej dłoni.

Storm usłyszał, jak Logan wciąga powietrze.

- Woda... gdzieś przed nami.

Przez chwilę Hosteen miał nadzieję, że mają przed sobą drugą Grotę Stu Ogrodów. Ale tam prowadziły ich czyste, intensywne zapachy roślin, a tu czuć było tylko przenikliwą woń wilgoci i czegoś jeszcze mniej przyjemnego.

Światło wydobywało z ciemności mieniające się tęczowo plamy wilgoci na ścianach. Logan przeciągnął po jednej z nich palcem i zaraz wytarł go o brzeg swojego puklerza ze skóry jorisa.

- Szlam! - przytknął palec do nosa. - Śmierdzi. Jakbyśmy włązili do kanału...

Kropelki na ścianach zaczęły tworzyć gęste strumyczki, a odór jeszcze się nasilił. Ale powietrze nie było nieruchome, czuli słaby powiew niosący ze sobą woń rozkładu.

Jak dotąd, nic nie wskazywało, by ktoś szedł tędy przed nimi. Ale teraz znaleźli szeroką smugę na ścianie. Coś starło ze ściany strumyczki, a nowe krople właśnie torowały sobie tamtędy drogę. Wilgoć panująca w powietrzu zapobiegła wyschnięciu tego śladu.

- To jest całkiem świeże - zauważył Logan.

Wyciągnął rękę, nie dotykając ściany i wskazał, że górna krawędź smugi znajdowała się na wysokości barku.

- Ktoś albo coś pewnie się tu pośliznęło...

Hosteen skierował światło latarki niżej, a Logan odczytywał wilgotne ślady.

- To - wskazał na mokrą plamę - był czubek buta!

Nie zawiodło go oko tropiciela. Tylko but przybysza mógł zostawić tak regularny ślad. Widders? A może jakiś rozbitek z rakiety, który schronił się w tym labiryncie przed tubylcami?

- Ktokolwiek to był, zszedł w dół i nie wrócił - stwierdził Logan - Pewnie nie był już w stanie tego zrobić. No cóż, albo idziemy dalej, albo spróbujemy rozwalić tamte drzwi granatem. Masz inny pomysł?

- Idziemy - padła szybka odpowiedź. - W razie czego, mamy żądła. - Podrzucił do góry granat i zręcznie go chwycił.

Ruszyli dalej wyglądając innych śladów tego czy tych, którzy przeszli tędy przed nimi. Niczego jednak nie dostrzegli. Powietrze stawało się coraz bardziej wilgotne i mgliste. W górze było raczej chłodno, a tu robiło się coraz cieplej, woń też stała się bardziej intensywna, ciężka, jakby piżmowa. Hosteen zaczął węszyć podejrzewając, że zbliżają się do okolic zamieszkałych przez jakąś formę życia.

Korytarz biegł teraz poziomo, a środkiem, w zagłębieniu płynął niewielki strumyczek, utworzony przez ściekające po ścianach krople. W świetle latarki ujrzeli łukowato sklepione ujście korytarza. Dokąd prowadziło?

Kiedy wyszli z niego, Hosteen przełączył promień latarki z szerokiego snopu na skupioną, ostrą wiązkę. Przez chwilę wydawało mu się, że daleko po prawej ujrzął coś, co mogłoby być ścianą czy linią brzegową. Przed sobą mieli rozlewisko, w którego nurtach

pływały resztki połyskujące tęczo w świetle latarki i matowiejące, gdy się z niego wydostawały.

Chodnik, który ich tu przywiódł, biegł dalej wchodząc w wodę niby nabrzeże lub skalne moło. Na pewno nie był to twór natury. Jego skraj zdobiły stojące na sztorc, w równych odstępach, skalne walce, jak pachołki do cumowania. Do cumowania? Czego? Kto mógł pływać po tym jeziorze czy rzece i po co?

Szli wolno wzdłuż nabrzeża. Puste walce, cuchnąca ciecz bijąca o brzeg... Grota Stu Ogródów była obca, ale nie wroga. Tutaj było inaczej. I znów Hosteen nie mógł pogodzić się z myślą, że ta sama cywilizacja stworzyła piękno ogrodów i taki ponury labirynt.

- Statki? - spytał nagle Logan. - Kim oni byli i po co im tu były statki? Ogrody... i to miejsce... to do siebie nie pasuje.

- Rzeczywiście - zgodził się Hosteen. - Kwii halchinigii 'ant 'iihni...

- Co?

- Powiedziałem, że pachnie tu czarną magią.

- To prawda! - z przekonaniem przytaknął Logan. - Dokąd idziemy? Jakoś nie mam ochoty na kąpiel.

Doszli do końca skalnego pomostu i wpatrywali się w ciemność nad leniwie płynącą wodą, usiłując dostrzec coś, co mogłoby być drugim brzegiem. Ale poza niewyraźnymi konturami daleko po prawej stronie nie zobaczyli niczego.

Kiedy Hosteen przesunął promień latarki w lewo, oświetlając dalszą część ściany, zza której wyszli, ujrzeli coś, co mogło być wyjściem. Wzdłuż ściany jaskini, pomiędzy skałą a ciemnym lustrem wody, rozciągało się kilka metrów czegoś w rodzaju plaży z szorstkiego piasku i żwiru. A sama ściana kryła ocienione miejsca, które mogły, ale nie musiały, być wejściami do następnych grot lub korytarzy. W każdym razie było to bardziej zachęcające niż woda. Sam jej wygląd podpowiadał wyobraźni Hosteena różnorakie obrzydliwości, jakie mogłyby w niej spotkać.

Wrócili na brzeg i zeskoczyli na plażę. Tu i ówdzie pośród żwiru leżały większe kamienie. Kamienie? Hosteen przystanął i końcem buta trącił jeden z nich. Czarnymi oczodołami spojrzęła na niego czaszka. Wyrastające z niej zakrzywione rogi świadczyły, że należała do Norbisa. Z wyglądu kości Hosteen ocenił, że tubylec zmarł już dawno temu.

- A to co, w imię Siedmiu Gromów? - Logan chwycił Hosteena za ramię, kierując światło latarki przed siebie. W jej blasku znów ujrzeli nagą kość. Ale co za kość! Trudno sobie było wyobrazić głowę, która mogła mieścić taką czaszkę! Żuchwa o długości ludzkiego

ramienia, ogromne oczodoły, czegoś takiego nie widział nigdy na Arzorze, ani żadnej z pięćdziesięciu planet, które odwiedził.

- Troje oczu! - głos Logana brzmiał jakoś dziwnie. - To miało troje oczu!

Rzeczywiście. Niezwykle szeroko rozstawione oczodoły były rozdzielone trzecim, tkwiącym pośrodku, nad uzębioną szczęką. Troje oczu!

Na Ziemi żyły kiedyś potwory, których kości przetrwały aż do czasów cywilizacji człowieka. Wykopane i oczyszczone, gromadzono potem w muzeach, gdzie można było je podziwiać. Może to był szkielet jakiegoś dawno wymarłego zwierzęcia, które niegdyś zamieszkiwało Arzor, a potem wyginęło jak dinozaury? A jednak nie. Troje oczu było jakimś wybrykiem natury, czymś obcym.

- To musiał być potwór! - Logan klęknął obok, grzebiąc palcami w żwirze, jakby bał się dotknąć kości gołą ręką. Hosteen przyjrzał się teraz dokładniej znalezisku. Wrócił po czaszkę Norbisa i położył ją przy trójokim czerepie porównując je.

- O co chodzi? - zaniepokoił się Logan.

- Shii hazheen...

Logan spojrzał z irytacją.

- Mów jak człowiek, dobra?

- Nie wiem, co myśleć - uprzejmie przetłumaczył Hosteen. - To niemożliwe.

- Co?

- Ta czaszka - wskazał na norbiską - rozpada się ze starości, noże z wilgoci. Ale należała do tubylca, do gatunku, który teraz zamieszkuje Arzor. Porównaj ją z tą drugą. Trójjoka wcale się od niej nie różni, jakby pochodziły z tego samego okresu...

- Co masz na myśli?

Hosteen opowiedział chłopcu o olbrzymich gadach, które zamieszkiwały kiedyś Ziemię, i o swoim przypuszczeniu, że szczątki, które należeli, mogły być pozostałością po jakimś dawno wymarłym gatunku.

- Tylko że nie wygląda wystarczająco staro, o to ci chodzi. No, czy Norbis nie może być równie stary?

- Mógłby - każda planeta ma własną historię. Tylko, że na ziemi potwory wyginęły na długo przed pojawieniem się pierwszych, prymitywnych ludzi. Gdyby Norbisowie żyli kiedyś na Arzorze razem z takimi zwierzętami, jakiś ślad tego pozostałby na pewno w genach.

- Ludzie z nizin zawsze bali się Błękitnej.

- Ale nie z powodu potworów. Mówią przecież o wielkich ptakach - mordercach i innych naturalnych wrogach.

- To znaczy...

-... Że jeżeli te stworzenia żyły niedawno, powiedzmy jakieś sto lat temu, to mogły zamieszkiwać podziemia takie jak to i dlatego wiedziały o ich istnieniu tylko ofiary tu zamknięte.

- I że jakiś trójjoki może czekać za następnym zakrętem, tak?

- Logan zerwał się i otrzepał ręce z piasku. - To nie jest najradośniejsza nowina na świecie.

- Mogę się mylić. - Hosteen nie zamierzał jednak rezygnować z czujności. Jakie miałby szansę z granatem przeciwko trójjokiej śmierci?

Już wolniej ruszyli plażą, oświetlając dokładnie każde ciemniejsze miejsce, czujni na każdy dźwięk. Słyszeli jednak tylko chrzęst własnych kroków po żwirze i plusk wody.

Jak dotąd, żaden z cieni nie był otworem wiodącym gdzieś dalej. Byli już dosyć daleko od skalnego pomostu, gdy Logan znów złapał brata za ramię, kierując, światło latarki wysoko na ścianę.

- Coś się rusza, tam w górze!

W snop światła, wydając piskliwy okrzyk, wpadło jakieś skrzydlate biało-żółte stworzenie.

- Płacyk! - zawołał Logan. Był to pospolity ptak żywiący się jagodami i zamieszkujący górzyste okolice. - Cóż on tu robi?

- Może wskazuje nam wyjście. - Hosteen skierował światło latarki w stronę, z której nadleciał ptak. Był tam otwór głębszy niż szczeliny, które spotkali dotąd. Płacyk jakoś musiał się tutaj dostać, być może, przyleciał właśnie tędy.

Ptak nadal krążył wokół snopu światła, aż wreszcie, jakby kierowany przez nie, przysiadł na skraju otworu, wciąż krzycząc żałośnie.

- Tylne wyjście? - podsunął Logan.

- Nie zawadzi sprawdzić.

Wejście wyglądało o tyle zachęcająco, że nie pomieściłoby na pewno stwora o czaszce tak wielkiej, jak ta, którą znaleźli. Mogli więc nie obawiać się bestii czyhającej za każdą skałą. Hosteen zatknął latarkę za pas i zaczął się wspinać ku otworowi.

ROZDZIAŁ 11

Stali u wejścia do następnej jaskini. Czy to była droga na zewnątrz, ku światłu i powietrzu? Czy obecność ptaka była dostatecznym tego dowodem?

Jeśli nawet było to wyjście, nie zostało wykonane przez Nieznanych. Ścian nie pokrywała czarna substancja, tworzyła je szorstka rudoczerwona skała. W każdym razie była to jakaś droga, a gdy nią ruszyli, płaczyk skrzeknął i pofrunął za nimi jakby przyciągany światłem.

Droga, niestety, nie pięła się w górę, lecz biegła poziomo, czasem tak wąska, że musieli bokiem przeciskać się między skałami. Powietrze nie było tu martwe i nieruchome, jak w przejściach Zamkniętych Grot. Logan znów pociągnął nosem:

- Niedobrze.

Piżmowy zapach, który czuli, zanim weszli do jaskini z rzeką, powrócił. Ten zapach i wilgoć... a przecież Hosteen był pewien, że nie idą w kółko. Niemożliwe, żeby wracali na plażę.

Płaczyk leciał cały czas za nimi. Jego pisk przeszedł w ponure pokrzykiwanie, wreszcie ptak przeleciał między nimi i zniknął w ciemności. Hosteen przyspieszył kroku. Weszli w szary półmrok. Teraz włączył latarkę i ostrożnie posuwał się naprzód. Spojrzał w dół i przez chwilę myślał, że śni.

Znajdowali się w półkolistym zagłębieniu ściany kolejnej groty, ale o takich rozmiarach, że bez zdjęć lotniczych nie można by sporządzić jej mapy. Tu też była woda i potoki, stawy, nawet niewielkie jezioro. Tyle że oddzielały je od siebie ściany. Jak okiem sięgnąć, dno groty wyglądało jak gigantyczna szachownica. Czworoboczne mury odgradzały stawy ze skrawkiem otaczającej ziemi lub kawałki gruntu, przez które przepływał strumień. Po co? Nie było widać żadnych upraw.

- Zagrody - rzucił Logan.

To było prawdopodobne. Te regularnie ogrodzone, kwadratowe działki mogły być zagrodami - czymś podobnym do korralli na nizinach. Ale co i po co miało w nich mieszkać?

Przykucnęli, starając się dostrzec jakiś ruch w najbliższych kwadratach. Tutejszą roślinność stanowiły bladoszare, szorstkie trawy czy trzciny i niskie zarośla o grubych, mięsistych, ale jakby chorych liściach. Sceneria była raczej odpychająca, zupełnie niepodobna do kuszącego krajobrazu Groty Stu Ogrodów.

- To wszystko ma już parę lat - zauważył Logan. - Popatrz na ten mur...

Hosteen spojrział we wskazanym kierunku. Ściany zawaliły się, otwierając przejście do następnych dwóch zagród. Dalej zobaczył jeszcze jeden zwalony mur. Wstał i odczepił od pasa lornetkę. Chociaż światło było słabe, próbował coś dojrzeć.

Powoli omiół wzrokiem obszar z prawa na lewo. Stawy, woda, rośliny były takie same, jak rosące pod nimi, tylko w kilku miejscach roślinność była inna, w niektórych zagrodach przypominała pustynną. Być może, tak to zaprojektowano, a może po prostu wymarły tu wcześniejsze "uprawy".

Ściany nie były jedynym dowodem na to, że miejsce to zaprojektowano celowo. Daleko, po lewej stronie, Hosteen dojrzał jakieś wzniesienie. Był to chyba budynek, podał lornetkę Loganowi, który potwierdził jego przypuszczenie.

- Idziemy tam? - zapytał.

Była to sensowna propozycja. Hosteen czuł jednak dziwną niechęć do przedzierania się przez ogrodzone kwadraty i prostokąty oraz porastającą je dziwaczną, chorą roślinność. Logan wyraził to słowami:

- Jakoś nie mam ochoty na tę wycieczkę...

Hosteen wziął od niego lornetkę i przyjrzał się odległemu budynkowi. W mroku groty wydawał się jakby niematerialny, nie można było prześledzić dokładnie linii ściany czy dachu ani nawet określić wielkości tej konstrukcji, Zupełnie jakby patrzyło się przez zamgloną szybę w czasie deszczu. Może rzeczywiście o to chodziło - powietrze w grocie było wilgotne i mgliste.

Nie zauważył żadnego ruchu ani wokół domu, ani w zagrodach. Nie sądził, żeby przetrwało tu jakieś inteligentne życie, ale niewykluczone, że zachowały się jakieś niższe formy. Budynek mógł nie tylko wyjaśnić cel, w jakim stworzono tę jaskinię, ale również wskazać drogę ucieczki.

Ci, którzy zbudowali to wszystko, mieli na pewno inne wejście niż wąska szczelina skalna, którą doszli tu osadnicy.

- Spróbujemy się tam dostać - mówiąc te słowa Storm zdumiał się swym niepewnym tonem.

Logan zaśmiał się.

- Diabelska okolica - stwierdził. - Wolałbym, żeby jeszcze kilku naszych brało udział w tej imprezie. Miejmy nadzieję, że nasze długozębe i trójokie niewiadomoco nie siedzi gdzieś po drodze czekając na kolację. I jak mu powiedzieć, że nie mam ochoty stać się głównym daniem? Nie mam nawet noża. No, ale czekanie nie poprawi sytuacji. Odpalamy na orbitę?

Opuścili się z krawędzi urwiska i skoczyli. Upadli na osypisko piachu w jednym z kwadratów. Mury oddzielające poszczególne kwadraty miały około trzech metrów wysokości. Gdyby nie to, że były częściowo zwalone, mieliby poważne kłopoty z dotarciem do celu, bo te, które jeszcze stały, były gładkie i śliskie.

Dwukrotnie, w miejscach, gdzie ściany były nietknięte, musieli wchodzić jeden drugiemu na barki, by dostać się na górę. W jednym z kwadratów znaleźli jeszcze jeden szkielet, którego Hosteen nie potrafił zidentyfikować. Wąska, długa głowa z niewielką puszką mózgową! szczękami zewężającymi się szpiczaste do przodu. Z końca tego ryjka wyrastał zakrzywiony ku górze róg.

Logan szarpnął za niego i róg został mu w dłoni, podczas gdy reszta czaszki rozsypała się. Długi na trzydzieści centymetrów, ostry jak ząb jorisa, musiał być w swoim czasie niebezpieczną bronią.

- Jeszcze jedno niewiadomoco.

- Ktoś był zbieraczem - wyraził przypuszczenie Hosteen obchodząc resztki. To mógł być powód, dla którego stały te mury i dla którego była tu woda. Grota Stu Ogrodów była kolekcją okazów roślin zebranych dla ich piękna i zapachu z ponad stu różnych planet. To zaś mogła być inna kolekcja: gadów... zwierząt.. kto wie? Może był to rodzaj zoo? O ile jednak ogrody kwitły przez wieki, a może eony, po zniknięciu ogrodników, o tyle hodowane tu stworzenia nie przeżyły.

- Powinniśmy się z tego cieszyć - odparł bez namysłu Logan na uwagę Hosteena. - Bezbronna zwierzyna łowna... to nie jest moja ulubiona rola. To byłoby niezłe trofeum myśliwskie. - Zważył róg w dłoni, po czym wepchnął go w pochwę od noża.

- Założę się, że Krotag jeszcze czegoś takiego nie widział.

- Te zwalone mury... - Hosteen usiadł obok brata na szczycie muru okalającego zagrodę ze szkieletem. - Być może, zarządzający tym miejscem odeszli nagle...

- A zwierzaki zgłodniały i postanowiły zrobić coś z tym fantem? - spytał Logan. - Być może. Ale pomyśl, co mogło rozwalić takie potężne ściany! - Uderzył dłonią w powierzchnię, na której siedzieli.

- To musiało być jak żywy, dziki i wściekły buldożer! Całe szczęście, że nie zjawiliśmy się tu wcześniej. Kiedy to się działo, nie było miejsca na żadne Pierwsze Statki.

Ruszyli dalej, pokonując kolejne mury i zagrody. Tabletki z żelaznych porcji dawały im energię i odwlekały potrzebę snu, ale Hosteen wiedział, że na sztucznej sile można polegać tylko do pewnego momentu, a zbliżali się do niego szybko. Jeśli znajdą schronienie

w budynku, będą mogli tam wypocząć. W przeciwnym razie środek pobudzający może zawieść i w decydującym momencie zostaną bezbronni i bezsilni.

Wdrapawszy się na ostatni mur zatrzymali się, a Hosteen oświetlił budynek. Oddzielała go od nich linia cienkich, gładkich palików wbitych w ziemię. Jeżeli miały podtrzymywać płot, to reszta konstrukcji dawno się rozpadła. Poza nimi nic nie stało na drodze do trójkątnych drzwi masywnej budowli.

Ześliznęli się z muru i zbliżyli właśnie do palików, gdy Hosteen wyciągnął rękę i zatrzymał Logana. Przypomniawszy sobie ochrony stosowane na odległych planetach. To, że nie widzieli przeszkody, nie znaczyło jeszcze, że jej tam nie ma. Przecież istoty hodujące te zwierzęta musiały mieć jakąś możliwość obrony na wypadek, gdyby stworzenia wydostały się ze swoich zagród.

- Te słupki mogą być generatorami pola siłowego - ostrzegł.

Logan skinął głową.

- Mogą.

Podniósł kamień i cisnął go między paliki. Pocisk przeleciał między nimi bez przeszkód i głucho uderzył w ścianę budynku.

- Nawet jeśli było tu pole, to teraz go nie ma.

Dowód był przekonujący, a jednak coś powstrzymywało Hosteena. Instynkt, który go nigdy nie zawiodł, który był składową tego tajemniczego wrodzonego daru czyniącego go częścią drużyny, gwałtownie sprzeciwiał się temu, co właśnie mieli zrobić. Walcząc ze sobą, Hosteen wszedł między paliki.

Zakrył uszy rękami. Zwinął się i rzucił konwulsyjnie do przodu i toczył się po ziemi jak w agonii z głową wypełnioną potwornym bólem, wibracją, hałasem, czymś tak obcym, że nie potrafił tego nazwać. Cały świat przeszywał przeraźliwy wrzask, który rozdzierał ciało, komórka po komórce.

Hosteen doświadczał w przeszłości bólu fizycznego i tortur psychicznych, ale czegoś takiego nigdy.

Kiedy odzyskał przytomność, leżał w ciemnościach, skulony, oddychając płytko w obawie przed powrotem cierpienia. W końcu poruszył się z trudem, uniósł trochę i spostrzegł światło z tyłu. Spojrzał przez ramię i zobaczył szary trójkąt. Trójkąt! Drzwi budynku! To znaczy, że dotarł do budynku. Ale co się stało? Usiłował sobie przypomnieć, choć proces ten był bolesny.

Przeszkoda między palikami - dźwiękowa, to musiała być bariera dźwiękowa! Logan... był z nim Logan! Gdzie teraz jest?

Nie udało mu się wstać, przy pierwszej próbie zakreśliło mu się w głowie. Wypełzył więc na zewnątrz i na pochylni wiodącej do drzwi znalazł Logana, który jęczał cicho leżąc z zamkniętymi oczami i ściskając rękami głowę.

- Co to było? - wychrypiął Logan.

Leżeli teraz w pierwszym pomieszczeniu.

- Myślę, że bariera dźwiękowa.

- To brzmi sensownie.

Urządzenia takie były znane hodowcom, ale nie cieszyły się dobrą opinią. Nadajniki nie były łatwe w użyciu. Właściwe natężenie utrzymywało stado w posłuszeństwie, ale niewielka zmiana mogła łatwo stać się przyczyną paniki i znacznych strat.

- Ciągłe działa... ale nas nie zabiło.

- Nastawione na inne formy życia. - Wyjaśnił Hosteen. - Zresztą może je też tylko ogłuszało. Ale nie chciałbym tego jeszcze raz próbować.

Ta przygoda pozbawiła ich resztek sztucznie podtrzymywanych sił. Spali, budzili się, by przełknąć tabletki i napić się wody z manierek, które napełnili w jednym ze spotkanych źródeł, i znów zapadali w sen. Trudno było im potem ocenić, ile trwał ten letarg. W końcu jednak ocknęli się z uczuciem świeżości i napełniającej ich energii. Logan przyglądał się dwóm tabletkom leżącym na dłoni.

- Wolałbym trochę prawdziwego mięsa - oznajmił. - To nie zapełnia żołądka...

- Ale pozwala nam iść dalej.

- Iść dokąd?

- Musi być stąd jakieś wyjście. Trzeba je tylko znaleźć.

Przeszukali budynek. Hodowcy opuścili grootę w pośpiechu, nie dbając o przyszłość zwierząt, ale opróżnili dokładnie wszystkie pomieszczenia. Nie pozostało nic, co byłoby jakąś wskazówką, wyjaśniającą, kim lub czym były istoty zamieszkujące to miejsce. Na to, że ktoś tu w ogóle mieszkał, wskazywał rodzaj łazienki i coś, co według Hosteena było kuchnią. Cała reszta zniknęła, chociaż dziury w ścianach sugerowały, że usuwano z nich w pośpiechu jakieś instalacje.

Kiedy dostali się na ostatnie piętro, znaleźli wyjście na płaski dach, z którego mogli przyjrzeć się okolicy.

Na tyłach budynku nie było zagród. Równa przestrzeń prowadziła wprost do tunelu w ścianie groty. Tunel był wielki.

- Proszę, przed nami drzwi frontowe - stwierdził Logan.

- Przed nami jest jeszcze coś - zauważył Hosteen. Miał rację. Paliki stanowiące barierę dźwiękową tworzyły wokół budynku zamknięty krąg. Żeby dotrzeć do kuszących "drzwi frontowych", trzeba było jeszcze raz przebyć ich linię. A to znaczyło... Poza tym stale miał wrażenie, że czyha tu gdzieś na nich niebezpieczeństwo. Dlaczego? Jediną żywą istotą, jaką spotkali, był płaczyk, który nie wiadomo jak się tu dostał. Kości stworzenia, które kiedyś zamieszkiwało jedną z zagród, były tak stare, że się rozsypywały. A jednak instynkt ostrzegał go za każdym razem, gdy spoglądał na ogrodzone kwadraty. Coś tam się kryło, coś, czego jeszcze nie ujrzeli.

- Patrz! - Logan położył mu dłoń na ramieniu wskazując wejście do tunelu. - Tam, obok tego słupa.

Brzegi wejścia były ociosane i tworzyły rodzaj łączących się z macierzystą skałą kolumn. U stóp jednej z nich na ziemi leżał ciemny kłębek. Hosteen nastawił ostrość w lornetce. Półmrok był mylący, ale nie na tyle, by nie można było rozpoznać, że leżał tam człowiek.

- Widders? - spytał Logan.

- Być może.

Zdawało mu się, że sylwetka drgnęła, jakby usiłując unieść rękę. Jeśli był to Widders, który przekroczył barierę dźwiękową, to mógł być nieprzytomny.

- Idziemy! - Zawołał Hosteen schodząc z dachu.

- I to szybko - odparł Logan.

To mogło być najlepsze wyjście: rzucić się między paliki z impetem wystarczającym, by przedrzeć się przez barierę. Hosteen nie potrafił wy myśleć niczego lepszego. Sprawdziwszy umocowanie ekwipunku stanęli przy ścianie budynku i pędem ruszyli naprzód. Hosteen zgiął się wpół czując przeszywające go fale dźwiękowe i wylądował koziółkując poza ich linią, starając się zwalczyć zaburzenia świadomości. Logan poszybował za nim wymachując w powietrzu rękami i nogami i upadł tuż obok.

Ziemianin dźwignął się na kolana. Tym razem szok był chyba słabszy. Podpełził do Logana, który starał się usiąść, i przez zaciśnięte zęby wyszeptał:

- Udało się...

Przysiedli, wspierając się ramionami, aż przejaśniło im się w głowach i mogli utrzymać się na nogach. Wtedy ruszyli ku człowiekowi. Hosteen rozpoznał podarty kombinezon.

- Widders! Widders!

Podszedł chwiejąc się i przyklęknął przy nieruchomym kształcie. Utkwił niedowierzające spojrzenie w odrzuconej ręce.

Skóra i kości, kości, które dziurawiły ciasno opiętą na stawach skórę! Walcząc ze swym lękiem przed zmarłymi, z wrodzoną obawą przed skalaniem się, obrócił ciało na wznak.

- Nie! Nie! - W krzyku Logana brzmiało przerażenie.

To coś było kiedyś Widderssem, tego Hosteen był pewien. Teraz można było tylko przypuszczać, że była to istota ludzka. Ziemianin wepchnął ręce głęboko w piasek i tarł nimi z całej siły zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie w stanie zapamiętać, że dotknął tego... tego...

- Co zrobiło... to? - wyszeptał Logan.

- Nie wiem.

Hosteen podniósł się przyciskając jedną ręką nagle ciężki żołądek. Instynkt go nie zawiódł. Gdzieś tu krył się myśliwy. Myśliwy, którego sposób odżywiania się był niemożliwy do przyjęcia dla człowieka przy zdrowych zmysłach. Muszą się stąd wydostać... natychmiast!

Szarpnął Logana popychając go w stronę tunelu, do którego musiał zmierzać Widders, gdy został powalony. W tej jaskini czaiło się coś okropnego, co nie zginęło w zagrodzie, jeśli kiedykolwiek było tam zamknięte.

Przebiegli przez otwartą przestrzeń i wpadli w ciemność tunelu. Pędzili tak na oślep, aż ostry, opasujący ból odebrał im oddech, a przerażenie nie mogło już zmusić ciał do dalszego wysiłku. Opierając się o siebie, jakby dotyk ciał chronił przed obłędnym strachem, siedli na ziemi, z trudem wciągając do płuc martwe powietrze.

Rozdział 12

- To... otwarte... przejście - wydyszał Logan.

Miał rację. To, co dosięgło Widdersa, mogło dostać się i tutaj. Może nawet czyhało już gdzieś przed nimi.

Ramię, którym Hosteen objął drgające barki brata, stężało. Nie może dać się ponieść panice - to by oznaczało pewną śmierć dla nich obu. Musi myśleć jasno.

- Mamy granaty i latarkę - pocieszał siebie i Logana. - Widders nie miał niczego. Cud, że dotarł tak daleko.

Logan powoli uspokajał się.

- Miałem stracha jak szczur w pułapce, nie ma co! - odpowiedział z cierpkim humorem, który pomagał mu w trudnych momentach. - Nigdy jeszcze tak nie zwiewałem.

- Zwiewaliśmy obydwaj - odparł Hosteen. - Zdaje się, że nie zostałem z tyłu, co? Ale myślę, że ten szczurzy etap mamy już za sobą.

Logan niezgrabnie uścisnął rękę brata.

- Masz rację. Trochę nas poniosło. Ale teraz musimy się trzymać, nie wiadomo, co nas jeszcze może spotkać. Będę twardy.

- W porządku - odparł Hosteen. - Ruszamy dalej, no, może trochę wolniej.

Niezdecydowany, dotknął latarki. Czy, gdyby ją włączył, nie wskazałby celu potworowi? Zdecydował się jednak. Widząc przeciwnika będą mogli użyć granatów.

Korytarz ciągnął się i ciągnął, a Hosteen podziwiał rozmiary podziemi. Labirynt musiał obejmować co najmniej kilka szczytów. Na pewno byli już daleko od góry, na którą zawlekli ich Norbisowie.

Nie widzieli żadnych śladów świadczących o tym, że ktoś tu dotarł przed nimi. Szok, jaki przeżyli natknąwszy się na zwłoki Widdersa, osłabł już. Nagle Hosteen dostrzegł szarawy blask. Wyłączył latarkę i ostrożnie podeszli do otworu kolejnego korytarza.

Z jego sklepienia zwisały stalaktyty, a na dnie stał rząd stalagmitów grubych jak ludzka noga. Łukowaty strop tunelu przebity był w trzech miejscach, a owalne otwory zasłonięte czerwoną, przezroczystą substancją, przez którą wpadające światło nabierało barwy krwi.

Nad nimi świeciło słońce, palące słońce Wielkiej Suszy. Przycupnęli pomiędzy słupami i, osłaniając oczy przed blaskiem, starali się dojrzeć jakąś drogę, która przeprowadziłaby ich przez rozżarzoną pustynię.

W drgającym od upału powietrzu dostrzegli, że w dal biegnie rząd palików - takich samych jak te, które tworzyły dźwiękową barierę w grocie. Hosteen spojrział przez lornetkę, ale blask bijący z rozżarzonego nieba był równie zwodniczy, Jak mglisty półmrok groty zagród.

- Musimy poczekać na zmierzch - Logan podciągnął kolana i objął je ramionami. - W tym skwarze nikt nie wytrzyma dłużej niż pół godziny.

Jak daleko sięgał rząd palików? Czy zdążyliby idąc tędy dotrzeć do jakiegoś schronienia przed następnym dniem? I czy nad nimi rzeczywiście była otwarta przestrzeń?

- Otwarta przestrzeń? - powtórzył głośno.

- Co, myślisz, że to jeszcze jedna jaskinia z kontrolowanym klimatem dla czegoś, co lubi się smażyć?

- A te paliki? Tu też musiała być bariera dźwiękowa.

- Teraz jest w niej sporo dziur - zmrużywszy oczy Logan spoglądał przed siebie. -
Wracamy czy próbujemy?

- Myślę, że spróbujemy. Przynajmniej kawałek. Wyruszymy, kiedy nadejdzie noc, jeśli w ogóle nadejdzie, i jeśli w bezpiecznej odległości nie znajdziemy końca - zawrócimy.

- To brzmi sensownie - stwierdził Logan. - Czekamy.

Nadzieja była wątpliwa. Wszystko zależało od tego, czy była to kolejna jaskinia z kontrolowanym, zabójczym dla nich, klimatem, czy też miała ona połączenie ze światem zewnętrznym. Ludzkie oczy nie mogły spojrzeć w piekło, które, być może, było niebem. Hosteen sądził, że w chwili, gdy weszli do korytarza, temperatura i światło odpowiadały wczesnemu popołudniu. Poczekają więc na noc, która może nie zapaść, a wtedy będą musieli rozpocząć długą drogę powrotną do jaskini, w której zamknęli ich Norbisowie.

Trzymali wartę, śpiąc niespokojnie na zmianę, a czas powoli pełził naprzód. Nagle Hosteena obudziło szarpnięcie.

- Patrz!

Tam, skąd przedtem padało światło, którego oczy nie mogły znieść bez bólu, teraz lśniła czerwona poświata. Ziemianin widział ją zbyt wiele razy, by się mylić. Tak, zbliżała się noc. Muszą poczekać tylko, aż zapadnie zmierzch, i mogą ruszyć drogą wzdłuż palików. Zjedli, popili oszczędnie wodą i czekali niecierpliwie, aż czerwień przejdzie w purpurę, purpurę, która oznaczała wolność. Gdy tak czekali, Hosteen, czując dziwne napięcie, podszedł nieco do przodu pomiędzy rzędami stalagmitów. Dlaczego? Z pustyni leżącej przed nimi nie dochodził żaden dźwięk, nic się tam nie poruszyło.

Dzięki lornetce sięgał wzrokiem daleko przed siebie, ale widział tylko nagie skały i paliki ustawione w przerywanej miejscami linii. Żadnej roślinności, nie mogło więc tu żyć żadne ze stworzeń, jakie widział dotąd na Arzorze. A jednak gdzieś w głębi czuł rosnący strach przed tym wypalonym słońcem miejscem. Napięcie było dużo większe niż w którymkolwiek z przejść czy jaskiń, które przebyli.

- Co to jest?

Hosteen spojrział przez ramię. Logan sprawdzał troczki manierek, ale teraz też patrzył przed siebie mrużąc oczy.

- Nie wiem - odparł powoli. - To... dziwne...

Z miejsca, gdzie leżał Widders, uciekali ze strachem i grozą. Teraz, gdy Storm porównywał te uczucia, wiedział, że to, którego doświadczali w tej chwili, było czymś

zupełnie innym. Tamto było po części strachem fizycznym, to zaś czymś bardziej złożonym, torturą dręczącą umysł, nie ciało.

- Idziemy - w głosie Logana nie było pytania, raczej obietnica, a może wyzwanie dla czegoś, co było przed nimi. Zaciśnął zęby. Musiał stawić czoła czemuś, przed czym się wzdragał.

- Idziemy - potwierdził Hosteen.

Każde włókno jego mięśni walczyło z tym postanowieniem. To, co początkowo było niepokojem, przerodziło się w drżącą, rozpaczliwą walkę jednej, głęboko zakorzenionej, części jego istoty z żelazną determinacją drugiej. Wiedział jednak, że gdyby nie stawił czoła temu czemuś, co na nich czekało, byłby w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób złamany, równie okaleczony jak gdyby stracił rękę lub nogę.

Zmierzchało. Ruszyli powoli, ramię w ramię, wychodząc z tunelu. Logan chwycił Hosteena i zmusił go do odwrócenia się.

Przez jedną straszną chwilę Ziemianin sądził, że stoi przed przedmiotem swoich lęków. Potem domyślił się prawdy. Wrota-tunelu wyrzeźbiono tworząc dziwaczny i okropny kształt. Wynurzyli się z zębatej paszczy trójkiego potwora przedstawionego na podobieństwo czaszki, którą znaleźli nad podziemną wodą. Jego oczy połyskiwały - to były te owalne, czerwone otwory, które widzieli od środka. Widząc wykrzywiony pysk, Hosteen ani przez moment nie wątpił, że artysta widział swój model na żywo.

- Czy to prawdziwa wielkość trójkiego? - Logan odzyskawszy głos usiłował nadać mu dawny, lekki ton.

- Kto wie? W każdym razie wyszliśmy na zewnątrz, to lepsze niż iść w drugą stronę.

- Jeszcze możemy tego żałować!

Pobiegli, oddalając się od zdobionych maską drzwi. Przestrzeń ograniczona przez linie palików była gładka, choć w świetle latarki nie było widać żadnej, specjalnie kładzonej nawierzchni. W każdym razie można było iść po niej w tempie, jakie musieli utrzymywać. O północy zobaczą, czy mogą podążać dalej, czy muszą wrócić pomiędzy czekające ich szczęki trójkiego potwora.

Żadnego dźwięku, nawet podmuchu. Ale... Hosteen zatrzymał się i oświetlił ocienione miejsce pod skałą na lewo. Skały. Nagie skały. A jednak... chwilę przedtem, nim je oświetlił, było tam coś, co skradało się, węsząc, ku linii palików. Mógłby przysiąc, że słyszał ciężki oddech, zgrzyt pazurów po skale i turkot potrąconego kamienia.

- Niczego tam nie ma!

Logan chwycił go za nadgarstek, kierując światło latarki w drugą stronę, ku szczelinie w ziemi. No tak! To stworzenie czai się tam, czekając, kiedy odwróci się w przeciwną stronę, żeby... Naga skała... pusta szczelina i... nic!

- Coś... coś tu musi być. - Logan z trudem nad sobą panował. Przecież mieli tu barierę dźwiękową dla ochrony, prawda?

- Kiedyś - odparł Hosteen.

Duchy... upiory? Czyżby duchy budowniczych tej drogi lub artysty, który wyrzeźbił smoczą paszczę... czy też może dziwnych form życia, które zamieszkiwały tę wypaloną równinę i przed którymi nawet budowniczowie tego miejsca musieli się zabezpieczać?

Ruszył naprzód. Logan szedł za nim krok w krok. Zaczęli iść pomału, ale tempo marszu rosło, bo dziwaczne i groźne otoczenie pozbawiało ich resztek panowania nad sobą.

Krakanie? A może chrapliwy oddech? Tam! Tym razem Hosteen był pewien, że niebezpieczeństwo kryło się w cieniu niedalekiego pagórka. Zaciskając granat w jednej ręce, drugą wyciągnął latarkę tak gwałtownie, jakby to była lufa emitera. Skała. Tylko skała.

- Spokojnie! - nie zdawał sobie nawet sprawy, że wydał sobie ten rozkaz na głos.

Załóżmy, że były tu jakieś stworzenia, które dla zmylenia wroga potrafiły rzutować wrażenie swojej obecności w miejsca, gdzie ich wcale nie było? Dzięki treningowi, jaki przeszedł w związku z pracą w drużynie zwierząt, poznał tajniki pozazmysłowego kontaktu między człowiekiem a zwierzęciem. Kto wie, może niektóre z tych technik dałyby się zastosować także pomiędzy człowiekiem i czymś nieznanym?

Czy właściwość psychiki, która tak ściśle związała go z jego zwierzętami, mogła wyjaśnić, co było przyczyną tego szarpiącego nerwy ataku? Bo był pewien, że to atak, daleko subtelniejszy, ale i bardziej niszczący niż jakakolwiek napaść fizyczna.

Po omacku, jak niewidomy w nieznaną okolicę, Hosteen starał się nawiązać kontakt z tym czymś. Czy to była jakaś inteligencja? A może urządzenie, którego zadaniem było odstraszenie intruzów?

Nagle coś... jakby obecność. Ziemianin był pewien, że nawiązał kontakt. Tak pewien, że zatrzymał się i obrócił pomału ku ciemności, skąd nadszedł sygnał. Czy reszta była tylko grą wyobraźni? Nie mógłby tego dowieść, ale wiedział, że było to jakieś pozazmysłowe spotkanie z kimś lub czymś, co niegdyś pozostawało w tak idealnej komunikacji z budowniczymi podziemnego labiryntu, jak ta, która łączyła jego z drużyną.

Starając się utrzymać ten kontakt, jednocześnie przekazywał nieznanemu stworzeniu pragnienie spotkania. Ale krucha nić urwała się tak samo nagle, jak została nawiązana.

Zamiast niej napłynęła fala gniewu przebudzonego strażnika, a może walczącego o przetrwanie niedobitka? Atak, zarówno psychiczny, jak i emocjonalny, był tak silny, że gdyby trwał dłużej, załamałby obu ludzi.

Cienie szalały teraz, skręcały się, pełzały i skradały ku nim. W świetle latarki każdy z nich rozwiewał się w nicłość, ale na jego miejsce pojawiały się dwa nowe. Logan krzyknął ochryple i zaczął ciskać przed siebie kamienie i garści ziemi, ale cienie otaczały ich i było ich coraz więcej.

Była to furia, jakby sam trójoki potwór biegał niespokojnie w tę i z powrotem wzdłuż jakiejś niewidzialnej bariery nie do pokonania, gotów rzucić się na przybyszów. Czując to, Hosteen nakazał:

- Nie ruszaj się!

Logan zastygł, z jedną ręką uniesioną do rzutu.

- Idziemy dalej...

Hosteen, posłuszny własnemu rozkazowi ruszył przed siebie zmuszając sztywne nogi do marszu. Tam... tam coś pełzło przez drogę, tuż przed nimi... gotowe... Na lewo... dwa... zbliżające się do nich. Byli otoczeni.

Logan włókł się obok. Pod wpływem światła przestrzeń pustoszała, ale intruzi czuli takie napięcie, że Hosteen nie był pewien, czy długo je wytrzymają.

Logan nagle obrócił się, niemal warcząc, w lewo, sięgnął do pasa i cisnął w ciemność jeden z granatów. Blask na chwilę ich oślepił.

A potem.... nic! Odpowiedzią na eksplozję był nagły wybuch energii w ich umysłach, a teraz... pusty obszar pod nocnym niebem, ani śladu życia. Wstrząśnięci, stali przez chwilę dysząc ciężko, a potem zaczęli biec. Zbliżali się znów do jakiejś góry, na którą mogliby się wspiąć przed wschodem słońca.

Droga zaczęła się pomału wznosić ponad poziom otaczającego gruntu. Kiedy Hosteen poświecił w dół, okazało się, że pokrywają ją czarna substancja używana przez Nieznanych.

Byli już wysoko w górze, gdy doszli do skraju. Droga kończyła się szerokim placem, którego wierzchołek dotykał skalnej ściany. Nie widać było ani rysy, ani ukrytych drzwi, ani żadnej innej ścieżki. Droga, która zajęła im tyle czasu, kończyła się tutaj.

- Myślisz, że to lądowisko śmigłowców? - spytał Logan, gdy po raz drugi obeszli plac. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, ręce oparł na kolanach.

- Co teraz? Wracamy?

Ziemianin w skrytości ducha wątpił, by udało się im wrócić przed świtem. Nie było to aż tak daleko, ale wyczerpała ich walka z cieniami. Zmęczenie fizyczne i psychiczne

powodowało, że wzdrygnął się na myśl o powrocie. A jednak, jeśli chcieli przeżyć, musieli zdążyć przed wschodem słońca.

Przykucnął i bez uświadomionej przyczyny zaczął omiatać powierzchnię placu światłem latarki. Nagle dostrzegł na niej wzór i poczuł przyływ świeżych sił. Na czarnej powierzchni widniała lśniąca, szklista, skręcająca się spiralnie linia. Rozpoczynała się w miejscu, gdzie droga przechodziła w trójkątną płaszczyznę i zwiјаła się stopniowo kończąc kołem, w którym mógł stanąć tylko jeden człowiek.

Nigdy później nie mógł wytłumaczyć, dlaczego to zrobił. Wynikało to chyba z dziwnego wpływu tego miejsca. Jedno, co wiedział, to to, że musi działać.

Wstąpił na spiralę i zaczął iść nią dokoła, aż do centrum, pilnując, by nie przekroczyć ograniczających linii. Jak przez watę słyszał natarczywe pytania Logana. Ale dźwięk i słowa nie były teraz ważne. Najważniejszą na świecie rzeczą było przejście tej drogi bez błędu. Nie było innego sposobu przekroczenia drzwi, które stanowiło centralne koło. "Drzwi?" - zdziwiła się jakaś część jego umysłu. "Jak? Dlaczego?". Uciszył pytania. Żeby przejść uważnie, nie wykraczając poza linię, całą spiralę, musiał być w pełni skoncentrowany. Szedł powoli, stawiając jedną stopę dokładnie przed drugą, balansując niby na górskiej grani. Tylko w ten sposób było to bezpieczne. "Bezpieczne?". To pytanie także stłumił.

Był już w kole, zwrócony twarzą w stronę, z której przyszli, ku ciemnym górcom, gdzie leżała jaskinia zagród i reszta posiadłości tajemniczych przybyszów. Stał i czekał. "Na co?" - wołał zdrowy rozsądek.

Ciemność. I uczucie wyzwolenia z ograniczeń czasu i przestrzeni. Znowu światło i następna droga, następna spirala, ta świecąca - miał ją przejść nie stopą, lecz siłą umysłu. I uczynił to - z tym samym skupieniem, co na trójkątnym placu. Był już na jej środku, a wokoło unosiła się świetlista mgła.

ROZDZIAŁ 13

Było tak, jakby się budził z głębokiego snu. Zwalczył oszołomienie i zdał sobie sprawę, że nie znajduje się już na placu pod rozgwieżdżonym niebem. Stał na bloku skalistej substancji, a wokół roztaczała się rdzawa poświata, której źródłem było chyba samo powietrze.

- Logan! - zawołał, chociaż wiedział, że odpowiedź nie nadejdzie. Był tu sam. Wiedział, że miejsce to jest czymś obcym, jakimś dziwnym wygnaniem.

Dzięki treningowi, jaki przeszedł, udało mu się pokonać panikę. Szedł drogą stworzoną przez obcych. Musiała mieć jakiś cel. Przywiodła go tutaj. Teraz musiał dowiedzieć się, gdzie było to "tutaj".

Zeskoczył z bloku i rozejrzał się. Był w bardzo małym, trójkątnym pomieszczeniu. W jego ścianach nie było okien ani drzwi. Przypuszczenie, że został uwięziony, znów obudziło strach. Spiralny szlak nie prowadził na zewnątrz, tylko do tego bloku, trzech ścian, sufitu i podłogi. Z tego, co widział, wszystkie były lite i solidne.

Ale poznanie nie kończy się na wzroku. Podszedł do najbliższej ściany i przeciągnął koniuszkami palców po jej śliskiej powierzchni. Była gładka jak szkło i ciepła, a oczekiwał chłodu kamienia.

Przeszedł tak wzdłuż ściany, aż palce trafiły na ostry róg pomieszczenia. Wtedy rozpoczął wędrówkę wzdłuż drugiej ściany. Dotarł do jej środka i poczuł, że powierzchnia nie jest tam gładka, choć zmiana była niewidoczna dla oczu. Znalazł trzy wgłębienia, nieco szersze niż jego palce. Przypominał sobie o zamkach używanych na wewnętrznych planetach, które zakodowane na odciski palców właścicieli otwierały się tylko pod wpływem dotknięcia ich dłoni. Jeśli był to zamek tego typu, nie miał szans. Palce czy wyrostki, na które był zaprogramowany, dawno rozsypały się w proch. A jednak wcisnął palce w zagłębienia z nadzieją, że coś się stanie.

Mrowienie zaczęło się w koniuszkach palców, rozszerzyło na grzbiet dłoni, nadgarstek, wreszcie przedramię. Mrowienie? A może ssanie? Szkliste zagłębienia wyciągały siłę z jego ścięgien i mięśni. Chwycił nadgarstek drugą dłonią, bo gdy chciał cofnąć palce, poczuł, że są przytrzymywane siłą, której nie jest w stanie pokonać.

Oparł się o ścianę i wykręcił lewą ręką nadgarstek prawej, usiłując oderwać ją od muru. Czuł, że siła wycieka z niego po kropli, wzdłuż każdej żyły i przez każdy por skóry trzech palców.

Wtedy ściana zadrżała, rozjaśniła się i rozsunęła od góry do dołu. W miejscu, gdzie dotykał jej ręką, rozstąpiła się tworząc szczelinę szerokości metra. Runął przez nią i czym prędzej wyczołgał się na zewnątrz. Wydostał się!

Logan! Logan został tam, na trójkątnej płaszczyźnie i czekał na słońce - płonący oddech Wielkiej Suszy. Logan! Czy uda mu się... czy potrafi przejść tę samą drogę?

Podniósł się chwiejnie, przyciskając prawe ramię do piersi. Ręka była zupełnie drętwą, blada, a jego wysiłki, by poruszyć palcami, spęzły na niczym. Wetknął ten zimny i ciężki kształt pod koszulę i gdy rozejrzał się dokoła, zaraz o nim zapomniał.

Zamiast przytłumionego, rdzawego światła wewnątrz klatki, w której był uwięziony, panowała tu złotawa poświata, jaką pamiętał z Groty Stu Ogrodów. Z nadzieją na następny taki widok pokuśtykał ku barierce stojącej o kilka metrów przed nim. Spojrzał w dół, lecz zamiast oczekiwanego ogrodu ujrzał obszerną halę pełną maszyn i urządzeń. Biegł od nich cichy szum i wibracja. Pracowały! Nigdzie jednak nie było widać obsługi. Ani ludzi, ani robotów.

- Włączyli i zostawili... będą tak pracować zawsze? - szepnął do siebie.

Po co?

Ruszył wzdłuż galerii szukając zejścia na dno hali. Była ona owalna, z wejściem w węższym końcu. Zdumiewała zarówno jej wielkość, jak i złożoność mieszczących się tu urządzeń.

Ziemianin przeszedł szkolenie o profilu psychobiologicznym. Po swych przodkach odziedziczył więź z naturą i jej siłami: to one były dla niego oparciem tak, jak dla ludzi rasy białej oparciem stała się z czasem technika. Na tym bazowała jego edukacja i w tym kierunku skłaniały się jego zainteresowania. Tak więc cechy zarówno wrodzone, jak i wykształcone uczyniły z niego człowieka, który traktował wszelką maszynierię nieufnie. Żeby być Mistrzem Zwierząt, trzeba było być antytechem.

Kiedy tak patrzył w dół, jego niechęć do maszyn zamieniała się we wstręt. Rozumiał tych, którzy stworzyli Grotę Ogrodów. Mógł pojąć motywy - choć nie przyznawał im racji - tych, którzy utrzymywali podziemną hodowlę tajemniczych zwierząt w grocie zagród. Zajmowali się przynajmniej żywymi stworzeniami. Ale obecność tych urządzeń wzniosła pomiędzy nim a ich twórcami mur nie do przebycia.

Niechęć nie stłumiła jednak zmysłu obserwacji. Zauważył, że pracowała zaledwie część maszyn. Przechodził wzdłuż całych sektorów, z których nie dobiegał charakterystyczny szum. Nagle ujrzał platformę.

Wznosiła się nie więcej niż pół metra ponad podłogę hali i przylegała do wielkiej, sięgającej niemal balkonu, tablicy, która była pokryta płataniną linii i rur tworzących niezrozumiały wzór. Jedna z nich zataczała nieregularne koło i świeciła. Pulsowała tym samym lawendowym kolorem, jaki odróżniał niebo Arzoru od utraconego nieba Ziemi.

Obok biegły dwie, także kolorowe, linie. Jedna, złocistożółta, zaczynała się prostym słupem u dołu tablicy, dochodziła do połowy jej wysokości i tam gasła, choć sama rura biegła

wyżej dzieląc się na wiele gałęzi. Ta pulsowała szybciej. Trzecia... Widok trzeciej przykuł jego uwagę.

Była to spirala, kończąca się jasnym punktem. Świeciła coraz jaśniej, aż w końcu nie mógł znieść jej blasku. Światło wędrowało wzdłuż spirali, aż dotarło do punktu, gdzie przez chwilę rozbłysło jeszcze mocniej. Potem cały wzór zgasł i niczym nie różnił się od setek innych linii. Nie zmyliło to jednak Hosteena. Widział światło tak jasne, jak słońce w porze Wielkiej Suszy.

Zawrócił i zaczął biec w stronę trójkątnego pomieszczenia, w którym był przedtem.

Logan! Lśniaca spirala mogła znaczyć, że Logan poszedł w jego ślady! Mógł już tu być!

Ziemianin pędził tak, że wpadł na znów zamkniętą ścianę tajemniczej klatki z takim impetem, z jakim wpadł na ścianę jaskini, wrzucony tam przez Norbisów na początku tej przygody.

- Logan! - krzyknął.

Przestrzeń hali wchłonęła głos bez echa. Uderzył w ścianę zdrową pięścią i wyciągnąwszy, ciągle drętwą, prawą dłoń zza koszuli, usiłował wyczuć nią jakieś zagłębienie po tej stronie.

Dziury na palce. Znalazła je lewa ręka. Zawahał się - jeśli i ona zdrtwieje, będzie bezbronny. Ale Logan... trzeba go wydostać z pustynnej pułapki. Wzdragał się przed tym, ale wepchnął trzy palce w zagłębienia. Czekał na mrowienie... i ssanie.

Tym razem odpowiedź nadeszła szybciej, jak gdyby nie używany od dawna zamek rozruszał się. Ściana rozstąpiła się. Hosteen zajrzał do środka. Nie było tam nikogo. Był tak pewien, że zobaczy Logana, że przez chwilę nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

- Logan!

I znowu, chociaż krzyknął z całych sił, jego głos zmieniony, spłaszczony, rozplynał się w wypełniającym halę powietrzu.

Przerwa w murze już się zamykała. Niepewnie podniósł do czoła prawą rękę. Teraz nieufność, niechęć do maszyn, których nie rozumiał, płonęła w nim jasnym płomieniem, rozgrzewającym nawet zimne, zbielałe palce. Z najwyższym wysiłkiem zacisnął je czując, jak paznokcie drapią skórę czoła.

Spirala na tablicy... Była ona miniaturą wzoru zdobiącego trójkątny plac, ścieżki, która przywiodła go tutaj. Był pewny, że jej blask oznaczał, iż użyto tej - albo takiej samej - ścieżki. Więc... może sekret krył się w tablicy!

Zostawiwszy trójkątne pomieszczenie - znów szczelnie zamknięte - Hosteen ruszył balkonem w drugą stronę, szukając zejścia w dół. W końcu znalazł je - nie rzucające się w oczy schodki wycięte w ścianie hali. Chwycił poręcz, czując z radością, że odretwienie mija, choć nadal ręka ciążyła mu jak ołów.

Zszedł i skierował się ku platformie. Większość maszyn chroniła masywne obudowy górujące nad nim wysokością.

Nie było tu żadnego pyłka, niczego, co wskazywałoby na to, że hala ta powstała przed wiekami i że przez wieki była opuszczona. A jednak nie miał wątpliwości, iż stanowiła ona część cywilizacji Zamkniętych Grot.

Był już niedaleko, gdy nagle zatrzymał się. Od strony platformy dobiegł nasilający się pomruk. Na tablicy rozbłysnął następny wzór, najpierw błękitny, potem biały, coraz jaśniejszy. Hosteei zakrył oczy. Kiedy je znów otworzył, na platformie, przodem do tablicy stał człowiek!

- Logan!

Usta ułożyły się do krzyku. Na szczęście nie wydostał się z nich żaden dźwięk, bo mężczyzna nie był Loganem. Był wyższy i nie nosił stroju Norbisa, lecz zielony kombinezon, który Hosteen znal. Był to mundur Centrum, który on sam musiał nosić przez rok swego pobytu w Rehabie. To tam bezdomnych Ziemiaków poddawano obserwacji i albo kwalifikowano do osadnictwa, albo kierowano na psychowarunkowanie. Hosteen przesunął się pomału wzdłuż obudowy urządzenia.

Kiedy rakieta ratunkowa roztrzaskała się na zboczu, byli w niej ludzie z Rehabu. Czy to mógł być jeden z rozbitków, jak on i Logan wtrącony do labiryntu? Ale nie zachowywał się jak człowiek zagubiony. Poruszał się pewnie, niczym zawodowy tech na służbie.

Przyglądał się splątanym na tablicy rurom. Potem odwrócił się, ukazując Hosteenowi swój profil.

Rysy miał ludzkie, ale pomalowany był jak norbiski czarownik: wokół oczu czerwone pierścienie, skomplikowany rysunek na policzkach, zupełnie jak u widzianych przez Storma wojowników z Błękitnej. Na szyi zawiesił sobie mały bębenek. Przybysz, który zdobiąc twarz jak barbarzyński czarownik, potrafił jednocześnie obsługiwać skomplikowane maszyny pozostawione przez zaginioną cywilizację!

Obcy wyciągnął ręce, a następnie przesunął je starannie odmierzoną ruchem wzdłuż linii małych gałek. Nie dotknął żadnej, przesunął tylko nad nimi otwartą dłoń.

Tablica odpowiedziała. Linia żółtego światła, która pulsowała w pionowej rurze, przedarła się przez barierę - cokolwiek ją stanowiło - i pomknęła w górę tuzinami włókien

rozgałęziających się i znów łączących, aż rozświetlona całość wyglądała jak szkielet bezlistnego drzewa. Jaskrawe światło dotarło do szczytu tablicy. Hosteen poczuł, że wokół zbiera się jakaś energia, potęga, która czeka na uwolnienie.

Z daleka dobiegł go przerażająco głośny huk gromu, a za nim seria ech. Hosteen przyłgął do maszyny.

Zamknął oczy i zdało mu się, że znalazł się w samym sercu szalejącej burzy. Czuł, jak wściekły bicz błyskawicy przecina czarne niebo pokryte chmurami tak ciężkimi, jak skały, nad którymi zawisły. A coś małego i słabego jak on, człowiek, może jedynie szukać schronienia przed żywiołami, wobec których był niczym.

Ale gdy otworzył oczy, ujrzał tylko mężczyznę w wyblakłym kombinezonie, obserwującego pulsowanie światła w przezroczystej rurze. Obcy znów przesunął dłoń na gałkami. Drzewo zaczęło obumierać, żółć - kurczyć się, uciekać wzdłuż włókien, pozostawiając puste rury. Znów wypełniała tylko pionowy pień, z którego przedtem wyrosły gałęzie.

Burza minęła. Ale nieznajomy był ciągle zajęty. Przeszedł wzdłuż tablicy, zatrzymując się od czasu do czasu na dłuższą chwilę i przyglądając się poszczególnym elementom spletanego wzoru. Raz czy drugi pomagał sobie palcem śledząc którąś z pętli. Być może, nie znał jeszcze ich działania.

W końcu podszedł do bliższego Ziemianinowi końca platformy i stanął na małym podium. Na prawo od niego znajdował się kolejny rząd gałek. Trzymając ręce jakieś pół metra przed nimi, mężczyzna uderzył dłońią o dłoń, jak gdyby oklaskując triumf. Wtedy...

Hosteen zrobił krok do przodu. Podium było puste. Człowiek, który stał tam przed chwilą, zniknął jak duch. To było jak czary, o których kiedyś, na Ziemi, opowiadał mu dziadek.

Zmusił się do wejścia na platformę, podszedł do podium. Nie było w nim żadnej szczeliny, niczego, którego można by się było wydostać. To urządzenie budziło w nim wstręt, jak zresztą wszystkie zgromadzone wokół maszyny. A jednak, podobnie jak wcześniej, gdy coś zmusiło go do przejścia spiralną ścieżką, teraz jego ręce poruszyły się wbrew woli. Powtórzył gest obcego, dłoń lekko klasnęła o dłoń.

Znów zawrót głowy i uczucie, że jest w jakiejś dziwnej, pozbawionej wymiarów, przestrzeni. A jednocześnie błysk triumfu: tajemne sztuki dawnej rasy służyły śmiałkowi.

Usłyszał nagle przed sobą szmer głosów. Opadł na czworaki i w tej pozycji, ostrożnie, ruszył w dalszą drogę. Zobaczył światło dnia - to już chyba poranek? Nie było jednak tego potwornego blasku, który panował w dolinie trójkątnego placu i poza Błękitną.

Czy jakieś wynalazki mieszkańców Zamkniętych Grot rzeczywiście mogły chronić tę niedostępną krainę przed ognistym słońcem Suszy? Czy ich wiedza, która zaowocowała systemem podziemnych przejść i jaskiń, mogła też umożliwić kontrolę klimatu na otwartej przestrzeni? Ale nie było czasu na rozważania.

Leżał na brzuchu nieopodal wyjścia z tunelu. Zaczął pełznąć powoli w jego kierunku i ukrył się za ograniczającą je skałą.

Norbisowie zebrali się w dole, nie w regularnych rzędach, ale tworzyli niewielkie grupki pod przewodnictwem swych wodzów i czarowników dzierżących drzewca pokoju. Takie spotkanie plemion i szczepów zdumiałoby każdego osadnika. Stały obok siebie rody, które prowadziły ze sobą wojny na długo przed wylądowaniem na Arzorze pierwszego statku badawczego. Siła magii, która wprowadziła rozejm między tradycyjnie nienawidzącymi się szczepami, musiała być rzeczywiście wielka.

Shosonna, Nitra, Warpt, Ranagowie z południa, nawet Gousakla, którzy zamieszkiwali wybrzeża, więc żeby tu przybyć musieli przejść tysiące mil w najgorszych dla wędrówek czasie. Były tu też totemy plemion i szczepów, jakich Hosteen nigdy nie widział i o jakich nie słyszał.

Storm naliczył ponad sto różnych drzewców, a wiedział, że nie wychylając się ze schronienia, nie jest w stanie zobaczyć wszystkich. Musieli zebrać się tu przedstawiciele każdego szczepu z całego kontynentu.

Pomruk bębenków, w które uderzali czarownicy, zlewał się w jeden, zniewalający rytm. Szczupłe, żółtawe ciała kołysały się do przodu i do tyłu, ale Norbisowie stali wciąż w miejscu. Doleciał go swąd spalenizny, dostrzegł ślady, gdzie niedawno musiały uderzyć ogniste bicze.

Łoskot bębnów narastał. I nagle zapadła cisza. W tej ciszy rozległo się znów cichutkie bębnienie, niby szum deszczu po burzy. W dole, w pewnej odległości od Hosteena ukazał się człowiek z hali maszyn. To jego palce uderzały w bębenek wydobywając zeń ten delikatny dźwięk. Podjął go pierwszy, za nim następny i reszta spośród czarowników.

ROZDZIAŁ 14

Przybysz wyrzucił ręce do góry ponad głowę, która w świetle słońca lśniła rudozłoto, jak płomień.

Zaczął mówić, nie używając jednak języka migowego. Popłynęły ptasio świergotliwe dźwięki, co do których autorytety naukowe były zgodne, że nie mogą wyjść z ludzkiego gardła. Przemawiał do Norbisów w ich własnym języku.

Przerwał i po chwili rozległy się przenikliwe okrzyki. Drzewca poleciały w górę, a plemienne proporce wirowały szaleńczo w powietrzu.

Hosteen zacisnął usta. W kamiennej twarzy żywe były tylko oczy, czujne oczy człowieka stojącego w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Wyglądało to zawsze tak samo: na każdym świecie, u każdej rasy i każdego gatunku. Mówca panował nad Norbisami dzięki magicznej sile swoich słów. Wzywał ich do czynu! Ich wielkie czary działały! Niebezpieczeństwo, które Quade i Kelson przeczuwali na równinach, tu widać było jak na dłoni. Tylko do czego zmierzał obcy?

Torturą było to, że nie potrafił zrozumieć nic, wyczuwał jedynie nastrój przemowy. Ale nie miał wątpliwości, że człowiek w mundurze przybysza, z twarzą pomalowaną jak Norbis, posługując się czymś, co można było nazwać czarami, odurzył umysły tubylców do tego stopnia, że mógł ich teraz nakłonić do działania, choćby sprzecznego z rozsądkiem.

- Ani 'iihii - wycedził Hosteen.

“Czarnoksiężnik” to było właściwe określenie tego, który przez słowa sprowadzał klęskę i śmierć, podobnie, jak kiedyś, na Ziemi, czarownice sprowadzały śmierć na człowieka przez ceremonialny pogrzeb kosmyka j jego włosów.

Bębny odpowiedziały rytmem, od którego w Hosteenie zawrzała krew. Tak właśnie ileś pokoleń wstecz, na drugim krańcu galaktyki, ludzie jego rasy bębnil i tańczyli przed wyprawą. To były przygotowania do wojny.

Patrząc na to zgromadzenie wszystkich szczepów nie można było mieć złudzeń co do tego, kogo uważają za wroga. Rozrzucone posiadłości osadników, odległe od siebie o dziesiątki mil, stanowiły idealny cel dla wojny podjazdowej. Norbisowie byli wojownikami z tradycji i wychowania, nie trzeba było wiele, by utworzyć z nich sprawne oddziały partyzanckie, które zmiotłyby osadników z powierzchni Arzoru, zanim ci zdaliby sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

O tej porze roku sprzyjała tubylcom nawet pogoda. Dzięki troskliwie strzeżonym tajemnym źródłom, ich oddziały byłyby znacznie bardziej mobilne od jakiegokolwiek Patrolu wezwanego przez osadników.

Hosteen przetarł twarz dłonią. Koszmary przeszłości ciągnęły się za ludzkością przez wieki. Brał udział w wojnie, która objęła nie tylko planety, ale systemy słoneczne, i widział, jak wymazywała z map narody i całe światy. Tak, można było wezwać Patrol dla położenia kresu wojnie podjazdowej. Ale taka akcja oznaczałaby kres planety Arzor takiej, jaką znał.

Bęben uderzył po raz ostatni. Mówca zawrócił do tunelu, a Norbisowie odchodzili w dolinę. Do wioski? Zbroić się? Planować wojnę? Dlaczego? Z ich świergotu Hosteen nie potrafił odczytać odpowiedzi.

Wyciągnął granat. Obcy zbliżał się do wejścia. Storm czekał na jakieś wyzwanie, sygnał do ataku, ale tamten szedł sztywnym krokiem patrząc wprost przed siebie szeroko otwartymi oczami. Jeżeli swoją mową rzucił jakiś czar na Norbisów, to sam też mu uległ. Nie patrząc na boki wszedł do tunelu.

To była góra, na której wylądowała rakieta ratunkowa. Patrząc na wycofujących się tubylców Hosteen intensywnie myślał. Rakieta ratunkowa...i ta historia Widdersa o słabych sygnałach odebranych przez komy w punktach łącznościowych. Załóżmy, że nadajnik statku wciąż działa - można by wysłać ostrzeżenie dla równin! Będą go pewnie ścigać...ale stawka była warta gry. Surra - Baku - Gorgol. Żadnego z nich nie przyprowadzono do wioski w czasie jego obecności. Czy byli wolni?

Jeszcze raz nadał bezgłośny sygnał zwołujący drużynę. Próbował wychwycić jakiś ślad energii psychicznej, nawiązać więź, dzięki której człowiek, kot i orzeł staliby się znów zespołem o możliwościach nie znanych na Arzorze pomimo wszystkich ukrytych tajemnic tej planety.

- Baku! - myśl, wirując jak lasso pomknęła w przestworza ku mózgowi ukrytemu za parą bystrych oczu. Odpowiedzi nie było.

- Surra - opuścił powietrze i teraz przeszukiwał powierzchnię ziemi w nadziei na kontakt z miękkoląpym stworzeniem. - Surra!

Gdy już stracił nadzieję, nadeszła odpowiedź, ostra jak pchnięcie sztyletem.

- Gdzie?

Złożył usta do szeptu, a pytanie popłynęło po wątlej nici łączących ich myśli.

Wrażenie ciemności...skalne korytarze. Kot musiał być gdzieś we wnętrzu góry. Tak, był tam, a teraz leżał w oczekiwaniu jakiejś żywej istoty poruszającej się w jego kierunku. Mówca?

Zniknęło przygnębienie, które ogarniało Hosteena jeszcze chwilę wcześniej. Ożywił wciąż słabnący kontakt psychiczny tak, jak przedtem przywracał czucie w zdrętwiałych palcach. Surra była istotną częścią jego samego. Bez niej złożony organizm, jaki stanowiła drużyna, był okaleczony jak człowiek pozbawiony jakiegoś ważnego narządu zmysłu. A z natężenia jej odpowiedzi czuł, że ona była bez niego tak samo kaleka.

- Ten, który nadchodzi - nadał rozkaz. - Siedz, ale nie atakuj. Zostań w kontakcie.

Surra będzie pilnować obcego, więc on może zająć się rakieta. Wyśliznął się na zewnątrz i zaczął posuwać się w dół, wykorzystując do osłony każdy załomek terenu.

Znowu bębny, w oddali - pewnie w wiosce. Po sprężystych gałęziach krzewów opuścił się na polanę, nad którą unosił się mdły zapach rozkładu. Ofiary nadal leżały wokół statku. Wyjście ewakuacyjne na szczycie było zamknięte. Czy w ogóle się otworzyło? Może na pokładzie oczekiwała go martwa załoga? Ten obcy z hali maszyn świadczył jednak, że ktoś się musiał uratować.

Hosteen wspiął się na młode drzewko, które ugiąwszy się pod ciężarem, przeniosło go w pobliże ogona. Uderzył dłonią w przycisk wjazdu i czekał w napięciu.

Powoli, ze zgrzytem kłapa się uniosła. Dotarł do drzwi i otworzył je. Lęk okazał się zbyteczny, rakietka była pusta. Wnętrze takiego stateczku było dość ciasne. Znał rozmieszczenie elementów z okresu szkoleń w Służbie.

Przepchnął się między dwoma rzędami koi startowych i dotarł do dziobu, gdzie znalazł ręczny i automatyczny ster i nadajnik.

Kiedy otworzył właz, zapaliły się boczne światła, co świadczyło, że instalacja nie jest uszkodzona. Przykucnął przed komem. Nacisnął przełącznik i usłyszał cichy szum pracującego aparatu. Pośpiesznie nadał wiadomość, którą ułożył po drodze.

Sygnaly lądującej rakietki odebrały rejestratory w dwóch punktach łącznościowych kilka miesięcy temu. Nie wiadano o nich tak długo, gdyż punkty te rzadko odwiedzano. Ale teraz Quade i Kelson z pewnością prowadzą ścisły nasłuch sygnałów z Błękitnej. Dwukrotnie nadał informację nagrywając ją na samopowtarzalną taśmę. Będzie się odtwarzać dziesięciokrotnie w ciągu godziny, dopóki ktoś jej nie wyłączy. A temu miał zamiar zapobiec.

Nastawił urządzenie, po czym zamknął grodz oddzielającą część dziobową! rozpoczął przeszukiwanie reszty statku w nadziei, że znajdzie jakąś broń. Ale magazyny były otwarte i puste. Nie zostało nic poza piankowymi pledami na kojach.

Stał właśnie przed wyjściem ewakuacyjnym, gotów do opuszczenia rakietki, gdy zaskoczył go huk gromu. Błyskawicznie uderzył w przycisk zamykający właz - refleks uratował mu życie.

Znowu grzmot, tym razem jakby odległy, wyciszony ścianami statku. Rakieta zadrżała pod ciosem. Hosteen wdrapał się na miejsce pilota i włączył ekran. Ujrzał morze ognia. Płomienie, biczące przedtem zbocze góry, tym razem dosięgły statku, który trząsł się i chwiały pod ich uderzeniami.

Czy wytrzyma to izolacja przewidziana dla lotów w przestrzeni kosmicznej? Siła ataku była tak wielka, że obracała rakieta i mogła zepchnąć ją w dół. Czy to nadajnik obudził czujność człowieka z wnętrza góry, czy wiadomość odebrało któreś z urzędów tajemniczej cywilizacji? Hosteen był pewien, że ataku dokonano przy użyciu broni należącej do mieszkańców Zamkniętych Grot.

- Surra!

Łapiąc z trudem równowagę w dygoczącej kabinie, Storm starał się nawiązać z kotem kontakt. Ale napotkał nieprzeniknioną barierę - taką jak w noc uwięzienia w norbijskiej wiosce. Być może, to ogień przerywał łączność. Było to rozsądne, jeśli nie uspokajające wyjaśnienie.

Rakieta przechyliła się, a Hosteen chwycił jeden ze wsporników podtrzymujących najbliższą koję. Na ekranie ujrzał, że płomienie otaczają statek ze wszystkich stron. Jedyłą ochroną były ściany.

Położył się na koi i zapiął pasy. Gdyby nawałnica zepchnęła go w przepaść, miałby choć takie zabezpieczenie. Dziób rakiety pochylił się jeszcze bardziej a, w miarę jak statek ześlizgując się po zboczu nabierał szybkości, jego ściany drżały coraz mocniej. Nagle rozległ się przeraźliwy łoskot - trafił w jakąś przeszkodę. Ekran zgasł. A kom? Nie sądził, żeby przetrwał to zderzenie. Ile razy mógł nadać wiadomość? Czy choć jeden pełny przekaz dotarł poza Szczyty?

Hosteen, mokry od potu, leżał na koi. Światło w kabinie to przygasało, to rozbłyskiwało na nowo. Rakieta stała teraz prawie pionowo. Czy gdy się poruszy, nie zepchnie jej w kolejny ślizg?

Uwolnił się z pasów i ostrożnie, cały czas trzymając się wspornika opuścił stopy. Pochyła podłoga nie poruszyła się. Dotarł na czworaka do przedziału pilota - panował tam zupełny chaos. Kom milczał. No cóż, jeśli celem ataku było uciszenie nadajnika, w tej potyczce wróg zwyciężył. Co nie znaczyło, że ma wygrać wojnę.

Bez ekranu Hosteen był ślepy. Czy wokół statku nadal szalały płomienie? Ponownie wśliznął się na koję i opierając czoło na zgiętym ramieniu jeszcze raz spróbował nawiązać kontakt z Surrą.

- Tutaj... - do jego mózgu dotarła wiadomość, której Surra nie potrafiła wypowiedzieć.

- Człowiek?

- Tutaj...

Czy było to powtórzenie pierwszej odpowiedzi, czy też zapewniała, że wciąż obserwuje swój cel?

- W górze?

- Tak...

- Więc zostań... śledź... - rozkazał.

To, że myślą dosięgną! kota, mogło znaczyć, iż ogień ustał. Trzeba było akrobatycznych zdolności, by dotrzeć teraz do włazu. Pierwsza próba otwarcia klapy zakończyła się niepowodzeniem i Hosteen poczuł mroźny dreszcz na grzbiecie. Czy płomienie zatopiły właz? Zaczął wściekle walić pięścią i wreszcie, z oporem wejście otworzyło się. Błękitna chmura dymu buchnęła mu w twarz drażniąc oczy i powodując atak kaszlu. Dopiero po chwili usunął ją filtr powietrza.

Dym, żar, ale nie płomienie. Zawrócił do koi, by zerwać z nich pokrycia z pianki. Wymościł nią brzeg włazu i rozgrzaną skorupę rakiety, a resztę zabrał ze sobą i wdrapał się na górę.

Ściany statku nosiły ślady działania ognia. Teren wokół był wypalony, a powyżej tliły się jeszcze małe płomyczki.

Szybko owinał płaty pianki wokół nóg aż do kolan, a pozostałymi skrawkami zabezpieczył dłonie i ramiona. Grube sztuczne włókno było dobrym izolatorem cieplnym.

Wdrapał się na ogon rakiety, skąd przeskoczył na osmaloną skałę i zaczął wspinać się ku wejściu do tunelu.

W jaskiniach Surra będzie jego oczami, częścią jego samego. Będzie mógł pójść za obcym, może znajdzie Logana. Logan!

Zrobił, co mógł, by ostrzec równiny. Osadnicy będą musieli jakoś sobie radzić - on był teraz w oku cyklonu. Bęben...

Nieruchomo, ze zwierzęcą czujnością Ziemianin obserwował postać, która wynurzyła się z oszczędzonego przez ogień zagajnika.

Szata rozwiana jak skrzydła ptaka - Bębniący! A Hosteen nie miał ani noża, ani emitera, tylko gołe ręce...

Tamten nie miał więcej. Zgodnie z tradycją, Norbis, polegając na chroniącej go mocy, był nie uzbrojony. Żaden tubylec, nawet wrogiemu szczepu, nie podniósłby ręki na Bębniącego. Zemsta sił magicznych byłaby szybka, pewna i przerażająca.

Jeśli ten pokładał ufność w tradycji, czekało go brutalne rozczarowanie. Hosteen musiał dosięgnąć i uciszyć bębenek, który niósł czarownik, zanim ten wezwie nim wojowników.

Ziemianin stęzał, szykując się do skoku. Chwycił jakąś nadpaloną gałąź, poruszał się pewnie i szybko.

Bębniący nie zmienił rytmu, w jakim uderzał. Hosteen nie rozumiał znaczenia dźwięków, ale zawahał się. Oczekiwał raczej alarmu, gdy zostanie dostrzeżony, a słyszał delikatne uderzenia -jak gdyby witające go przyjaźnie. Zamiast rzucić się do przodu, stawiał uczciwie czoła wrogowi.

- Ukurti!

Palce uniosły się znad bębna i poruszyły mówiąc:

- Dokąd idziesz?

Prosto z mostu. Hosteen zdał skrawki owijające ręce, by uwolnić palce.

- Do wnętrza góry.

Nie odważyłby się używać wykrętów. Ten Bębniący miał prawdziwą moc, nic z wyśmiewanych przez przybyszów szamanów.

- Już raz tam byłeś.

- Byłem - przyznał Hosteen - i idę znowu, bo wewnątrz tej góry kroczy zło.

- Jest tak.

Potwierdzenie zaskoczyło Hosteena.

- Tak mówi ten, który bębni dla totemu Zamla?

- Ten, który bębni, głosi prawdę, inaczej moc go opuszcza. We wnętrzu gór jest ktoś, kto mówi, że jego bębnowi odpowiadają grzmoty, a błyskawice są mu posłuszne.

- Było to słyszać i było to widzieć - odrzekł Hosteen.

- To prawda, ogień odpowiedział. I dlatego wojownicy mocują groty do strzał wojennych i śpiewają pieśni o trofeach, które zawisną w domu Gromów.

- A to nie jest dobre.

- To nie jest dobre!

Ukurti wysunął głowę do przodu, a jego oczy błyszczały teraz jak oczy Baku wypatrującego zdobyczy.

- Ten, który nosi imię Ukurti, był w miejscu, gdzie lądują statki z nieba, i widział moc tych, którzy latają między gwiazdami. Oni także ciskają pioruny, ale nie te zrodzone z prawdziwych potęg Arzoru.

Obuta stopa tupnęła w ziemię wzbijając obłoczek popiołu.

- Przed nimi byli inni kroczący po takich ścieżkach, nawet tu, na Arzorze. Przybysze mają swoją moc, my mamy swoją. To stary szlak, teraz znów otwarty. Czyha na nim dużo pułapek na nieostrożnych i na tych, którzy chcą wierzyć, bo służy to ich fałszywym marzeniom. Ja, który w tym życiu noszę imię Ukurtiego, i który mam prawo przemawiać głosem mocy, powiadam, że nic dobrego nie przyjdzie z rozlewu krwi tych, z którymi dzieliliśmy wodę, polowaliśmy, jedli mięso i którzy gościli nas w swoich namiotach.

- A ten, co ciska pioruny, powiada, że rozlew krwi jest dobry? Że trzeba wycelować wojenne strzały w moich braci?

- Jest tak.

- Ale z jakiego powodu domaga się krwi?

- Aby jego moc mogła jeść i rosnąć w siłę, obdarowując szczerze tych, którzy jej służą.

- Ale jego moc nie jest mocą, której ty służysz?

- Jest tak. To zła rzecz. Teraz ja powiadam tobie, w którym spoczywa moc z innego świata: idź do tego człowieka, który pochodzi z twojego rodzaju. Idź i niech twoja moc go pokona.

- I nie wyślesz za mną pościgu?

- Nie. Ponad nami jest drzewce pokoju. Polecono mi, bym ułatwił ci drogę... trochę...

- Wiedziałeś, że tu jestem? Czekaleś na mnie?

- Wiedziałem. Ale nikt nie tłumaczy działania czarów. To sprawa mojej mocy.

- Wybacz, Bębniący. Nie pytam o rzeczy tajemne.

Palce wyraziły skruchę Hosteena.

- Ale teraz pójdziesz sam - ciągnął Ukurti.

- Czy wszystkie plemiona wstąpiły na ścieżkę wojenną? - odważył się zapytać Storm?

- Nie wszystkie - jak dotąd. - Bębniący nie rozwijał odpowiedzi.

- I muszę dokonać tego sam?

- Sam.

- A więc, Bębniący, proszę o dar szczęścia, zanim wyruszę.

Była to zwyczajowa prośba wojowników norbiskich wyruszających z obozu. Czekał. Czy życzliwość tamtego jest na tyle duża, by wezwać własną potęgę na pomoc przybyszowi,

czy też czarownik będzie się tylko trzymał na uboczu, zostawiając Hosteenowi wolną rękę? Różnica mogła znaczyć bardzo wiele.

ROZDZIAŁ 15

Wietrzyk wzbijał popiół, chłodził ziemię, rozwiewał dym i swąd spalenizny, igrając z brzegami pierzastej opończy Bębniącego. Ukurti wpatrywał się w trzymany w rękach bębenek, jak gdyby z jego powierzchni chciał coś wyczytać. Przemówił wybijając jednocześnie krótki, gwałtowny rytm. Choć nie rozumiał słów, z ich rytmu Hosteen odczytał, że było to błogosławieństwo... albo klątwa. Ręce uniosły się znad bębna i Ukurti poruszył palcami.

- Idź w mocy ty, który znasz pieśni wiatru, szept wznoszących roślin, myśli zwierząt i ptaków. Idź w mocy. Uczyń to, co musi się dokonać. Strzała wojny waży się na czubku palca. Rzecz wątła, jak ten wietrzyk, może zniszczyć cały świat.

To było więcej niż oczekiwał Hosteen. Nie błogosławieństwo i życzenia dla wojownika wyruszającego na niebezpieczną wyprawę, ale obietnica złożona przez jednego czarownika drugiemu, moc dodana do mocy.

W odpowiedzi pozdrowił Ukurtiego wzniesionymi dłońmi, jak równy równego, odwrócił się i ruszył w stronę tunelu.

Spieszył się, ale nadal był ostrożny. Ukurti nie wspominał o innych tubylcach, ale nie było powodu, dla którego pozostali Bębniący czy wojownicy nie mieliby się znaleźć w okolicy rakiety.

Dotarł do wejścia bez przeszkód i tu odebrał sygnał Surry. Obcy spieszył się do wyjścia. Czy chciał ujrzeć efekty swojego ataku?

Ziemianin miał granaty, ale martwy wróg niczego by nie powiedział, a mógłby się stać dla tubylców męczennikiem i sprowokować ich do walki z osadnikami. Potrzebny był mu jeniec, nie zwłoki. Tylko, że...

Miał wrażenie jakby nagle wpadł na niewidzialny mur. Nie był to ból, jak przy przekraczaniu dźwiękowej bariery, tylko niemożność poruszenia się. Wszystkie mięśnie w jednej chwili zastygły, czyniąc Hosteena kompletnie bezradnym. Niewidzialne pęta trzymały go, a wróg nadchodził.

Ciało było bezsilne, ale umysł nie. Wydał rozkaz Surrze. Jak daleko byli: człowiek biegnący, by obejrzeć swą zdobycz, i niewidoczny dla niego kot, deptający mu po piętach?

Usłyszał głosy tubylców. Nie podejrzewał czarownika o zdradę - gdyby swoją obietnicę złożył w złej wierze, jego moc obróciłaby się przeciw niemu. Nie, ta pułapka nie była dziełem Ukurtiego.

Surra... i Baku. Musi jeszcze raz spróbować wezwać orła. Kot i ptak to jedyna obrona, jaka mu pozostała. Ptak... bez odpowiedzi.

Obcy wynurzył się z tunelu. Był wyższy od Storma, jego skóra prześwitywała białawo spod farby, a włosy były jasnorude. Oddychał ciężko. Rękami obejmował kulę, na którą Hosteen spojrzął z lękiem. Wyglądała na granat. I te oczy. W Centrum Rehabilitacyjnym widział wiele takich oczu. Zbyt wiele. Oddziały Ziemi, którzy po powrocie z misji odkryli, że ich rodziny, domy, cały świat zniknęły, przepadły... to były ich oczy. Ci ludzie tracili zmysły i obracali swoją broń przeciw personelowi bazy, przeciw swoim towarzyszom, w końcu przeciw sobie samym. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Rzucił rozkazującym tonem:

- Nazwisko, stopień, numer seryjny, planeta!

Oczy tamtego błysnęły, usta poruszyły się bezgłośnie, po czym przemówił:

- Farver Dean, tech trzeciego stopnia, Eu 790, Cosmos - odparł w języku galaktycznym.

Tech trzeciego stopnia, siedemsetny któryś - nie tylko kwalifikowany naukowiec, ale geniusz! Nic dziwnego, że poradził sobie z sekretami Zamkniętych.

Dean postąpił krok naprzód, przyglądając się Hosteenowi. Farba pokrywająca twarz kryła jej wyraz, ale cała postawa wyrażała zaskoczenie.

- Kim jesteś? - spytał.

- Hosteen Storm, Mistrz Zwierząt, AM 25, Ziemia.

Hosteen użył tego samego schematu.

- Mistrz Zwierząt - powtórzył tamten - ach, z tych psychoantrów?

- Tak.

- Nic tu po tobie. - Dean wolno potrząsnął głową. - To sprawa dla techa, nie dla "zielonych".

"Zieloni" - szyderczy termin podkreślający przepaść między dwiema gałęziami służb specjalnych. Jeśli Dean był tak wrogo nastawiony, a do tego niezrównoważony umysłowo... Hosteen z trudem opanował wzburzenie. Tech przynajmniej rozmawiał, a to czyniło jakąś drastyczną akcję mniej prawdopodobną.

- Nie mieliśmy żadnych poleceń odnoszących się do ciebie - stwierdził.

Jeśli Dean sądził, że Hosteen zjawił się tu służbowo, tym lepiej.

Ale w jaki sposób tech go obezwładnił? Za pomocą kuli, którą trzymał przy piersi? Jeśli tak, szansę Hosteena były większe, niż gdyby jego niewidzialne więzy kontrolowało jakieś urządzenie w głębi góry. Dean wzruszył ramionami.

- To mnie nie obchodzi. Będziesz musiał stąd spływać, to sprawa dla techa.

Zachowywał się zbyt swobodnie. Jak już kilka razy przedtem, Hosteen wyczuł nadciągające niebezpieczeństwo.

- Nie bardzo mogę spłynąć, skoro trzymasz mnie w stazie, prawda?

Tamten uśmiechnął się, rozciągając malunek na twarzy w groteskową figurę.

- Staza... zieloni chłopcy nie dają sobie rady za stazą!

Śmiał się, niemal chichotał i nagle spoważniał.

- Myślałeś, że mnie nabierzesz, co? - powiedział obojętnym tonem. - Wiesz, że wojna się skończyła. I że nie jesteś tu na służbie. Nie - ty chcesz się tu załapać. Ale to wszystko... tutaj... jest moje! Oderwał jedną rękę od kuli i gestykułował nią zawzięcie.

- Wszystko, czego mógłbym zapragnąć, jest moje. Na zawsze.

Znów zachichotał. Kontrast tej wesołkowatości z zimną precyzją poprzednich słów przerażał, przypominał bowiem zachowania ludzi w Centrum Rehabilitacji.

- Na zawsze! - powtórzył Dean. - Dlatego chcesz się tu wkręcić! Też byś tego chciał! Żyć wiecznie i mieć nieograniczoną władzę. Palce ręki zacisnęły się w pięść.

- Tylko, że tech był tu pierwszy i wie, co i jak zrobić. Nie tylko ty chciałeś mnie wykiwać... ale sprawa z tobą to pestka. Wiem, jak takich załatwić.

Zacisnął palce na kuli i Hosteen poczuł dławiący uścisk na gardle.

- Mógłbym cię zmiażdżyć, zielony chłopczyku, zdeptać jak robaczka. Tylko... to byłaby niepotrzebna strata. Moi przyjaciele lubią... rozrywkę. Będą mogli się z tobą zabawić.

Obcy dotknął krążka w taśmie opasującej szyję i zawołał - głos był świergotliwym gwizdem Norbisów.

Hosteen wpatrywał się w wejście do tunelu za plecami Deana.

- Teraz! - wysłał bezgłośny rozkaz.

Z ciemności strzelił żółty błysk i Surra całym swym potężnym ciężarem wylądowała na barkach Deana. Jego gwizd przeszedł w skrzek, upadli oboje, kula wypadła mu z rąk, ale zanim uwolniony z niewidzialnych pęt Hosteen zdołał ją pochwycić, poturlała się na krawędź skalnej drogi i znikła. Kot i człowiek walcząc przetaczali się tam i z powrotem po powierzchni skały.

- Nie zabijaj - rozkazał Hosteen.

Poruszył się z trudem, całe ciało było sztywne, zdrtwiałe, prawie jak ręka po przygodzie z klatką.

Surra prychnęła, krzyknęła i, puściwszy obcego, zaczęła trzeć oczy przednimi łapami. Dean, nadal wrzeszcząc po norbisku wykonał ruch, jakby ciskał czymś w kota, i zwierzę rzuciło się do ucieczki. Tech spojrział na Hosteena. Na jego twarzy malowała się szaleńcza furia. Krzyknął jeszcze raz i pobiegł ku tunelowi. Hosteen rzucił się za nim, ale nie był jeszcze w pełni sprawny. Chwytał co prawda tamtego za nogę, lecz odepchnął go potężny kopniak i Dean zniknął w ciemnym korytarzu, z którego dobiegł tylko oddalający się tupot nóg.

Surra wciąż tarła oczy. Hosteen chwycił ją za skórę na karku i pociągnął za sobą. Norbisowie wezwani przez obcego nie mogli być daleko. Została tylko jedna droga ucieczki - za Deanem do wnętrza góry. Miał nadzieję, że stanowi ona tabu i tubylcy nie ośmielą się tam go ścigać.

Nagle ujrzał głowę zwieńczoną parą czarnych rogów. Norbis rzucił się na niego z nożem w ręce. Hosteen był już przy wejściu do tunelu. Walczył o życie. Zmuszał ciężkie, niemrawe kończyny do zwinnych ruchów, wyćwiczonych w czasie treningu komandosów. Powoli cofał się ku ciemnościom korytarza.

Poczuł ostry ból w boku - cios, który miał być śmiertelny, chybił. Za to krawędź ręki Hosteena wylądowała pewnie na szyi tamtego tuż powyżej obojczyka. Norbis upadł z głuchym stęknieniem, a Ziemianin wytrącił mu nóż z ręki.

Coś świsnęło i strzała przeszła porwane sukno koszuli Storma. Opadł na czworaki i tak zaczął wycofywać się w głąb korytarza, skąd dobiegały go jękliwe skargi Surry. Łuczników było więcej - widział na tle nieba napinające się cięciwy. Ale niesamowity mrok, który wyścielał wszystkie korytarze Zamkniętych Grot, był teraz jego sprzymierzeńcem. Storm trzymał się blisko ziemi, więc lecące w górze strzały nie robiły mu krzywdy, a żaden z tubylców nie kwapił się do pościgu. Miał rację, góra była tabu.

Kiedy zakręt korytarza zasłonił go przed napastnikami, Hosteen zatrzymał się, włączył latarkę i przywołał Surrę. Nie wiedział, co zrobił Dean, ale kot łzawił i widać było, że cierpi. Na szczęście, pobieżne badanie wykazało, że wzrok nie jest uszkodzony i że zwierzę powoli dochodzi do siebie.

Surra była wściekła i gotowa ścigać swego sprawcę wszędzie, co zgodne było z zamiarami Storma. Musiał go dostać. Teraz, uzbrojony w nóż i wiedząc, czego można spodziewać się po przeciwniku, nie był już tak bezbronny jak przedtem. Chociaż -

podpowiadał mu rozsądek - kawałek metalu, choćby najlepiej hartowany, nie mógł być obroną przed sztuczkami, które tamten zapewne miał w pogotowiu.

Surra pewnie zmierzała naprzód. Wiedziała, dokąd iść. Ale nagle zatrzymała się, potem zawróciła, obwąchała podłogę i wreszcie, zupełnie zbita z tropu, prychnęła ze złością, gdyż łup się wymknął.

Hosteen skierował światło latarki na podłogę w nadziei, że znajdzie tam jakąś spiralę. Ale nie było tam ani spirali, ani rzędu gałek na ścianie, niczego, czym można by otworzyć drzwi w ten inny wymiar. Jeszcze jeden sekret korytarzy, który nie był sekretem dla Deana.

Czy tech mógł przenosić się z dowolnego punktu w jaskiniach? A może były "przystanki", gdzie to było możliwe? Hosteen żałował, że nie przyjrzał się dokładnie miejscu, w którym wylądował przenosząc się za Deanem z hali maszyn.

Teraz pozostała mu tylko wędrówka przez korytarz w nadziei, że znajdzie jakieś wyjście, albo powrót na powierzchnię, gdzie bez wątpienia oczekiwali go Norbisowie. Jak Surra dostała się do wnętrza góry... jakimś innym wejściem? Przykucnął i zawołał kota. Położył rękę na jego łbie i starał się skłonić go, by przypomniał sobie, którędy wszedł do podziemi.

Cechy, które czyniły ze zwierzęcia tak wartościowego członka drużyny, teraz działały na szkodę Storma. Surra była wzburzona kontratakiem Deana. Jedyne, co ją w tej chwili zajmowało, to pragnienie odwetu. To, o co pytał Hosteen, było zupełnie bez znaczenia. On jednak nie tracił cierpliwości i ponawiał próby nawiązania kontaktu psychicznego z kotem.

Dean był wolny i mógł użyć swoich piekielnych maszyn. A Logan? Myśl o Loganie paliła jak promień rozpylacza. Nawet jeśli chłopak nie dotarł do hali, mógł uniknąć śmierci w promieniach słońca suszy i może błąkał się gdzieś w labiryncie.

- Baku... Gorgol - skoro Surra nie chciała odpowiedzieć na pytanie, próbował podejść ją okrężną drogą. Udało się.

- Wysoko... w górze.

Jak zwykle, odpowiedź nie była jasna. Myśl człowieka usiłowała dotrzeć do kota.

- W górze... gdzie?

Poczuł, że zwierzę wycofuje się. Odmawia kontaktu? Czasem tak bywało. Nagle Surra poruszyła się, uniosła głowę i wciągnęła powietrze niosące jakąś wiadomość nieczytelną dla Storma.

- Obcy odszedł... ale znajdziemy go - obiecał Hosteen. - Do polowania potrzebna jest drużyna. Gdzie Baku?

To zrobiło wrażenie. Byli związani z sobą tak długo i czuli się w tym związku bezpiecznie. Surra nie odpowiedziała, tylko ruszyła przed siebie z determinacją prawie równą tej, z którą ściągała Deana.

Nie potrafiłby odnaleźć drogi, którą go prowadziła. Mijali korytarze, przechodzili przez jaskinie pełne maszyn, urządzeń i innych przedmiotów będących pozostałością po Zamkniętych, których przydatności Hosteen nie był w stanie określić na pierwszy rzut oka. Na drugi nie miał czasu, bo Surra gnała przed siebie, nie zwracając uwagi na otoczenie. Wyglądało na to, że zna drogę.

Szli w górę i w dół już tyle razy, że Hosteen rzeczywiście się zgubił. Był tylko pewien, że dawno zostawili za sobą górę, do której weszli. W końcu Surra skręciła z głównego tunelu o ścianach wyłożonych czarną substancją w boczny korytarz ograniczony przez surowe skały. Przejście było niskie i Hosteen musiał pokonać je na czworaka.

Jeszcze jedna, wąska szczelina i wypełił do światła, powietrza i zapachu świeżej roślinności. Była to niewielka dolinka, do której - podobnie jak do doliny zamieszkałej przez tubylców - nie dotarła Wielka Susza. Zmęczony usiadł i rozejrzał się wokoło.

Kiedy przyjrzał się roślinom, zdał sobie sprawę z tego, co je różniło od flory Arzoru. To była zieleń - nie rudzielona, nie brązowzielona, ale po prostu zielona. Gdzie mógł już widzieć takie liście, jak na małym krzewie odległym na wyciągnięcie ręki?

Nagle z nieba spadła czarna, skrzydlata strzała. Baku usiadł na ziemi i podszedł ku Mistrzowi Zwierząt z rozłożonymi skrzydłami, wydając przeraźliwe okrzyki. Było to niezwykle ciepłe powitanie.

Głosowi ptaka odpowiedział ostry gwizd dobiegający od strony zarośli. Hosteen drgnął i chwycił za nóż. Sygnał Norbisów zwiastował niebezpieczeństwo.

Surra jednak wyciągnęła się spokojnie na słońcu, mrużąc oczy przed blaskiem. Kiedy Hosteen wstał, na polanę wyszedł Gorgol. Był ranny. Lewe ramię obwiązał opatrunkiem ze zgniecionych liści i trawy, a lewy policzek przecinała czerwona szrama. Jego twarz była tak spuchnięta, że z trudem otwierał oczy. Brakowało też części kołnierza z zębów jorisa.

- Storm! - zasygnalizował, a potem przesunął końcami palców po ramieniu tamtego, jak gdyby upewniając się, że Ziemianin nie jest zjawą.

Baku wzbił się w górę, po czym przysiadł na ramieniu Hosteena. Ten ugiął się pod ciężarem orła, który pieszczotliwie potarł potężnym dziobem o policzek przyjaciela.

- Gdzie jesteśmy?

Hosteen rozejrzał się wokół. Niewielką dolinę otaczał pierścień wysokich szczytów. Nie rozpoznawał żadnego z nich. Nie wiedział nawet, w jakim kierunku wiodła ich podziemna droga.

- W górach - odpowiedź Gorgola nie wyjaśniała niczego. - Uciekliśmy przed ogniem.

- My?

Gorgol odwrócił się i powtórnie gwizdnął. Przez chwilę Hosteen miał nadzieję, że to Logan odnalazł drogę. Człowiek, który wyłonił się spomiędzy delikatnych liści, nie był jednak Loganem.

Był chudy jak szczapa, a resztki postrzępionego zielonego munduru nie mogły ukryć ciemnych szram.

- Więc... Zolti miał rację - powiedział drżącym głosem. - Mogliśmy znaleźć pomoc... mogliśmy wrócić do... domu.

Osunął się na ziemię, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ukrył twarz w brudnych i podrapanych dłoniach, a chudymi ramionami wstrząsnął gwałtowny szloch.

ROZDZIAŁ 16

- Kto to? - zwrócił się do Gorgola Hosteen.

- Nie wiem, nie zna mowy palców - zasygnalizował Norbis. - Spotkaliśmy się na zboczu, przeprowadził mnie przez ogień. Myślę, że od dawna już ucieka, ale nadal chce walczyć - to prawdziwy wojownik.

Hosteen uniósł lekko ramiona i Baku przefrunął na pobliską skałę. Ziemianin usiadł obok nieznanego i delikatnie położył rękę na skulonych barkach.

- Kim jesteś, przyjacielu?

Użył języka galaktycznego używanego w Służbie, ale nie był zdziwiony, gdy urywana odpowiedź nadeszła w mowie Ziemian.

- Najar, Mikki Najar, zwiadowca numer 500, Desant.

Uspokajał się. Opuścił ręce i odwrócił się ku Hosteenowi, ze zdziwieniem przyglądając się jego indiańskim rysom.

- Hosteen Storm, Mistrz Zwierząt - Hosteen przedstawił się i dodał - Wojna się skończyła, wiesz o tym.

Najar wolno kiwnął głową.

- Wiem, ale tu jeszcze są Xikowie, prawda? Dlatego tu jesteś. A może to też kłamstwo?

- To jest Arzor, graniczna planeta osiedleńcza. Była tu kryjówka Xików, to prawda, ale zrobiliśmy z nimi porządek już parę miesięcy temu. Większość wysadziła się w powietrze, kiedy usiłowali uciec. Nie jestem tu jako żołnierz - teraz to mój dom.

Twarz Najara wykrzywiła się z goryczą.

- Jeszcze jedno kłamstwo Deana. Jesteś z Ziemi, prawda?

Hosteen skinął głową i dodał:

- Teraz z Arzoru. Mam tu trochę ziemi na równinach...

- I to naprawdę jest planeta osiedleńcza, należąca do Konfederacji, nie do Xików?

- Tak.

- Od jak dawna?

- Ponad dwieście lat ziemskich. Teraz mieszka tu drugie i trzecie pokolenie osadników z Pierwszego Statku. Przyleciałeś rakieta ratunkową?

- Tak - teraz brzmiała gorycz w głosie Najara. - Lafdale był pilotem... dobrym pilotem, wylądował bezawaryjnie. Wyszliśmy prosto na tubylców. Nie zabili nas - może lepiej by było, gdyby to zrobili - tylko zapędzili w górę zbocza, do jaskini. Lafdale'a straciliśmy w jaskini pełnej wody. Był tam jakby pomost - coś wielkiego ściągnęło go stamtąd. Nawet nie wiedzieliśmy, co to było. Potem... - Najar wolno pokręcił głową - to był koszmar. Roostav... zniknął. W jaskini pełnej zburzonych ścian nie odnaleźliśmy go... Dean poganiał nas. Był podniecony, mówił, że znajdziemy coś wspaniałego. A Zolti - przed wojną był hist-techem - mówił, że to zamieszkała planeta i że, gdybyśmy wrócili do rakiety, to moglibyśmy nadać wołanie o pomoc. Nie wiedzieliśmy, czy sygnały lądowania w ogóle zostały odebrane. Ale Dean go zagadał, powiedział, że wie, gdzie jesteśmy, że pełno tu Xików, a wrogość tubylców świadczy o tym, że to ich strefa wpływów.

Przerwał i potarł twarz rękami.

- Pozostała dwójka, Widders i ja, nie wiedzieliśmy, co myśleć. Dean i Zolti - to byli mózgowcy. Obaj twierdzili, że jesteśmy w miejscu, gdzie przetrwały jakieś wielkie i ważne pozostałości z dawnych czasów. A Dean... wiesz, my wszyscy właśnie wyszliśmy z Rehabu... - zerknął ukradkiem na Hosteena.

- Wszyscy Ziemianie przeszli przez Rehab po tym... - odparł spokojnie Storm.

- No więc, Dean... nie chciał wracać. To znaczy, wracać do życia sprzed wojny. W Służbie był kimś ważnym i to mu się spodobało. W Rehabie jakoś się krył, ale kiedy tu wylądowaliśmy, zupełnie się zmienił. Był podniecony, ożywiony, zapanował nad nami.

Upierał się, że naszym obowiązkiem jest dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o tym miejscu i użyć tego przeciw Xikom. Przysięgał, że Zolti się myli, że na naszym kursie nie było żadnej zasiedlonej planety.

- Potem doszliśmy do miejsca ze ścieżką - znowu przerwał, jakby szukał słów dla opisanego czegoś, czego sam nie rozumiał.

- Znaleźliście to? - Ziemianin narysował palcem na ziemi spiralę.

- Tak. Ty też to widziałeś!

- I poszliście za tym.

- Dean powiedział, że to wyjście. Nie wiem, skąd to wiedział.

Wyglądało, jakby wyłapywał informacje z powietrza. Był tak samo głupi, jak my wszyscy... a w jednej chwili potrafił wyjaśnić wszystko - i miał rację! A jednak nie chciał przejść tamtędy pierwszy. Poszedł Zolti... krążył, krążył i nagle go nie było!

Widders trochę stracił głowę. Ciągłe powtarzał, że coś się chowa za skałami i śledzi nas. Rzucił kamieniami w każdy cień. Kiedy Zolti zniknął, Widders zaczął krzyczeć, pobiegł w kółko, aż dotarł do środka... i też zniknął. Potem Dean. I ja... no... nie chciałem tam zostać sam. Więc też to zrobiłem i znalazłem się w trójkątnym pomieszczeniu.

- Widziałeś halę maszyn? - zapytał Hosteen.

- Tak. Był tam Dean. Biegał jak oszalały, stukał we wszystko i gadał do siebie, że było mu pisane znaleźć to miejsce i że teraz ma władzę nad całym światem. Czułem się jak na początku pobytu w Rehabie. Schowałem się i patrzyłem. Wreszcie wszedł do wielkiego pierścienia w rogu i położył się tam zwinięty w kłębek, jakby usnął. Było tam światło... i hałas... nie można było patrzeć, bo coś działo się z oczami. Więc wyruszyłem na poszukiwanie Widdersa i Zoltiego. Tylko, że nawet jeśli tam dotarli, to znowu zniknęli. Nie znalazłem ich. Nie wtedy.

- A później?

- Może... jednego. Tylko, że trudno być pewnym... to były po prostu świeże kości.

Najar zamknął oczy, a Hosteen poczuł, jak wyniszczonym ciałem wstrząsa dreszcz.

- Nie zostałem tam. Jakoś znalazłem drogę do tej doliny.

Rozejrzał się wokół z wdzięcznością.

- To było cudowne, po tych wszystkich miejscach znaleźć się na powierzchni, gdzie rosną prawdziwe rośliny... prawie jak w domu. Jest stąd droga przez góry do doliny tubylców. Obserwowałem ich. Zaczęli się schodzić coraz liczniej i domyśliłem się, że to robota Deana. Potem błyskawica i grom... jakieś dziwne... Starłem się odkryć, co się tu dzieje, zrobiłem plan kilku dróg...

- Nie próbowałeś kontaktować się z Deanem?

Najar spuścił oczy.

- Nie. Pewnie myślisz, że to dziwne, Storm, ale on się zmienił, odkąd tu wylądowaliśmy. A kiedy zobaczyłem go szalejącego w tej hali... no, nie chciałem mieć z nim do czynienia. Bredził cały czas o tym, że został wybrany do rządzenia światem - wystarczy, żebyś sam się poczuł nie całkiem normalnie. Nie chciałem mieć z nim nic wspólnego.

Hosteen przyznawał mu rację. Człowiek, którego spotkał u wejścia do tunelu, nie należał już do rodzaju ludzkiego, nie można się było z nim porozumieć. Może jakiś doświadczony psycho-tech mógłby do niego dotrzeć i znaleźć sposób na przywrócenie go do rzeczywistości...

- Byłem w Rekonesansie i w tropieniu jestem niezły - w głosie Najara brzmiała nuta dumy. - Nikt z tubylców nie podejrzewał mojej obecności. Oczywiście, niewielu wypuszcza się wysoko w górę, a jeśli nawet, to trzymają się ustalonych ścieżek. Kiedyś zobaczyłem śmigłowiec, to byli nasi! Okazało się, że opowieści o Xikach były bzdurą. Zszedłem na dół, ale zaraz po tym, jak śmigłowiec wylądował, odciął go ogień. Dopiero potem dotarłem do niego... znalazłem trupa; reszta była spalona. A tak liczyłem na to, że uda mi się nim wydostać... - znów spuścił oczy. - Byłem od tego chory, tak chory, że postanowiłem dotrzeć do Deana. Wróciłem do korytarzy w nadziei, że go spotkam. Dwa razy trafiłem do hali maszyn, ale go tam nie było. Nie masz pojęcia, Storm, jakie rozległe są te podziemia. Przejścia przez góry i pod górami, jaskinie, grotty... Widziałem rzeczy... okropne. - Wstrząsnęły nim znów dreszcze. - Czasami zastanawiałem się, czy też nie zwariowałem, bo czy inaczej mógłbym widzieć coś takiego?... Ale nie spotkałem Deana... aż do nocy, gdy znowu buchnął ogień. Zobaczyłem tego tubylca, jak przedziera się przez płomienie razem z wielkim kotem i ptakiem frunącym nad nimi. Dean ich obserwował... celował już w nich. Pokazałem tubylcowi szczelinę, kot i ptak poszły za nim. Szczelina wiodła tutaj. Potem...

- Potem? - zapytał Hosteen.

- Potem - powtórzył ponuro Najar - jeden z piorunów uderzył tuż obok i zasypał drogę tak, że nie było z nas wiele pożytku przez parę dni. Całe szczęście, że jest tu woda i trochę owoców. Ptak starał się wydostać, ale z jego zachowania wynikało, że to miejsce jest czymś przykryte, jakby kopułą. Potem, pewnego dnia zniknął kot. Domyśliliśmy się, że znalazł wyjście. Szukaliśmy go do tej chwili. Teraz wiesz wszystko.

- Tak - odparł mechanicznie Hosteen.

Opowieść Najara wiele wyjaśniała. Wszyscy rozbitkowie opuścili dolinę idąc spiralną ścieżką, ale najwidoczniej nie wszyscy wylądowali w tym samym miejscu. Logan... czy

Logan znalazł się w jakimś innym punkcie podziemnego labiryntu? Hosteen z rozbudzoną na nowo nadzieją zwrócił się do Najara.

- Stąd jest wyjście. Czy sądzisz, że potrafiłbyś znaleźć drogę do hali maszyn?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem.

Hosteen ponad ramieniem przybysza zasygnalizował do Gorgola:

- Nie ma drogi przez wzgórza?

- Możemy patrzeć, nie możemy przejść. Idź i zobacz sam - odpowiedział Norbis.

Wspięli się na zbocze, w którym znajdowała się szczelina stanowiąca wejście do korytarzy. Potem podeszli po grań kończącą się dużym osy piskiem.

- Góra upadła - wskazał na nie Gorgol. - Stąd można patrzeć...

Jeszcze trochę wspinaczki i mogli rzeczywiście spojrzeć. Widok był niesamowity. Pod sobą mieli otchłań, której dna nie sięgnęłaby chyba najdłuższa lina na Arzorze. A za tą przepaścią, w zasięgu wzroku, a jednak tak odległe, jakby leżały na innej planecie, ciągnęły się wyżyny - nagie i wypalone słońcem, które po stronie obserwatorów było tak łagodne. Okno na świat, okno, ale nie drzwi.

Używając mowy palców Hosteen przekazał w skrócie Gorgolowi to, co zobaczył sam i czego dowiedział się od Najara. Tubylec przyglądał się ruchom dłoni Ziemianina, a jego twarz wyrażała coraz większą determinację.

- Jeśli Ukurti mówi, że to jest złe - odpowiedział - Krotag i ci, którzy z nim jadą, uwierzą mu, gdyż Ukurti jest tym, który posiada wiedzę i zawsze słuchaliśmy jego bębna. Uwierzą też, że człowiek o chorym umyśle przywłaszczył sobie rzeczy pozostawione przez Tych-Którzy-Odeszli i używa ich, by stać się kimś wielkim. Jeśli tak będzie, to szczepy odwrócą się od niego i więcej nie posłuchają jego bębna.

- Ale jak można to udowodnić? I czy mamy na to czas? - zaproponował Hosteen. - Już wezwał do napaści na równiny. A gdy to nastąpi, będzie wojna, wojna na śmierć i życie. Wśród mojego rodzaju zawsze byli tacy, którzy wam nie ufali.

- To prawda - palce Gorgola wykonały gest gwałtownego potakiwania. - Wypuszczonej strzały nikt nie zawróci do kołczanu. Poza tym miejscem panuje teraz Wielka Susza. Znamy sekretne źródła, ale nie wystarczą one, by napoić liczne oddziały. Ci, którzy pomimo to wyruszą, nie będą mogli podążać wprost na równiny. Będą kluczyć od jednego źródła do drugiego, a to zabierze dużo czasu. Gdyby wyruszyli dzisiaj, to dopiero za tyle słońc dotarliby do równin - to mówiąc trzykrotnie wyprostował palce i zacisnął je ponownie w pięść.

- Czy Krotag cię wysłucha? - zapytał Hosteen.

- Jestem wojownikiem pokrytym bliznami. W czasie mów plemiennych mam prawo głosu. Krotag mnie wysłucha

- A zatem, jeśli się stąd wydostaniemy, jeśli dotrzesz do Krotaga i Ukurtiego...

Gorgol spoglądał ponad ramieniem Hosteena na wypaloną słońcem ziemię.

- Krotag będzie słuchał. A za Krotagiem stoi Kustig o totemie Jorisa, a za Kustigiem Danku spod znaku Xoto.

- A gdy oni wszyscy cię wysłuchają, czy Shosonna zerwą paktów i nie wezmą udziału w tej wojnie?

- Może tak być. A gdy Norbisowie odejdą, pójdą za nimi Warptowie z północy i może Gouskla z wybrzeża...

- I armia Deana zostanie podzielona na pół!

Hosteen był podniecony, ale twarz Gorgola nadal wyrażała troskę.

- Kiedy złamiemy drzewca pokoju, może wybuchnąć inna wojna. Dzicy z Błękitnej będą walczyć o utrzymanie mocy swoich czarów.

- Chyba że udowodnimy, że Dean jest oszustem...

- Tak. Oto dwie drogi - Gorgol odwrócił się od "okna". - Ja muszę odnaleźć klan Zamla, a ty tego, który pochodzi z twojego rodu i czyni zło.

- Żeby tego dokonać, musimy znaleźć drogę powrotną - dodał Hosteen.

W zielonej dolinie odbyli radę wojenną. Najar, Hosteen i Gorgol siedzieli razem, a obok Baku i Surra. Storm był tłumaczem. Najar twierdził, że jeśli dotrą do znanego mu punktu, to stamtąd trafi na drugą stronę góry - do wioski. Potem zjedli trochę owoców i Hosteen, wtulony w bok Surry i ukołyszany jej cichym mruzeniem, zasnął snem tak głębokim, jakiego nie zaznał od początku tej niezwykłej przygody.

Było już ciemno, gdy zbudził go Gorgol. Wpełzli pod skałę, do szczeliny, którą odkryła Surra. Baku głośno protestował, gdy Hosteen wezwał go do pójścia w ich ślady. Długo trwało, zanim dał się namówić na pieszą wędrówkę. Dopiero stanowcze oświadczenie Storma, że on i Surra idą i nie zamierzają wrócić i że orzeł zostanie sam w dolinie, zmusiło ptaka do zmiany zdania. Podreptał za nimi, trzaskając wściekle dziobem, co miało dać reszcie pojęcie o jego opinii na temat tej wyprawy.

Kiedy dotarli do korytarza, Baku usadowił się zaraz na ramieniu Hosteena, a Surra pobiegła przodem zmuszając ludzi do szybkiego marszu. Kot powracał tą samą drogą, którą prowadził wcześniej Hosteena. Na długo przedtem- nim dotarli do miejsca, gdzie zniknął Dean, Najar chwycił Storma za ramię i krzyknął:

- To tutaj!

Rozglądał się jak człowiek, który trafił w znane miejsce.

- Droga prowadzi tędy.

Hosteen przywołał Surrę i skręcili za Najarem w boczny korytarz. Dla Indianina nie różnił się on niczym od innych, ale wiedział, że tak jak jego wyszkolono i przystosowano do przewodzenia drużynie, zwiadowców z Rekonesansu dobierano i trenowano do służby tropicieli i przewodników.

Najar bez wahania skręcał w kolejne tunele i przechodził przez małe jaskinie. W końcu stanęli w niewielkiej grocie. Przewodnik wskazał na szczelinę w stropie, przez którą padało światło. - Tu obsunęła się ziemia. Ten otwór prowadzi na zbocze góry. Hosteen miał się właśnie zacząć wspinać, gdy dobiegł go dziwny okrzyk Najara. Odwrócił się i ujrzał jego twarz w świetle latarki trzymanej przez Gorgola. Zwiadowca spojrzał z nienawiścią na Storma i rzucił się na niego, przygniatając go swoim ciężarem do ściany. Indianin skulił się, starając się uniknąć ciosów, które mogły zabić. Latarka zgasła i zapadła ciemność.

- Ty parszywy kłamco! - rzucił mu w twarz Najar. - Kłamca!

Nagle zakrztusił się i coś odciągnęło go od Hosteena. Mistrz Zwierząt ciężko dysząc oparł się o ścianę ściskając ręką zdrętwiałe od ciosu ramię. Pokryte futrem ciało otarło mu się o nogi. Sięgnął, wziął latarkę z pyska Surry i nacisnął guzik.

Gorgol stał za Najarem trzymając jego szyję w żelaznym chwycie zgiętego ramienia. W miarę, jak siła uścisku rostała, rozbitek walczył coraz słabiej.

- Nie zabijaj go! - rozkazał Hosteen.

Gorgol poluźnił chwyt i złapał osuwającego się przybysza za ramiona.

- Dlaczego? - zapytał Storm masując ramię.

- Mówiłeś... planeta osiedleńcza... nie ma Xików... wojna się skończyła... - Chociaż Najar w rękach Gorgola był bezbronny, jego nienawiść wcale nie osłabła. - A na zewnątrz jest lokalizer!

Hosteen wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Nie dlatego, że mu nie wierzył albo dziwił się jego reakcji. Zwiadowcy potrafili - częściowo dzięki wszczepionym urządzeniom, częściowo dzięki treningowi - odbierać fale o pewnych długościach. Jeśli Najar twierdził, że złapał promień lokalizera, to na pewno miał rację. Ale Hosteen wiedział, że najbliższe takie urządzenie jest w Galwadi lub w Porcie. Chyba, że... chyba że w Błękitnej zjawiał się Kelson lub inny przedstawiciel władzy!

- Powiedziałem prawdę - rzekł. - Ale może... może jest już za późno. Mogli wezwać Patrol.

ROZDZIAŁ 17

- Na zachodzie... nie, tutaj... - ręka Najara wskazywała południowy zachód.

- Baku - myśl Hosteena posłała orła w górę, w niebo. Szybko zniknął im z oczu ciesząc się wolnością, której nie mógł zaznać w przykrytej niewidzialnym dachem dolinie. Po jakimś czasie nadszedł jego meldunek.

W zagłębieniu terenu znajdowała się grupa ludzi szukających schronienia przed słońcem. Hosteen zwrócił się do Gorgola.

- Dotrzemy do nich, zanim słońce wzniesie się wysoko?

Norbis nie był pewien. Trudno było określić odległość, jaka ich dzieliła. Najar twierdził, że są nie dalej niż pięć mil stąd, tylko że pięć mil w tym terenie mogło się równać półdniowej wędrówce.

- Jeśli wkroczą do Błękitnej - ostrzegł Gorgol - moi ludzie zjednoczą się przeciw nim i nie będzie można złamać drzewców pomiędzy szczepami.

- To prawda. Ale jeśli ty ruszysz do swoich, a ja z tym, który wiele wie o złym człowieku, pójdziemy do osadników, może to, co powiemy, powstrzyma obie strony do czasu, gdy strzały wojenne wrócą do kołczanów, a mądrzy ludzie zasiądą, by radzić.

Gorgol wspiął się na szczyt stosu głazów, który maskował wejście do groty, i spojrzał na południe. Jego palce poruszyły się.

- Dla mnie droga nie jest trudna. Dla was może być nie do przejścia. Wybór należy do was.

- Co o tym sądzisz? - Hosteen spytał Najara. - Będą czekać przez cały dzień, ale potem ruszą. Są tu gdzieś ich zwiadowcy, inaczej nie odebrałbyś tych fal. Jeśli wejdą do wielkiej doliny, na pewno dojdzie do bitwy. Dean ją wygra i to będzie początek wojny.

- Co zamierzasz? - odparł Najar.

- Spróbuję dotrzeć do nich przed nocą, zanim wyruszą...

Może popełniał błąd, może powinien zostać tu i ścigać Deana. Ale nawet gdyby jakimś cudem dostał tego odszczepieńca, to wojna i tak wybuchnie, jeśli przybysze przekroczą granice Błękitnej.

- Nie znajdziesz ich nie idąc za promieniem. - Najar przesunął wierzchem dłoni po ustach.

- Mam Baku i Surre - odparł Hosteen.

A jednak zwiadowca miał rację. Idąc z nim, mógłby wybierać najkrótszą i najłatwiejszą drogę, bo wiedzieliby, z której strony dobiega sygnał.

Najar przerzucił rzemień manierki przez kościste ramię:

- Jeśli mamy iść, to chodźmy.

Ominął skały i ruszył naprzód. Hosteen uniesioną w górę dłonią pożegnał Gorgola, a ten ześliznął się na drugą stronę stosu głazów, ku dolinie, gdzie miał znaleźć i przekonać swych pobratymców.

Było wcześniej i słońce nie grzało jeszcze z pełną siłą. Według oceny Hosteena mogli liczyć na jakieś dwie, dwie i pół godziny marszu, zanim będą musieli szukać schronienia. Potem może jeszcze godzina wczesnym wieczorem... Ale najlepiej było myśleć tylko o tym, co miało się bezpośrednio przed sobą: o najbliższej krawędzi czy szczelinie, a potem, gdy słońce wspięło się wyżej, o następnych dziesięciu, pięciu krokach.

Surra znikła im z oczu, utrzymywała tylko telepatyczny kontakt z Hosteenem. Wreszcie nadeszła chwila, gdy polecił jej znaleźć kryjówkę. Odpoczywali coraz częściej, a okolica zaczynała przybierać wygląd taki, jak to, co widział przez "okno" z zamkniętej dolinki. Nagle Najar skręcił w prawo.

- Sygnał! Jest dwa razy silniejszy! Albo są tuż obok, albo ogłaszają natychmiastowy odwrót.

Z powolnego, ostrożnego kroku, który utrzymywali dotychczas, przeszedł w szybki trucht. Nagle ziemia obsunęła się i Najar zjechał w dół w lawinie piachu i kamyków. Jednocześnie Surra zasygnalizowała o odnalezieniu obozu.

Rumowisko doprowadziło ich do ustępu skalnego, gdzie znaleźli postój urządzony tak, jak robili to Norbisowie i myśliwi ze Szczytów. Nad jamą, wygrzebaną w ziemi spiętrzone kamienny kopiec. Pod taką osłoną można było wytrzymać spiekotę dnia.

Surra podpełzła ku schronowi i ryknęła gniewnie. Hosteen pospieszył za nią i uderzył w zasłaniającą wejście frawnię skórę. Po chwili wyłoniły się zza niej głowa i ramiona człowieka. Był to Kelson.

- Storm! Spodziewaliśmy się ciebie, Baku przyleciał przed kilkoma minutami. Wchodź, chłopie, wchodź. A ty, Logan... - dopiero mówiąc to Oficer Pokoju przyjrzał się dokładnie towarzyszowi Hosteena. - To nie Logan...

- Nie.

Hosteen pchnął lekko Najara w kierunku wejścia, a Kelson cofnął się, by ich przepuścić. Potem weszła Surra, a na końcu Storm. Stanął, czekając, aż oczy przywykną do ciemności.

Miejsce było dobrze wybrane. Niewielka jama prowadziła do obszernej jaskini. Nie miał czasu na oglądanie otoczenia, bo stanął przed Bradem Quade'em.

- Logan...?

Pytanie, które sam zadawał sobie tyle razy, teraz zostało wypowiedziane przez człowieka, z ust którego najbardziej obawiał się je usłyszeć. Wszystko, co mógł mu powiedzieć, to to, że rozdzielili się na placu, który był tajemniczym środkiem komunikacji i że, zgodnie z tym, co mówił Najar, ze spirali można było trafić nie tylko do hali maszyn. Jeśli Logan jeszcze żył, to błąkał się teraz gdzieś w podziemiach.

- Nie wiem...

- Byliście razem?

- Tak... przez jakiś czas...

- Storm - Kelson położył mu rękę na ramieniu - odebraliśmy sygnał, który stąd wysłałeś.

Niepokój, lęk, zmęczenie wybuchły teraz w ataku gniewu:

- Więc dlaczego, do diabła, przyszedliście tutaj? Jeden wasz krok w dolinę i zacznie się!

Cały się trząsał. Wściekłość i gniew na tę krainę, na swój brak szans w starciu z Deanem, na to, że nie radził sobie z sekretami podziemi, wszystko to poczuł tak dotkliwie, że miał ochotę ryczeć jak Surra. Kot zawarczał w ciemnościach, a Baku krzyknął przeraźliwie. Zwierzęta czuły, że ich pan stracił nad sobą panowanie.

Ktoś chwycił go łagodnie, ale zdecydowanie za ramiona. Usiłował wyswobodzić się i zdał sobie sprawę, że zmęczone ciało nie jest posłuszne jego woli. Teraz ktoś przytknął mu do spieczonych ust kubek, z którego pociągnął łąpczywie.

- Słuchaj, chłopcze, nikt się tam nie pcha na oślep. Na szczytach są nasi zwiadowcy, ale nie wolno im schodzić w tę dolinę. Możesz nam powiedzieć, o co tu właściwie chodzi?

Quade mówił spokojnie, sadowiąc Hosteena na podłodze. Potem namoczył ściereczkę w mlecznym płynie, który stał w niewielkim pojemniku, i chłodził nią twarz, szyję i pierś Hosteena. Aromat cieczy uspokajał i przywodził na myśl wieczory na ranczo.

Storm był już zupełnie trzeźwy i spokojny. W kilku zdaniach przekazał im to, co wiedział, po czym przywołał Najara, by ten dodał swoją część opowieści.

- Macie rację - stwierdził Kelson, gdy skończyli. - To Dean.

- Niezrównoważony tech o inteligencji geniusza w składzie z maszyną Zamkniętych Grot. Boże! To może wykończyć Arzor szybciej niż bomba Tri-X!

- Wezwałś Patrol? - zapytał Hosteen.

- Oficjalnie nie. Pożyczyliśmy kilku ludzi. Może teraz - stanął z rękami na biodrach i twarzą czerwoną nie tylko od upału - Rada będzie miała więcej rozsądku. Ten teren powinien być dokładnie patrolowany już pięć... dziesięć lat temu!

- Byłoby to naruszenie układów - przypomniał Quade.

- Układy! Nikt nie mówi o ograniczaniu praw Norbisów... przynajmniej ja nie, bo niektórzy ze Szczytów mają inne zdanie. Nie, ja tylko chcę - zawsze o tym mówiłem - lokalnej straży złożonej z Norbisów i osadników. Trzeba to było zrobić na początku, a mogliśmy ustanowić ją w zeszłym roku, gdybyście wy, podatnicy, trochę przycisnęli władze. Taki oddział wyniucałby tę bandę Xików, zanim jeszcze się zadekowała w swojej kryjówce, a teraz załatwiłby sprawę, nim się na dobre zaczęła. Mówisz, że ten Ukurti jest przeciwny podżeganiu Deana i że może pociągnąć za sobą wodza. Właśnie takich tubylców moglibyśmy wykorzystać. To nie jest łamanie traktatów. Ale nie, to by było za proste dla tych kanapowców z Galwadi! A teraz może być za późno. Jeżeli będziemy musieli wezwać Patrol, żeby poskromić Deana...

Nie musiał kończyć. Wszyscy wiedzieli, co by to znaczyło. Utrata niepodległości, obca kontrola przez czas nieokreślony, koniec rozwoju tutejszej kultury, z którą wiązali takie nadzieje.

- Ile mamy czasu? - spytał Hosteen.

- A jak długo Dean będzie czekał ze swoją wyprawą? - warknął Kelson. - Jeśli nasi zwiadowcy doniosą o jakichś oddziałach opuszczających Błękitną, a my nie będziemy w mocy ich zatrzymać...

- Moc - powtórzył cicho Hosteen. - Władza Deana opiera się na wierze tubylców w magię. Myślę, że Norbisowie z Błękitnej posiadają jakieś resztki dawnej wiedzy. Niektóre z maszyn nadal pracowały. W dolinie, gdzie leży wioska, klimat jest z pewnością kontrolowany. W małej dolince, gdzie ukrył się Najjar - też. Być może, Norbisowie potrafią stosować jakieś urządzenia, nie rozumiejąc zasady, na jakiej one działają. Widzieliśmy na przykład miejscowego czarownika, który pokazywał jako sztuczkę coś, co na pewno nie pochodziło z Arzoru. Teraz zjawił się Dean, uruchomił nowe maszyny, nowe "czary" i został uznany za człowieka władającego magią, nietykalnego i posiadającego moc...

- Więc trzeba go usunąć? - zastanawiał się Kelson.

- W żadnym razie! - przerwał mu Quade, a Hosteen przytaknął milcząco. - Gdyby zniknął, byłby to jeszcze jeden dowód jego niezwykłości. A gdyby odkryto, że my za tym stoimy, byłoby to równoznaczne z wypowiedzeniem wojny. Usunąć go muszą jego wyznawcy.

- Nie ma takiej możliwości - wybuchnął Kelson.

- Stanowisko Ukurtiego może nam ułatwić sprawę - zauważył Quade. - Dean jest nie zrównoważony. Trzeba go zaatakować tam, gdzie będzie czuł się bezpieczny...

Hosteen drgnął.

- We wnętrzu góry!

- Tak. We wnętrzu góry.

- To płatanina korytarzy. Znaleźć go, gdy on zna te międzywymiarowe przejścia... - Hosteen widział bezskuteczność takich poszukiwań, a jednak innej szansy nie było. Gdyby rzeczywiście udało się schwycić Deana i uwięzić w świętej górze, gdzie nie odważyliby się wejść jego norbiscy sprzymierzeńcy, mieliby czas, by wymyślić jak go przed nimi zdemaskować.

- Najar - zwrócił się do rozbitka Quade. - Potrafisz odnaleźć halę maszyn?

- Mogę spróbować. Ale, jak mówi Storm, to wielka góra, a może góry, i jest tam mnóstwo przejść. Łatwo się zgubić...

- Możemy wyruszyć, jak tylko się ochłodzi - zaczął raźnie Kelson.

- To my ruszamy. Ty zostaniesz tu i skontaktujesz się z pozostałymi - sprostował Quade. - Nie sprzecaj się, Jon. Jesteś tu władzą i dlatego możesz rozmawiać z tymi spryciarzami od rakiet na nizinach. Jak myślisz, posłuchaliby mnie? Dla nich jestem jeszcze jednym poganiaczem frawnów. Najar, czy zgodzisz się nas poprowadzić?

Rozbitek wpatrywał się w ziemię. Hosteen wiedział, co chciałby odpowiedzieć - że w końcu wyzwolił się z koszmaru, w którym żył od lądowania w Błękitnej. Teraz miał okazję dokończyć swą podróż, dotrzeć do domu. Ale był Ziemianinem i żaden dom na niego nie czekał. Czy to skłoniło go do decyzji?

- W porządku. - Wytarł dłonie o łachmany, które służyły mu jako koszula. - Tylko nie obiecuję, że go znajdziemy.

- To rozumiiałe. W każdym razie wyposażymy was.

Kelson grzebał energicznie w paczkach zgromadzonych w głębi schronu. Były tam zapasy wystarczające do zaopatrzenia posterunku zwiadowców: broń, emitery, noże, ubrania i tabletki odżywcze.

Hosteen przespał większą część dnia. Poza pierwszym pytaniem, Quade nie wspomniał o Loganie, ale myśl o nim towarzyszyła Stormowi cały czas, także w snach. O zmroku obudził się mokry od potu. Śnił mu się trójkątny plac w dolinie, tylko że we śnie Logan z niego zniknął, a on wiedział, że nie potrafi pójść za bratem. Teraz Hosteen nie mógł zrozumieć, dlaczego to zrobił, dlaczego nie zawołał Logana, nie kazał pójść za sobą, gdy

rozpoczął dziwny marsz po spirali. Jak mógł zapomnieć o swym bracie? Nie potrafił znaleźć wytłumaczenia.

Baku pozostał z Kelsonem. Miał utrzymywać łączność między górą a obozem. Orzeł nienawidził tuneli, zresztą jego umiejętności były tam całkiem bezużyteczne. Za to Surra pomknęła przed oddziałem tą samą drogą, którą przyszli rano.

Gdy dotarli już do jaskini, Hosteen objął kota. Czuł, jak napinają się potężne mięśnie jego grzbietu.

Tak jak wcześniej, w kryjówce, odbierała jego frustrację i wściekłość, teraz czuła jego wolę i przygotowywała się do oczekującego ich zadania. Przeciwnikiem był dla nich także czas.

- Szukaj, szukaj!

Z całą siłą i dokładnością, na jaką mógł się zdobyć, przekazał jej obraz Deana. Usłyszał i wyczuł głęboki warkot, jaki dobył się z jej gardła. Nie wiedział, czy talenty łowieckie Surry pomogą w schwytaniu wroga. Wiele zależało od szczęścia, a może od magii.

Spojrzał na Najara.

- Potrafisz nas doprowadzić do któregoś z głównych korytarzy?

- Na ile wiem, to większość z nich jest główna.

Nie brzmiało to zbyt optymistycznie, ale rozbitek objął prowadzenie i ruszyli w głąb góry. Surra nie zamierzała tu wybiegać naprzód. Trzymała się Hosteena idąc z nim niemal noga w nogę.

Obserwował jej zachowanie, licząc bardziej na nią niż zdolności tropicielskie Najara, i zorientował się, w czym rzecz, zanim jeszcze zagroziła mu drogę.

Quade, znając jej metody, zatrzymał się również, tylko Najar obejrzał się zdziwiony, a potem zniecierpliwiony.

- O co... - nie zdążył dokończyć pytania, bo Hosteen ruchem ręki nakazał mu milczenie. Surra zachowywała się tak samo, jak wtedy, gdy - w innym tunelu - Dean nagle zniknął. Indianin był pewien, że są w jednym z tajemniczych przejść.

Kot przechylił głowę i słuchał uważnie czegoś, czego niedoskonałe uszy ludzkie nie mogły wychwycić. Stojąc nieruchomo, Hosteen przełączył latarkę na najsilniejszy promień. Oświetlił podłogę, a potem prawą ścianę, ale nie dostrzegł tam spiralnego wzoru, którego się spodziewał. Skierował światło w lewo, ale i tam znalazł tylko gładką powierzchnię.

A jednak Surra wciąż słuchała. Nagle wspięła się na tylne łapy, wysoko unosząc nozdrza, jakby doleciał do niej jakiś zapach.

W górze! Nie pod stopami, jak w tamtej dolinie, ale nad głową. Snop światła padł na sklepienie, wydobywając znany wzór. Ale jak miał go przejść - do góry nogami?

- To właśnie to? - spytał Quade.

- Tak. Tylko nie wiem... - zaczął Hosteen, ale po chwili już wiedział. Tak jak przedtem coś zmusiło go do przejścia spiralną ścieżką, tak teraz rozkaz płynący spoza jego świadomości spowodował, że jego prawa ręka uniosła się, a palce dotknęły zewnętrznego brzegu spirali. Tym razem jednak nie dał się wciągnąć tej sile, cały czas pamiętał o swoich towarzyszach.

- Myślę, że - trudno mu było wydobyć z siebie głos, oderwać się od podążania za wzorem. Przymus był dotkliwy jak ból, rozlewał się z końców palców po całym ciele.

- Musimy zrobić tak - wyrzucił w końcu. Nagle poczuł napór pokrytego futrem ciała. Surra! Ona nie miała rąk. Jak może tędy przejść? Miałby ją zostawić? Oddał latarkę Quade'owi i drugą ręką chwycił kota za skórę na karku. Nie mógł odwrócić oczu od spirali, która lśniła teraz w jego umyśle tak samo jak na ścianie.

Trzymając mocno kota zaczął palcami zataczać koła wyznaczone przez wzór. Żeby sięgnąć do stropu, musiał stać na palcach. Surra znosiła pociąganie bez sprzeciwu. Dokoła, dokoła... już. Palce dotarły do środka.

Ciemność, i strach przed podróżą w nicość. Czerwona iskra - to Surra, białozółta - to on, Hosteen Storm, wciąż razem...

Jasność! wyciągnął rękę, by złapać równowagę, i poczuł gładki chłód metalu. Znajdował się na podium w hali maszyn. Surra wyswobodziła się z uchwytu i obnażając zęby w bezgłośnym ostrzeżeniu zwróciła się ku przejściu między rzędami urządzeń.

ROZDZIAŁ 18

Hosteen wyciągnął emiter. Kot wyczuł coś, czego nie mogły dostrzec zmysły człowieka. Gdzieś, pomiędzy rzędami maszyn trwało polowanie, a zwierzyną był przyjaciel nie wróg. Gorgol? Czy po przekonaniu Norbisów odważyłby się tu zapuścić? A może - Ziemianin zacisnął palce na kolbie - może to Logan?

Surra wielkim susem zeskoczyła z platformy, a potem wśliznęła się pomiędzy dwa urządzenia. Hosteen podążył za nią.

Oprócz szumu maszyn usłyszał coś jeszcze - jakby tykanie, odgłos bardziej metaliczny niż bębny Norbisów. Dotarł do Surry, która przypadła do ziemi, czyhając na coś, co było za rogiem. Włosy wzdłuż jej grzbietu stanęły dęba, uszy położyła po sobie. Nagle prychnęła i uniosła łapę do ciosu.

To coś nie było żywym stworzeniem, nie dla Surry. Znowu cienie? Nie, Hosteen usłyszał oddalający się szmer. Coś przemykało z ogromną prędkością, tuż przy ziemi, od jednej maszyny do drugiej. Nie! Tym razem to nie był cień.

Wyjrzał znad głowy kota i cofnął się gwałtownie. O mało co nie wpadł na niego ktoś... ktoś żywy - człowiek!

- Logan! - Hosteen chwycił go za ramię. Chłopak odwrócił ku niemu rozczochraną głowę. Jego twarz wyrażała najwyższe napięcie. Nagle w oczach załśnił błysk i chłopak skoczył naprzód, na moment przywierając ciałem do brata. Jego ciężki oddech przypominał łkanie.

Ale już po chwili podniósł głowę i patrząc rozszerzonymi oczami ponad ramieniem Storma wydyszał:

- Hosteen! Za tobą!

Surra miauknęła przenikliwie i rzuciła się na coś, co pełzło po chodniku, ale cofnęła się szybko. Wyglądało to jak połyskliwa, srebrna wstążka, ale czuło się jej niemal ludzką złowrogość. Jej spiczasty koniec podniósł się, celując w mężczyznę.

- Strzelaj! Szybko! - krzyknął Logan.

Hosteen nacisnął spust emitera. Wąż rozbłysnął jak flara, gdy uderzyła w niego wiązka promieni o pełnej mocy.

- Udało się! - głos chłopca był bliski hysterii.

- Co?

- Żywa maszyna... to był jeden z pełzaczy!...

Logan puścił Hosteena i podszedł chwiejnie do metalowej wstążki. Znad szczątków wznosiła się cienka smużka dymu. Chłopak tupnął, rozgniatając pełzacza obcasem.

- Całe godziny o tym marzyłem - powiedział do Hosteena.

- Ale jest tu ich więcej. Musimy być ostrożni, na Siedem Słońc - spojrzął na broń trzymaną przez brata. - Skąd to masz?

- Dotarły posiłki.

Czy rzeczywiście? Hosteen p' o raz pierwszy zastanowił się, czy Najarowi i Quade'owi uda się tu dotrzeć, czy też raz jeszcze spirala przeniesie podróżników w różne miejsca.

- Słuchaj - odciągnął Logana od drgającego lekko "węża". - Tam, w dolinie poszedłeś za mną po spirali?

- Pewnie. Rozpłynąłeś się w powietrzu... musiałem pójść.

- I gdzie wylądowałeś?

- W miejscu, w którego istnienie byś nigdy nie uwierzył, po wszystkim, co widzieliśmy w tym piekielnym labiryncie. My się włóczyliśmy po tych norach, a tam czekały normalne porządne kwatery. Ale trafiłem tam na kogoś... na jakiegoś przybysza, który tu chyba rządzi. Od kilku dni - tak mi się wydaje - ściga mnie. To on wypuścił te nakręcane węże. Jednego przyskrzynałem w innej jaskini z zagrodami - zasypałem go skałami - a drugiego zepchnąłem do wody. Ty załatwiłeś tego, ale jest ich całe stado...

- Złodziej!

Słowo padło jakby z powietrza. Zamarli.

- Chowaj się, jeśli chcesz - ton był wyraźnie protekcyjny.

- Ale wiesz, że nie ma ucieczki. Pełzacze wystawią mi cię jak na talerzu. Nie masz dosyć biegania?

Surra ich nie ostrzegła. Czyżby Dean miał tu jakąś kamerę?

- Tracisz czas na tę grę w chowanego. A kamień - jeśli ci jakiś został - jest kiepską bronią przeciw czemuś, co może sobie poradzić z górą, jeżeli ja tego zechcę.

Nad ich głowami przemknęła nagle strzała ognia. Kamień jako broń! Dean nie wiedział o Hosteenie! To znaczy, że ich nie obserwował. Był tylko pewien, że pełzacze zapędziły Logana do hali i że tu się ukrywa.

- Radzę ci, nie każ mi czekać. Albo przyjdiesz teraz, albo nastawię moje robaczki na pełną moc i pozwolę im jej użyć. Liczę do pięciu, żebyś miał czas przemyśleć ujemne strony bycia martwym bohaterem, a potem masz podejść do platformy. Raz... dwa...

Logan dał znak w mowie palców:

- Pójdę i zajmę go.

- W porządku. Surra pójdzie lewym przejściem, ja prawym. Będziemy cię osłaniać.

- Trzy... cztery...

Logan wyszedł przed platformę. Dwa palce zwisającej swobodnie ręki poruszyły się - Dean oczekiwał go tam.

Hosteen ruszył do przodu, nieco wolniej niż Logan. Żeby tylko nie zjawił się następny "wąż" - pomyślał.

Dean stał, zwrócony tyłem do tablicy, w której rurach pełzały tęcze światła. Był z siebie wyraźnie zadowolony. Hosteen nie wątpił, że tech miał przy sobie kulę stazy albo inną obcą broń.

- Więc złodziej nie ucieka.

- Już ci mówiłem, że nie jestem złodziejem - odparł gwałtownie Logan. - Zgubiłem się i nie wiem, jak trafiłem do pokoju, gdzie cię spotkałem.

- Może jeszcze nie jesteś, ale na pewno chciałbyś nim zostać. Nie myślisz chyba, że nie zdaję sobie sprawy, iż każdy człowiek oddałby lata życia za panowanie nad tym? Niewielu jest w stanie wyobrazić sobie taką potęgę. W oczach tubylców jestem Władcą Gromu, Panem Błyskawicy i mają rację! Ten świat należy do mnie. Połączone siły dwudziestu planet Konfederacji biedziły się dziesięć lat, zanim pokonały Xików. Byłem jednym z techów, których wysłano do ich głównej kwatery na Raybo, żeby ją rozmontować. Myśleliśmy wtedy, że odkryliśmy tam wielkie tajemnice. Ale one są niczym w porównaniu z wiedzą, która kryje się tutaj. To ja zostałem wybrany, by użyć tych taśm i maszyn edukacyjnych. Czekają na mnie, tylko na mnie, nie na takich nieuków, głupich złodziejasków, jak ty. To wszystko jest moje...

Hosteen przyśpieszył kroku i dał sygnał Surrze.

- Czemu nie skończysz ze mną, jeśli tak uważasz? Masz swoje pełzacze, masz sztuczne błyskawice...

Logan prowokował Deana, żeby mówił dalej, a ten po długim okresie samotności wykorzystywał to, że ma słuchacza własnej rasy.

- Mamy mnóstwo czasu, żeby jak mówisz, z tobą skończyć. Musiałem cię czymś zająć, żebyś nie narobił mi kłopotów. Nie mogłeś przeszkodzić w moich planach.

- A ten twój plan - Logan był już o kilka kroków od platformy - to zawładnąć Arzorem, a potem ruszyć dalej? Prześcignąć Xików?

- Ci, którzy zbudowali to wszystko - Dean trzymał w rękach małą kulę, chyba następny kontroler stazy, bo innej broni Hosteen nie dostrzegł - stworzyli imperium, przy którym mogliby się schować Xikowie z Konfederacją razem wzięci. A wiedza ich jest tu. Przewidzieli swój koniec... i to jest jakby magazyn...- zatoczył ręką krag.

Hosteen nacisnął spust. Powinien trafić w głowę, a spudłował. Promień przeniknął tuż obok, zaskakując techa, ale nie zrobił mu żadnej krzywdy. Logan chciał skoczyć na chwiejącego się wroga, ale tylko runął ciężko na ziemię, bezbronny w uścisku stazy.

Tech stał teraz tuż przy tablicy, więc Hosteen nie ośmielił się strzelić ponownie. Promień emitera mógł spowodować uszkodzenia o trudnych do przewidzenia skutkach.

Ziemianin dał sygnał Surrze. Kot wysokim łukiem wyskoczył z ukrycia wprost na platformę. Ale tam jakby napotkał niewidoczną ścianę, ryknął z gniewem i lękiem i przypadł do podłogi.

Dean, wsparty o tablicę, sięgnął ku jakiejś dźwigni. Wtedy wkroczył Hosteen. Surra nie zaprzestając swych wysiłków waliła łapami w pustkę i ściągała na siebie uwagę techa. Hosteen wskoczył na platformę. Nie ruszył jednak ku Deanowi, lecz ku rzędowi małych gałek.

- Tylko spróbuj -jego głos zgrzytał, jakby słowa wydobywały się pod napięciem - a wtedy ja...

Dean odwrócił się gwałtownie. Dzikimi oczami wpatrywał się w Indianina. Hosteen wiedział, że bluff może się nie udać, ale musiał teraz zawierzyć temu, co niektórzy nazywają szczęściem, a jego własna rasa magią.

- Głupcze! To pewna śmierć!

- Nie wątpię - zapewnił Hosteen. - Wolę zginąć niż dopuścić do wojny i zagłady całej planety.

Zuchwałe słowa - miał nadzieję, że nie będzie musiał dowodzić ich prawdziwości.

- Zwolnij stazę! - rozkazał.

Gdyby tylko udało mu się zająć techa choć przez chwilę! Ale Dean nie słuchał. Hosteen wyciągnął rękę w kierunku gałek. Wydało mu się, że czuje płynące od nich ciepło, jakby zapowiedź ognia. Obcy gwałtownie rzucił kulę między maszyny.

- Głupcze! Zostaw to! Zawalisz całą górę!

Hosteen chwycił emiter. Może teraz ogłuszyć tamtego i zadanie będzie wykonane. Nagle poczuł powiew i usłyszał jakiś dźwięk za plecami. Na podium zjawiły się dwie postacie. Usłyszał krzyk Logana i palący ból przeszył mu ramiona i klatkę piersiową. Emiter wysunął się z bezwładnych palców.

Dean uciekał, klucząc pomiędzy maszynami, Surra pędziła w siad za nim. Hosteen zachwiał się, na samym skraju platformy odzyskał równowagę i zobaczył, że kot nagle pada i toczy się po podłodze

- Dean musiał znaleźć kulę.

Quade wyminął Hosteena i podbiegł do leżącego kota. Ale przed nim był Logan. Zatrzymał się na chwilę i ruchem wytrawnego nożownika rzucił coś w kierunku przejścia, skąd dobiegł przenikliwy krzyk.

Hosteen niezupełnie był świadom tego, co się dzieje. Ból był potworny, jakby coś pożerało go żywcem. Opadł na kolana. Widział, że Logan i ojciec ciągną szarpiącego się

Deana. Logan trzymał broń, którą powalił techa - splamiony krwią róg, który znalazł w grocie zagród.

Kiedy podeszli, tablica ożyła. Pulsująca, lawendowa linia, która zachowywała swój kolor od czasu, kiedy Hosteen trafił do hali, teraz pociemniała. Widać było, że nabiera mocy.

Dean przestał się szarpać. Jego twarz ściągnął wyraz skupienia. W jednej chwili porzucił szaleńczą walkę o wolność i przeistoczył się w czujnego techa stojącego przed zawodowym problemem.

- Co się dzieje? - zapytał Brad Quade.

Dean wzruszył ramionami z rozdrażnieniem, lekceważąc pytanie i próbując uwolnić się od przytrzymujących go rąk.

- Nie wiem...

Najar stał przy Hosteenie, podtrzymując go. Nie, Indianin nie mylił się, Surra też to czuła. To światło ostrzegało o niebezpieczeństwie.

- Musimy się stąd wydostać - Hosteen ruszył chwiejnie do podium.

Logan, Quade, Najar - trzy pary oczu zwróciły się ku niemu. Surra była tuż obok.

- Co się dzieje? - teraz pytanie Quade, a było skierowane do syna, nie do techa.

- Nie wiem! - odpowiedział tak samo Hosteen. - Ale musimy się stąd wydostać - i to szybko.

Napięcie, które czuł, zaczynało przeradzać się w panikę, prawie taką, jakiej doznał w dolinie cieni. Logan poruszył się pierwszy.

- W porządku.

- Jasne - dodał Brad Quade.

Pociągnął za sobą Deana, który natychmiast znów zaczął walczyć. Wtedy Najar wyprowadził pewny cios i tech zwiotczał. Światło pulsowało już wściekłym fioletem. To tu, to tam, rozbłyskiwały nowe, kolejne gałki. Żółty pień drzewa błyskawicznie zaczął wrzeć.

Skupili się wszyscy na podium, podtrzymując nieprzytomnego Deana. Hosteen chciał podnieść rękę, by wykonać gest, który przeniósłby ich do tunelu... i poczuł, że prawe ramię jest sztywne z bólu i że nie jest w stanie nim poruszyć.

Szum maszyn, który towarzyszył im przez cały czas, nie był już szumem, a raczej łoskotem. Ożywały coraz to nowe urządzenia.

- Ręce... wyciągnij je nad tym rzędem gałek - wychrypiął do Logana. - Teraz klaśnij. Szybko...

Dłonie Logana, purpurowe w tym groźnym świetle, zetknęły się. Szybowali w przestrzeni...

Znów ujrzeli światło dnia. Hosteen czuł podtrzymujące go ramię Logana i swój chwiejny krok, słyszał za sobą szuranie stóp.

Jakiś dźwięk... to nie były już maszyny, lecz bębny, równy rytm, rytm wielu bębnow. A wszystkich ogarniało przemożne pragnienie wydostania się na otwartą przestrzeń.

Wyszli na krawędź, z której Hosteen obserwował przemówienie Deana. Parł naprzód za Surra, która też za wszelką cenę chciała wydostać się z jaskini.

W miarę, jak szedł, czuł się coraz lepiej. Nie było słońca. Niebo przesłoniły fioletowoczerwone chmury. Gdyby było to pięć miesięcy wcześniej lub później, sądziłby, że nadchodzi jedna z ulew typowych dla Pory Deszczu.

Logan zatrzymał się. Surra, dwa kroki przed nim, bijąc ogonem, przypadła brzuchem do ziemi. Wpatrywała się w Bębniących.

Stali tam, wszyscy, którzy przybyli do Błękitnej, w równych odstępach wzdłuż stoku. Każdy z nich uderzał w bęben w tym niepokojącym rytmie, który w jakiś dziwny sposób stanowił jedno z gromadzącymi się chmurami.

Przed grupką osadników stał Ukurti. A kilkanaście metrów za czarownikiem zebrali się wojownicy, stojący w równych rzędach, tu i ówdzie wznosząc drzewca pokoju.

Quade i Najar, podtrzymujący Deana, Hosteen i Logan - pięciu przybyszów przeciw tysiącu Norbisów. Czy tubylcy przyszli, by wyzwolić Władcę Gromu z rąk bezbożników?

Logan, wciąż podtrzymując brata, wyciągnął drugą rękę w geście pokoju. Ani jedno oko nie drgnęło, ani jedna dłoń nie zmyliła rytmu. Warkot bębnow otumaniał ich. Sekundy zmieniały się w najdłuższą minutę życia. Quade i Najar, jak zahipnotyzowani, puścili Deana, który zrobił sztywny krok naprzód -jeden, drugi... Z zaciętą twarzą szedł ku Ukurti'emu. Hosteen chciał go zatrzymać, ale zdał sobie sprawę, że nie może się poruszyć.

Dean zatrzymał się. Zaczął mówić... ale tym razem jego głos nie był głosem Norbisa.

- Idźcie... idźcie...

Ręka uniosła się do gardła, a palce zaczęły trzeć skórę w poszukiwaniu zgubionej taśmy.

Ukurti podniósł rękę. Inni czarownicy bębniłi dalej, a on sygnalizował powoli. Logan, Quade i Hosteen powtarzali wiadomość na głos, choć nie rozumieli, dlaczego to robią..

- My-Którzy-Sprowadzamy-Gromy, w naszej mocy uczyniliśmy to... i grom odpowie, i odpowie ogień z nieba. Zatrzymaj to swoją mocą, jeśli potrafisz, Władco Fałszywej Błyskawicy.

Nie było wątpliwości, przemowa ta była raczej oświadczeniem sędziego niż wyzwaniem.

Fioletowoczerwone chmury przesłoniły już całe niebo, od czasu do czasu przecinane błyskawicami. Dean kołysał się w przód i w tył wciąż manipulując przy szyi.

Magia... Tak, to była magia, taka, w jaką wierzyli i jaką posługiwali się przodkowie Hosteena. Uwolnił się z objęć Logana, poczuł przyływ ożywienia. Zapomniał o bólu. Teraz mógłby krzyżeć z triumfu.

Zapadły ciemności rozjaśniane tylko światłem błyskawic. Bębny nie przestawały wzywać burzy. Dziwna błękitna poświata ścieliła się na czubkach drzew i gałęziach krzewów.

Nagle - tak jak wtedy, gdy Dean wyzwolił swoją sztuczną błyskawicę używając jej jako ostrzeżenia i broni - prawdziwy, zrodzony z burzy płomień uderzył w szczyt za nimi. Odpowiedział mu gwałtowny wstrząs, siłą przypominający trzęsienie ziemi.

Hosteen powstał. Był ślepy, głuchy, wiedział, że tuż obok uderzyło coś z ogromną mocą. Czuł zapach ozonu, roślinność wokół w jednej chwili zmieniła się w proch.

Czarne burzowe chmury stały się szare. Jak długo już tu leżał? Obok niego Logan poruszył się i usiadł. Quade podczołgał się do nich, a Najar leżał, jęcząc cicho.

Nieco niżej spoczywał nieruchomy kształt, zza którego wynurzył się czarownik w pierzastym płaszczu - Ukurti. Norbis uniósł głowę. Spokojnie przyjrzał się czterem mężczyznom, po czym podniósł rękę, wskazując długim palcem coś poza nimi. Obejrzeli się równocześnie.

W miejscu, gdzie przedtem było wejście do jaskini, teraz piętrzył się stos wypalonych głazów. Szczyt góry był dziwnie zniekształcony. Palce Ukurtiego poruszyły się:

- Moc zadecydowała... potęga Bębna przeciw potędze Ukrytych. Niech będzie tak, jak uczyniła moc.

Odwrócił się i zaczął iść w dół, ku wiosce. Przed nim zstępowały oddziały Norbisów. Najar podniósł się i chwiejnie podszedł do ciała.

- Dean nie żyje... chyba trafił go piorun.

- Niech tak będzie - odezwał się Ouade. Mówił w imieniu ich wszystkich. - Jak powiedział Ukurti, przemówiła moc. Władca Gromu nie żyje. Nic tu po nas.

Góra znów się zamknęła. Kiedy Quade prowadził ich na dół, Hosteen zastanawiał się, czy władze będą chciały się do niej dostać, by dotrzeć do ukrytych tajemnic. Sądził jednak, że minie wiele czasu, nim ktoś znowu odważy się sięgnąć po władzę nad piorunami. Jajogłowi mogą sobie znajdować sprytne wytłumaczenie tego, co się stało - na przykład, że procesy przebiegające w obcych maszynach wywołały, niezwykłą o tej porze roku, burzę. Ale on wierzył, jak Ukurti, że istnieją różne potęgi, które czasem staczają ze sobą walkę... Tym razem zwyciężyła ta, która była mu bliska. Z jej zwycięstwa mogło wynikać wiele dobrego.

Może pomiędzy skłóconymi szczepami zapanuje trwały pokój, może nawet spełni się marzenie Kelsona o oddziałach straży złożonych z Norbisów i osadników. W każdym razie Arzorowi ani innym światom nie zagraża już ognisty bicz Władcy Gromu.